

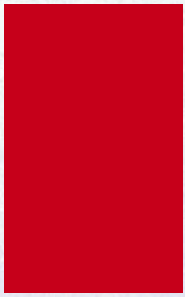
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Franciszek nie słucha swoich dyplomatów • Adam Michnik żegna Gorbaczowa • Joanna Mucha rozbiera Kaczyńskiego • Przeczytałem wszystkie książki Roszkowskiego



WYSOKIE OBCASY
Marta Jermaczek-Sitak
Wiem, co zatrulo Odrę
Sanna Marin
Czy premierkom wolno tańczyć



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Witaj, szkoło!

Zniechęceni uczniowie, zmęczeni nauczyciele,
zastraszeni dyrektorzy, zepsute programy

FOT. EAST NEWS

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Gomułka
Komunista, ale nasz
Jak nazywał się
Mieszko I



Rapallo
Podpalili Europę,
siedząc
w piżamach

Auschwitz
Jaka ojczyzna?
Walczyliśmy o zupę,
kobiety i złoto

Agnieszka
Kublik

Polacy zrozumieli, co mówi Morawiecki

Ma niepodważalny talent do bezmyślnego mówienia. Bezmyślnego nawet nie dlatego, że mówi głupio. Przeczając temu, co mówił tydzień wcześniej, zdradza, o co naprawdę chodzi jemu i jego patronowi.

• **29 sierpnia 2022:** Polska, która przyjmuje miliony uchodźców, która otwiera serca dla kobiet i dzieci z Ukrainy, dzisiaj podlega sankcjom europejskim [nie dostając pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy], i to nawet bardziej uciążliwym niż Rosja.

• **25 sierpnia 2022:** Jak podzielimy to [pieniądze z KPO] na sześć lat, to wychodzi 20 mld złotych rocznie. To nie jest coś, co zasadniczo zmienia sytuację finansową Polski. Dwa miesiące temu zaświadczaliśmy drugą transzę programu inwestycji strategicznych „Polski ład”. Tam było blisko 30 mld z naszych budżetowych pieniędzy, czyli pokazujemy na zdolności finansowe Polski, dużo większe niż KPO.

• **25 sierpnia 2022:** Sytuacja na Odrze była zdarzeniem o charakterze naturalnym, gdzie nie było specjalnych, wielkich zrzutów substancji chemicznych.

• **12 sierpnia 2022:** Prawdopodobnie do rzeki zrzucano ogromne ilości odpadów chemicznych i zrobiono to z pełną świadomością.

• **Listopad 2020:** Praworządność i łamanie praworządności stały się w UE pałąk propagandowy. Odrzucamy te pałki. Przez praworządność należy rozumieć również prawo państw do reformowania zgodnie z traktatami i z własną konstytucją swoich wymiarów sprawiedliwości. I dlatego mówimy głośno „tak” dla UE, ale mówimy głośno „nie” dla różnych karzących nas niczym dzieci mechanizmów, które w nierówny sposób traktują Polskę i inne kraje członkowskie.

• **Sierpień 2018:** Polska

**Według premiera
wstrzymanie pieniędzy
z KPO to „sankcje
europejskie” bardziej
uciążliwe niż te na Rosję**

jest częścią Europy. Dzisiaj my, Polska, wyznaczamy standardy, idee i propozycje. I te idee są kopiowane przez całą Europę, chociażby w zakresie podatku VAT czy walki z rajami podatkowymi. W UE jesteśmy coraz ważniejszym państwem członkowskim i będziemy coraz ważniejsi.

• **Sierpień 2022:** Jesteśmy na bardzo dobrej drodze, żeby węgla było wystarczająco dużo, nie tylko do końca tego roku.

• **Lipiec 2022:** Mamy plan, mamy strategię. Jesienią i zimą węgla z pewnością nie zabraknie.

• **Lipiec 2022:** Mamy chroniczny niedobór węgla. I to pomimo że kopalnie zwiększają wydobywanie.

• **Wrzesień 2018:** Przebudowujemy Polskę w duchu solidarności społecznej, wolności, dostępności usług publicznych i demokracji.

• **Marzec 2017:** Będziemy rządzili do 2031 r. W najgorszym razie do 2027.

• **Początek września 2022,** Kantar właśnie sprawdził: działalność rządu negatywnie ocenia 68 proc., 66 proc. – samego premiera, który z taką łatwością gada bzdury w przekonaniu, że naród się nie połapie. ●

Wielka Brytania Żadnych spalonych



Od stu lat w Bourton-on-the-Water odbywa się mecz River Windrush. Sześciuosobowe drużyny grają w rzece przecinającej tysiącletnią wioskę. Coroczny mecz to tylko dodatkowa atrakcja dla turystów – Bourton-on-the-Water, z jego kamienną architekturą i pejzażami jak z Tolkienowskiego Shire, ucieleśnia „starą dobrą Anglię”. **Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Najnowsze wiadomości
lokalne oraz z kraju
i ze świata czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez
cały weekend**

OSMCMB2

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

Cytat dnia

*Aborcja jest decyzją kobiety,
a nie księdza, prokuratora, policjanta
czy działacza partyjnego. Będziemy gotowi
zapropionować to Sejmowi pierwszego dnia
po najbliższych wyborach do parlamentu.
Aborcja do 12. tygodnia, a decyzja należy
wyłącznie do kobiety. W tych sprawach będę
bezwzględnie egzekwował swoją pozycję
w Platformie w czasie kształtowania list do
parlamentu*



DONALD TUSK

podczas spotkania z młodzieżą na Campusie

Andrzej rysuje



Liczba dnia

45

LAT
odsiedzi Saudyjka Nura
bint Said al-Kahtani za
krytykę władz na Twitterze.

► Wyborcza.pl/swiat

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Być pierwszym przy „śmierciówce”

Kiedyś miałam opory, żeby jechać na świeżo do rodziny ofiary wypadku, ale teraz już żadnych. W pięciu wypadkach na dziesięć udaje mi się podpisać umowę w dzień śmierci. Jak polują firmy odszkodowawcze – reportaż Bartosza Józefiaka i Marcina Wójcika (TVN).



Ekonomia+

Jak oszczędzać ciepło

O, zaczęli grzać! W jakiej cenie? Opowieści o maksymalnej podwyżce cen ciepła dla mieszkańców bloków o 40 proc. można włożyć między bajki. Co robić? – Oszczędzaj ciepło – mówią. Odpowiadam – nie da się.

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Poniedziałek

Prezydent szuka gazu
w Afryce

1 – Odwiedzę szereg krajów afrykańskich, m.in. Senegal. Tam jest zainteresowanie eksportem gazu do naszego kraju. Były wstępne rozmowy – ujawnił Andrzej Duda w Radiu ZET. Szef jego gabinetu Paweł Szrot doprecyzował, że wizyta rozpocznie się 5 września i obejmie też Nigerię i Wybrzeże Kości Słoniowej. Od maja rozmowy o imporcie gazu z Senegalu prowadzi Niemcy. W zamian oferują pomoc przy wydobywaniu.



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI, DAWID ZUCHOWICZ, KUBA ATYS / GENCJA WYBORCZA.PL

Środa

Co z inflacją
i kredytami

2 Choć analitycy oczekiwali spadków, w sierpniu inflacja pobiła rekord – 16,1 proc. W grudniu może dobić do 20. Co robi Rada Polityki Pieniężnej, która zbiera się w środę? Adam Glapiński zapowiadał koniec podwyżek stóp procentowych. Przy takiej inflacji to trudne. Ale podwyżki dobijają kredytobiorców. – Należy rozważyć pomysł antyinflacyjnych obligacji emitowanych przez NBP – mówi Ludwik Kotecki z RPP.



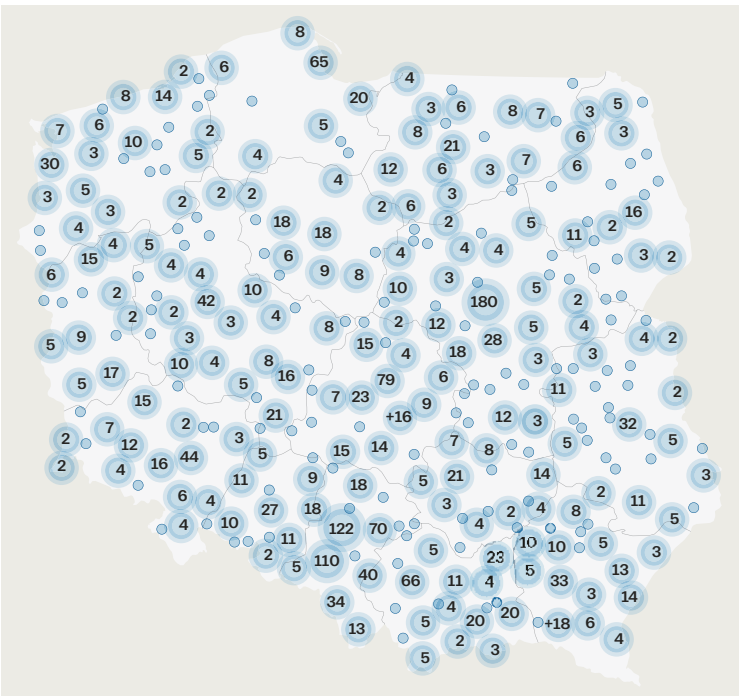
Sobota

Eurobasket
z bogami koszykówki

3 Polska jest już po pierwszym meczu mistrzostw Europy – z Czechami. W sobotę gra z Finlandią. Gospodarzami imprezy są Czechy, Gruzja, Włochy, Niemcy. W turnieju zagra mnóstwo zawodników z NBA, w tym grecki bóg koszykówki Giannis Antetokounmpo. Sukcesy Polski w Eurobasce to lata 60. Ostatnio największym osiągnięciem Polaków był awans do 1/8 finału w 2015 r. Tytułu broni Słowenia.



Wykres tygodnia
Mapa szkół wolnych od HIT-u



Wolontariusze Inicjatywy Wolna Szkoła opublikowali mapę placówek, które nie będą korzystać z podręcznika prof. Roszkowskiego. Co w zamian? Podręczniki innych wydawnictw, e-podręcznik lub własne materiały. **Więcej ► BIQdata.pl**

Pogoda dla opozycji

Campus rulez

Politycy opozycji pokazali, że choć w niektórych sprawach się różnią, potrafią rozmawiać i ze sobą, i z ludźmi, którzy mają odmienne poglądy

Wielowieyska



Niesamowita przepaść dzieli te dwa obrazy. Pierwszy: Jarosław Kaczyński przy wtórze okrzyków wściekłych wyborców idzie na salę, w której są głównie zwolennicy partii. Bo nikt nie chce zepsuć dobrego samopoczucia prezesa PiS. Wcześniej lokalny działacz ćwiczył z zebranymi okrzyki na cześć gościa i strofuje, że nie są dostatecznie entuzjastyczni. Kaczyński po spotkaniu się wymyka, najlepiej tylnymi drzwiami, bo demonstranci czy niewpuszczeni na salę lokalsi wciąż pomstują pod drzwiami. Policja, ochroniarze, limuzyny, barierki.

I drugi obrazek: Campus Polska. Kilka dni spotkań młodych ludzi z politykami, dyplomatami, artystami, ekspertami, publicystami. Goście różnią się poglądami, dyskutują, odpowiadają na pytania. Donald Tusk i Rafał Trzaskowski mierzą się z wypowiedziami młodych ludzi, często bardzo krytycznymi wobec polityków, także wobec dwóch bohaterów zlotu.

PiS nie ma żadnej politycznej i wizerunkowej odpowiedzi na wydarzenie zorganizowane przez Trzaskowskiego i jego ludzi.

Jak wygląda krajobraz polityczny po Campusie? Mamy dwa obozy: jeden potężnie skłócony, w którym politycy podstawiają sobie nogi i zbierają haki. A jedyne, co ich spaja, to osoba lidera, lecz i on miota się od ściany do ściany, rzucając kolejne radykalne hasła. Bo sądzi, że polaryzacja i stan wojny znów

odbudują mu notowania. Obóz obarczony grzechem niewybaczalnym: Polska traci rozwojowe szanse, rezygnując z pieniędzy z Funduszu Odbudowy, które mogłyby pracować dla naszej gospodarki już od zeszłego roku.

I drugi obóz, który choć podzielony, potrafi ze sobą rozmawiać i jest gotowy na dialog. Czy są między nimi tarcia? Są. Zarówno pomiędzy poszczególnymi partiami opozycyjnymi, jak i w samej Platformie. Campus przez otoczenie Tuska był traktowany nieufnie, w PO próbowano stworzyć własne forum dyskusji z młodymi, ale słabo to wyszło. Media prawdziwie opisywały napięcia między Trzaskowskim a Tuskiem czy kuszenie ludzi Hołowni, którzy proponowali, aby powstał nowy ruch polityczny zbudowany przez duet Trzaskowski – Hołownia w kontrze do PO.

Dziś Trzaskowski buduje swoją pozycję. Nie jest do końca jasne, czy zadania są już rozpisane, np. Tusk – premierem, Trzaskowski – kandydatem na prezydenta.

Tusk uważa, że trzeba grać na PO, która zaraz pokona próg 30 proc., o ile wszyscy postawią na jedność. Otoczenie Trzaskowskiego sądzi, że nad Tuskiem jest szklany sufit, że trzeba budować o wiele szersze zaplecze. To kość niezgody. Część współpracowników Tuska źle odebrała wystąpienie Sławomira Nitrasa, który mówił o wypowiedzeniu konkordatu. – Donald już w zeszłym roku apelował, aby w kwestiach kościelnych grać zespołowo, nie wychodzić przed szereg. Nitras specjalnie poszedł na debatę o Kościele i coś palnął – można usłyszeć w kulisach. Nieufność wewnątrz samej Platformy jest widoczna, co nie zmienia faktu, że wygrywa racjonalny rachunek, bo obie strony wiedzą, że publiczne roztrząsanie tych różnic tylko szkodzi.

A sam Campus to sukces, który działa na korzyść nie tylko tych obu polityków, ale także całej opozycji. Polacy podchodzą do polityki bardzo pragmatycznie. Owszem, liczą się emocje, światopogląd, ale jest też inny czynnik: obóz, który aspiruje do władzy, powinien być poukładany, a nie skłócony, powinien wiedzieć, czego chce, i być względnie sterowny.

Trzaskowski stworzył bazę
kilku tysięcy ludzi intelektualnie
przygotowanych i gotowych
angażować się w życie publiczne

Ludzie obawiają się chaosu. Jeśli PiS wygrywał wybory, to także dlatego, że to formacja trzymana w ryzach, choć Kaczyński ma z tym coraz większe problemy. Opozycja była zaś podzielona i jeszcze niedawno w mediach najwięcej miejsca zajmowały relacje z kłótni liderów. Campus ma tę zaletę, że pokazuje opozycję od innej strony. Jest razem, choć w niektórych sprawach się różni, ale potrafi prowadzić dialog we własnym gronie, a także z tymi, którzy mają inne poglądy. To autentyczna debata, w trakcie której Trzaskowski i Tusk pokazują, że grają zespołowo.

Wizerunkowo jest to dobre dla całej opozycji. Stawiła się pierwsza liga polityków PO. Wystąpił Hołownia, pojawił się Władysław Kosiniak-Kamysz. Zabrakło Lewicy, trochę na jej własne życzenie, ale aktywna na Campusie była Krytyka Polityczna, pojawił się też Marek Belka. Być może liderzy Lewicy nie chcieli grać na boisku Trzaskowskiego. Jeśli tak, popełnili błąd. Jednocześnie pojawił się prawicowy Klub Jagielloński.

Było więc o co się spierać. A rangi wydarzeniu jeszcze przydadli sami politycy PiS, nieustannie je krytykując.

Oczywiście Campus, który chyba na stałe zainstalował się w życiu politycznym kraju, będzie dla Trzaskowskiego bardzo ważną platformą w chwili, w której zdecydowałby się na start w wyborach prezydenckich.

Bo tam trzeba zebrać o wiele więcej głosów niż w parlamentarnych, trzeba wyjść poza partyjny elektorat, a takie spotkania jak to w Olsztynie sprawę ułatwiają. Grupa 1300 młodych osób z całej Polski, które zjawily się na Campusie, to z punktu widzenia każdej formacji skarb nie do przecenienia. Nie przepadam za sloganami typu: młodzież jest wspaniała, to przyszłość. Ale byłam na Campusie, widziałam, jak celne pytania zadają uczestnicy, jak świetnie są merytorycznie przygotowani i jak są mądrze krytyczni wobec polityków. Jedyne, co budziło moje wątpliwości, to zbyt długie przemówienie Trzaskowskiego. Lepiej by było natychmiast przejść do pytań z sali, które są największym atutem tego wydarzenia.

Nie wszyscy chętni mogli się pojawić na Campusie, bo nie dla wszystkich starczyło miejsc. Trzeba było dokonać wstępnej selekcji, ale przy okazji Trzaskowski z pomocą Nitrasa stworzył bazę kilku tysięcy ludzi intelektualnie przygotowanych do debaty i gotowych angażować się w życie publiczne. Można się do nich zwrócić o pomoc z chwilą, gdy ruszy kampania wyborcza, a zapewne wielu nie odmówi współpracy. Siłą każdego ugrupowania, każdego kandydata na prezydenta są wolontariusze, zwolennicy zaangażowani w promowanie polityka. To dzięki nim i dzięki ich determinacji oraz świeżości wygrywa się wybory. Trzaskowski ten fundament buduje. ●

Dominika Wielowieyska

WIELKA UCIECZKA

Nauczyciele mają dość. Uczniowie mają dość. I rodzice też mają dość polskiej szkoły

Dość źle przeprowadzonych reform, które tylko pogłębiają chaos, przeładowanego programu nauczania, przepełnionych klas i permanentnych braków kadrowych.

Dość nauczycieli, którzy obrali kurs na przetrwanie i wydają się niezainteresowani ani uczniami, ani przedmiotem, którego uczą.

Dość rodziców, którzy narzekają na edukację, ale ani razu nie zaangażowali się w szkolną społeczność.

Dość dyrektorów, którzy na wszelkie propozycje odpowiadają: „a co ja mogę?”, albo przeciwnie: „rób, jak każę”.

Dość wyposażania szkoły z własnej kieszeni w papier toaletowy, przybory do nauczania i finansowanie atrakcyjnych nagród dla uczniów.

Dość podręczników pisanych na kolanie i zastępujących wiedzę ideologią.

A przede wszystkim dość władzy, która pod płaszczykiem walki z wrogiem zamienia szkołę we własny folwark. (Z jakiegoś tajemniczego powodu wielu przedstawicieli i wiele przedstawicielek tej władzy własne dzieci posyła do szkół niepublicznych).

ZESPÓŁ STRESU POURAZOWEGO

W sierpniu spytałam kilkudziesięcioro rodziców, jak się czują w związku ze zbliżającym się 1 września.

Mama dwóch córek, ósma klasa podstawówki i trzecia klasa liceum: „Nienawidzę szkoły. Nie wierzę w nią. Po ostatnich dwóch latach mam zespół stresu pourazowego”.

Ojciec dwójki dzieci, siódma i ósma klasa szkoły podstawowej: „Straszenie dzieci, że oto teraz zaczynają się kluczowe lata ich życia, zaczęło się już w szóstej klasie. Dzieci, mimo naszego wysiłku, żeby minimalizować ten stres, nasiągają nim. Szkoła coraz bardziej kojarzy mi się z traumą. Nie widzę tam w tej chwili nikogo, kto by tchnął w te dzieciaki optymizm, nadzieję i wiarę w to, że sobie poradzą. Oraz że są ważniejsze rzeczy niż wyniki”.

Mama trójki dzieci w wieku licealnym: „Czuję stres oraz rozczarowanie i złość na rządzących. Jeszcze 12 lat temu w radzie rodziców mogliśmy się zastanawiać, jakie fajne, mądre zajęcia dzieciom zorganizować, kogo interesującego zaprosić, bo była ogarnięta »baza« – nowe boisko, naprawione drzwi

w toaletach. A potem przyszła reforma [likwidacja gimnazjów] i dyskusje znów wróciły do poziomu „bazy” – jak skombinować ławkę dla ucznia, który ma 190 cm, jak pomieścić 650 dzieci w szkole przewidzianej na 500 itd.”.

Ojciec ósmoklasisty: „Powiedzieć, że jestem wściekły, to nic nie powiedzieć. Syn przystępuje w tym roku do egzaminu ósmoklasisty. W zeszłym roku praktycznie nie miał matematyki, bo matematyczka była ciągle na zwolnieniach. Nie wiadomo, kto będzie ich uczył w tym roku. Wiadomo natomiast, że musimy znaleźć korepetytora. Możliwe, że z języka polskiego również, bo odchodzi świetna polonistka. Szkoła państwowa jest za darmo? Śmiechu warte”.

Mama trójki dzieci, w tym syna w klasie siódmej: „Rok szkolny zaczynamy od terapii, bo już pod koniec zeszłego roku syn zaczął mieć objawy nerwicy szkolnej. Boi się chodzić do szkoły, stresują go testy, klasówki, kartkówki, odpytywania. Proponowaliśmy mu zmianę szkoły albo alternatywne nauczanie, ale jest bardzo przywiązany do swoich przyjaciół. Tylko to go tam trzyma. Jego ukochana wychowawczyni odeszła w zeszłym roku, a z nową nie ma dobrego



AGNIESZKA
JUCEWICZ



kontaktu. Podczas wakacji odżył. To było zupełnie inne, radosne dziecko”.

Mama dwójki dzieci, trzecia i szósta klasa podstawówki: „Odczuwam dysonans. Sama jestem nauczycielką, ale od roku w oświacie czeskiej, tuż po drugiej stronie granicy, która jest wolna od wszelkiej ideologizacji, politycznej i religijnej. Moje dzieci natomiast uczą się w zwykłej polskiej podstawówce. I to takiej, gdzie dyrekcja ogranicza najmniejsze przejawy innowacyjności nauczycieli. Jednocześnie współtworzę oddolną edukacyjną inicjatywę obywatelską w moim mieście. Mamy mnóstwo pomysłów. Dlatego połowa mnie odczuwa ogromne przygnębienie, ale ta druga wciąż jest zapalona, żeby wcielić te pomysły w życie i zmieniać oblicze edukacji. Dla wszystkich dzieci, nie tylko dla moich”.

Ojciec trójki dzieci, z których najmłodsze ma 16 lat: „Dwójka starszych jest już poza systemem. Całe szczęście. Ale to żadna pociecha. Bo dzieci znanych i nieznanych dalej w tym będą”.

KORKI

Według platformy „Our Kids” na przestrzeni lat 2014-18 liczba uczniów uczęszczających do niepublicznych placówek wzrosła o prawie 30 proc. I rośnie dalej. Rodzice, spytani o powody, dla których postawili na edukację niepubliczną, najczęściej wymieniali: fizyczne i emocjonalne bezpieczeństwo dziecka, bardziej indywidualne podejście do ucznia, rozwój umiejętności pozanaukowych (np. kompetencje społeczne), lepsza komunikacja między rodzinami i szkołą, a ogólnie – rozczarowanie systemem publicznym. Według GUS niepubliczne przedszkola, szkoły podstawowe i średnie stanowią już 25 proc. placówek edukacyjnych w Polsce.

FOT. MARCIN ONUFRYJUK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Z kolei z sondażu IPSOS przeprowadzonego dla serwisu OKO.press w lutym 2021 r. wynika, że aż 55 proc. rodziców zdecydowałoby się na posłanie dziecka do szkoły społecznej lub prywatnej, gdyby było ich na to stać (co ciekawe, 44 proc. wyborców PiS zrobiłoby dokładnie to samo).

Na razie rodzice „ratują” sytuację korkami. To również ratunek dla wielu nauczycieli, którzy w ten sposób latają dziury w domowych budżetach. Już co czwarta rodzina opłaca dzieciom korepetycje i kursy przygotowawcze, wydając od kilkuset do kilku tysięcy złotych miesięcznie. Medal ten ma jednak drugą stronę. Nauczycielka matematyki w szkole podstawowej: – Uczę ósme klasy i co roku mam kilkoro uczniów, którzy chodzą na kursy przygotowujące do egzaminu ósmoklasisty albo korzystają z korepetycji. To się zawsze odbija na naszych lekcjach – dzieci nie słuchają, bo przecież „już to przerabiali na kursie”, przeszkadzają innym. Na zajęcia dodatkowe organizowane przeze mnie nie chcą chodzić, bo mam tak ułożony plan, że zaczynają się o 7.15”.

Nauczyciele też uciekają – do edukacji niepublicznej, do własnej działalności edukacyjnej, na przykład organizują szkolenia dla innych nauczycieli. Odchodzą na urlopy zdrowotne, emeryturę albo w ogóle z zawodu. Według ZNP w 2020 roku oświata straciła 10 tys. nauczycieli, w tej chwili mówi się o kilkunastu do nawet 20 tys. wakatów. Z badań przeprowadzonych dla warszawskiego ratusza wynika, że prawie połowa kadry zatrudniona w publicznych szkołach myśli o rezygnacji z zawodu. Ci, którzy zostają, często uczą w kilku szkołach, a czasem nawet kilku przedmiotów naraz. Marcin Józefaciuk, dyrektor Zespołu Szkół Rzemiosła w Łodzi, w związku z brakami kadrowymi będzie w tym roku uczył aż siedmiu przedmiotów: polskiego, angielskiego, też zawodowego, fizyki, informatyki, etyki i WF-u. Sławomir Broniarz, prezes ZNP, powiedział niedawno „Głosowi Nauczycielskiemu”: „Za kilka lat nie będziemy mówili o 20 tys., tylko o 25 czy 30 tys. wakatów”.

Co zostanie z polskiej szkoły publicznej, a raczej – kto w niej zostanie, jeśli nic się nie zmieni?

OPERACJA SIĘ UDAŁA, TYLKO PACJENT NIE PRZEŻYŁ

Potraktujmy szkołę jako organizm, którym przecież jest. Bardzo osłabiony, z rozległymi, wielonarządowymi objawami. Jak nazwać tę chorobę, która go toczy?

Iga Kazimierczyk, nauczycielka, była dyrektorka szkoły, prezeska Przestrzeni dla Edukacji i koordynatorka ruchu Wolna Szkoła: – Moim zdaniem polską szkołę trawią dziś trzy współistniejące choroby. Pierwsza to deficyt zaufania. Wszystkich do wszystkich. Rodziców do nauczycieli, nauczycieli do uczniów i rodziców, dyrektorów do kadry itd. A także brak wiary w relacje międzyludzkie. Dziś szkoła przypomina panoptikon, w którym każdy każdemu patrzy na rękę i rozlicza z tego, czego nie zrobił, a powinien był.

Druga choroba to pokłosie stosunków pańszczyźnianych. Nie ma chyba lepszej ilustracji tego układu niż oświata. Postawa ministra Czarnka przypomina postawę „pana”, który oczekuje, że nauczyciele, czyli warstwa niższa, się przed nim ukorzą i zrobią, co im każe. W szkole nie ma przyzwolenia na dyskusję. Konsultacje społeczne przy zmianach prawa oświatowego nie istnieją. A jeśli ktoś śmie się nie zgadzać, zostaje wyzwany od „potomków ubeków”, „zdrajców narodu” czy „niepolskich Polaków”. Atmosfera jest przeżarta mobbingiem. I z rozmów z nauczycielami wiem, że to jest główny czynnik decydujący o ich odejściach. Zarobki są ważne, ale nie najważniejsze.

A trzecią chorobą jest złe pojęte oświecenie. Decydom się wydaje, że jeśli włożą coś w podstawę programową, dodadzą nowy przedmiot, na przykład historię i terażniejszość, to świat się od razu w ich mniemaniu naprawi, a dzieci wyjdą ze szkoły idealnie sformatowane. Szkoła działa na zupełnie innych zasadach. Jeśli nie ma w niej ducha, uważności, troski, to nic się nie uda. Najbardziej nudny, najtrudniejszy przedmiot może być fajny, jeśli uczy go ktoś, kto potrafi budować z uczniami relację. I odwrotnie – najfajniejszy przedmiot może być zmorą, jeśli uczy go ktoś, kto relacjami nie jest zainteresowany albo nie potrafi ich budować”.

WYPALENIE SYZYFA

Dr Anna Buchner, socjolożka, antropolożka związana z zespołem badawczym Ciekawość, autorka wielu badań wokół edukacji: „Największym problemem

polskiego systemu nauczania jest to, że stoi na jednostkach, a przez to jest bardzo nierówny. Ścieżka edukacyjna dziecka zależy od tego, na jaki zestaw ludzi trafi. A może trafić różnie – na kogoś, kto wkłada w nauczanie całe serce, albo na kogoś, kto uczy »za karę«”.

Maria Wierzbicka-Tarkowska, socjolożka, antropolożka kultury związana z zespołem badawczym Ciekawość, autorka badań wokół edukacji: „Przeprowadzałyśmy niedawno wywiady w ramach badania o bezsensie w edukacji. Rozmawiałyśmy z dwiema grupami nauczycieli – tymi, którzy odeszli z zawodu, oraz z tymi, którzy jeszcze go uprawiają. Ci pierwsi opowiadali nam, jak traumatyzujący jest to zawód. Wielu z nich przyplaca go zdrowiem. Na skutek narażenia na długotrwałą, silny stres zaczynają chorować na choroby autoimmunologiczne, nowotworowe, mają kłopoty ze zdrowiem psychicznym. Nie dziwi więc, że do zawodu trafia coraz więcej przypadkowych osób, a »silaczki« i »silacze«, którzy chcą zmienić polską szkołę, szybko się wypalają”.

Buchner: „Nauczycielom brakuje wsparcia psychologicznego. Nie mają superwizji. To bardzo samotny zawód”.

Wierzbicka-Tarkowska: „Z badań, które robiłyśmy na temat wychowawstwa, wynika z kolei, że nauczyciele chcą budować relację z uczniami, a uczniowie z nimi, ale nie mają na to czasu. Bo na godzinach wychowawczych trzeba zrealizować program, często oderwany od rzeczywistych problemów uczniów. Albo gonić z materiałem z innego przedmiotu, którego nie zdążyło się zrealizować na lekcji”.

A co z wypalonymi rodzicami? Tymi, którzy próbują amortyzować szkolny stres, ale coraz bardziej frustrują się tym, że nie wiedzą, do jakiej szkoły



To, czego dramatycznie uczniom brakuje, to nie rzutniki multimedialne, laboratoria przyszłości czy aktywne tablice, tylko żeby „pani była z nami”, „żeby z nami rozmawiała, a nie do nas gadała”

w tym roku wróci ich dziecko? Kogo ubędzie? Jakie dziury trzeba będzie łączyć własnym nakładem pieniędzy i czasu? „HiT”, strzelanie w ramach edukacji dla bezpieczeństwa zamiast porządnej psychoedukacji, i co jeszcze?

Anna Buchner: „Jednym z kluczowych problemów szkoły jest to, że obecny system sprawia, że nauczyciele i rodzice stają w opozycji. Nie mają poczucia, że grają do jednej bramki. Często postrzegają siebie jako wrogów, a najbardziej cierpią na tym uczniowie”.

Maria Wierzbicka-Tarkowska: „Nauczyciele, szczególnie ci z długim stażem, powtarzają, że rodzice się zmienili, i wiążą to głównie z tym, że wraz ze zmianą ustroju w Polsce zmienił się status nauczyciela. Kiedyś ten zawód cieszył się szacunkiem. Dziś wielu rodziców postrzega nauczycieli jako »loserów«, którzy wykonują beznadziejną pracę za beznadziejne pieniądze, a dzieci te przekonania odzwierciedlają w szkole. To jedna grupa rodziców. Druga to tak zwani rodzice roszczeniowi, którzy nie są zainteresowani uczestniczeniem w edukacji dzieci, tylko oczekują, że „system” zrobi to za nich. Najchętniej nie stawialiby się na żadne zebranie, bo mają swoje, ważniejsze problemy, a szkoła jest od tego, żeby im to dziecko nauczyć. Jak nie uczy, to znaczy, że jest beznadziejna. No i jest trzecia grupa, czyli rodzice zaangażowani. I wierzę, że oni mogą mieć już dość. Dość przebijania się przez mur niechęci czy obojętności pozostałych rodziców i dość nauczycieli, którzy pozamykali się na rodziców”.

Buchner: „Zdarza się też, że »rodzice rodzicom wilkiem«. Ktoś się angażuje, oddaje swój czas, organizuje superimprezę dla klasy. A na końcu słyży od rodziców, którzy nigdy nie mają czasu dla szkoły, ale zawsze mają go, żeby się do czegoś przyczepić: »A dlaczego były gofry, a nie zdrowe słodczyce?!«. Albo gorzej: »Czy na pewno impreza została dobrze rozliczona?«. To jest nasz głęboki społeczny problem, który znajduje swoje odbicie w szkole – że jak widzimy coś dobrego, to nie mówimy tego na głos. Za to jesteśmy pierwsi do krytyki”.

Wierzbicka-Tarkowska: „Nauczyciele postępują podobnie. Polski rodzic jest właściwie przyzwyczajony, że do szkoły idzie się po to, żeby usłyszeć coś nieprzyjemnego na temat swojego dziecka i zebrać naganę za to, że jest się złym rodzicem. Bardzo rzad-

ko nauczyciele spotykają się z rodzicami, żeby opowiedzieć im o sukcesach dziecka w nauce czy w relacjach. I w drugą stronę – rodzice rzadko dziękują nauczycielom za fajną lekcję czy zorganizowanie klasowego wyjścia”.

OPATRUNEK, GIPS, A MOŻE PROTEZA?

Pytanie, czy z tak wycieńczonym organizmem da się w ogóle coś jeszcze zrobić? Czy reanimacja jest możliwa? Czy grozi nam już wyłącznie, za przeproszeniem, pudrowanie trupa i gra w przetrwanie kolejnego roku? A może rządzącym właśnie o to chodzi, żeby państwowa szkoła stała się „survivalem”? Kształciła waleczne, niezłomne żołnierki i żołnierzy, którzy poradzą sobie w każdej sytuacji, bo przeszli przez szkołę bez szkoły?

Iga Kazimierczyk jest pesymistką: „Obawiam się, że w tej chwili już nic nie da się zrobić. To znaczy my, rodzice, nauczyciele, uczniowie, zrobiliśmy już chyba wszystko, co było możliwe. Bo ile można dawać z siebie wszystko w samorządzie uczniowskim? Ile razy można przepychać różne zmiany przez radę rodziców? Jak długo można ratować fatalne decyzje ministerialne w ramach programów wychowawczo-profilaktycznych? Poza tym nie ma dnia, żeby nauczyciele nie byli obrażani. Wprost albo przez dyskusje o pensjach i legendarnych wakacjach. Destrukcja edukacji przypomina katastrofę klimatyczną. Zaczęła się już jakiś czas temu, przy reformach minister Zalewskiej przyspieszyła, a po strajku 2019 roku nabrała wyraźnego tempa. I teraz wzbiera kolejna fala. Tego wszystkiego nie da się powstrzymać z dnia na dzień. Jeśli rządzący nie zechcą darzyć nauczycieli szacunkiem, a szkoła nie stanie się bardziej przyjaznym, bardziej bezpiecznym miejscem pracy, w której czują się docenieni, to nie stanie się lepsza dla nikogo – ani dla uczniów, ani dla rodziców”.

Wierzbicka-Tarkowska: „Z rozmów z nauczycielami wiem, że szkoła coraz częściej staje się dla nich miejscem systemowej opresji, do którego idą ze strachem, że jeśli zrobią coś nie pomyśli władz, to poniosą z tego tytułu poważne konsekwencje – będą musieli stanąć przed komisją dyscyplinarną lub po prostu stracą pracę. Większość nauczycieli nie stać na bycie bohaterami. Muszą utrzymać rodziny, mają zobowiązania, kredyty. I to mnie chyba najbardziej martwi, że w szkole zostaną albo konformiści, którzy nie planują się buntować, albo ci wierni władzy, natomiast buntownicy będą pokazowo karani tak, żeby na pewno nikt ich nie naśladował. Dzieci z uprzywilejowanych rodzin, których rodziców stać na edukację niepubliczną, sobie poradzą. Będą miały szansę doświadczyć fajnej szkoły, jakiej wszyscy byśmy sobie życzyli. A reszta?”.

SUPERMAN, WONDERMAN CZY MOŻE JEDNAK NOWY MINISTER EDUKACJI?

Powiedzmy, że władza się zmienia. I to na taką, której naprawdę zależy na dobrej, publicznej edukacji. Od czego powinna zacząć leczenie polskiej szkoły?

Wierzbicka-Tarkowska: „Od wysłuchania nauczycieli. Bo teraz nikt ich nie słucha, niezależnie od tego, czy to strajk, czy pandemia, czy inny kryzys. Jak można stawić na przykład platformę do edukacji zdalnej na podstawie »wizji« jakichś »ekspertów«, nie pytając o zdanie nauczycielek i nauczycieli, o ich rzeczywiste potrzeby?”.

Buchner: „Potrzebne są konsultacje społeczne z prawdziwego zdarzenia – z nauczycielami, dyrektorami, rodzicami i uczniami. A później gigantyczna praca, która polegałaby na tym, żeby te głosy zebrać i spróbować pogodzić, bo w którymś momencie, zważywszy na to, jak ranym zwierzęciem jest polska szkoła, będą pluć na siebie jadłem. W sferze marzyciel-

skiej – warto byłoby pomyśleć o komforcie uczniów i nauczycieli. Polska szkoła przez to, że jest tak przeładowana, jest niezwykle głośna, co generuje dodatkowy stres. Warto by było zbudować więcej szkół, odciążyć te, które są”.

Kazimierczyk: „Nowa władza powinna zacząć od przypomnienia sobie tego, co już jest zapisane w prawie oświatowym, a mianowicie, że szkoła jest autonomiczna. W każdej placówce powinien prętnie działać samorząd rodzicielski i uczniowski. Te ramy już są, tylko teraz trzeba byłoby wypełnić je ludzkim zaangażowaniem i wzajemną troską. Nowa władza powinna się też uzbroić w cierpliwość, bo przy tym poziomie destrukcji marsz o odbudowę polskiej szkoły nie będzie ani szybki, ani krótki. Odbudowa zaufania nigdy nie dzieje się z dnia na dzień. Do tego potrzeba małych kroków, małych gestów i codziennego wysiłku”.

Joanna Mikusek-Przystajko uczy etyki w Społecznym Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Kudowie-Zdroju, jest tam również pedagózką. W tym roku została zwyciężczynią konkursu „Nauczyciel Jutr@” organizowanego przez „Głos Nauczycielski” i Fundację Orange, w którym bierze się pod uwagę to, jak nauczyciel wykorzystuje narzędzia cyfrowe, ale przede wszystkim – jak buduje relacje z uczniami.

Polski rodzic jest przyzwyczajony, że do szkoły idzie się po to, żeby usłyszeć coś nieprzyjemnego o swoim dziecku i zebrać naganę za to, że jest się złym rodzicem

Mikusek-Przystajko: „Obecna władza próbuje kontrolować szkolnictwo w każdym jego wymiarze. Mam to szczęście, że dyrektorka naszej szkoły w dużej mierze bierze ten ciężar na siebie, co ułatwia nam pracę. Niemniej różne decyzje pana ministra, na przykład ta dotycząca pomysłów, jak karać i dyscyplinować uczniów, nie zwykle mnie bulwersują i niepokoją. Nowa władza powinna odpuścić kontrolę i zaufać nauczycielom, bo oni naprawdę wiedzą, co robią”.

NADZIEJA MAŁYCH KROKÓW

Pytam badaczki Marię Wierzbicką-Tarkowską i Annę Buchner o to, co można zrobić już dziś. Zanim zmieni się władza, o ile się zmieni. Zanim zdarzy się cud albo pojawią się superbohaterowie, którzy zapragną ocalić polską edukację.

Wierzbicka-Tarkowska: „To, co na pewno można zmienić niedużym nakładem pracy, to sposób komunikacji. Gdyby nauczyciele, rodzice i uczniowie dawali sobie więcej wzmocnień pozytywnych, przekazywali dobre informacje, a nie tylko negatywne, wszystkim byłoby lżej”.

Buchner: „Jestem głęboko przekonana, że należy bardzo wspierać tych, którym mimo wszystkich plag toczących polską szkołę nadal się chce. Nauczycieli tworzących autorskie programy i stawiających na budowanie relacji. Rodziców działających na rzecz klasy i szkoły. Chodzi o to, żeby nie zatracić ludzkich odruchów. Okazywać wdzięczność. Kibicować. Śledziłam niedawno zawody Swiss Ultra Maraton, w których biorą udział »nadludzie«. Tych nadludzi nie byłoby bez ich teamów – tych wszystkich, którzy podają im napoje, ręczniki, buty, ocierają pot z czoła”.

Kazimierczyk: „To, co bardzo psuje atmosferę w szkole, to codzienna niedbałość o relacje. Na przykład rodzic, zamiast przyjść i powiedzieć nauczycielowi: »za dużo jest tych prac domowych i sprawdzianów«, nasyła kontrolę kuratorium. Albo sanepid, jak coś mu się w szkole nie podoba. Jakby ktoś poszedł do pani od fizyki i powiedział: »Proszę pani, siedzę z dzie-

kiem nad tymi pięcioma zadaniami pięć godzin w tygodniu, to za dużo, nie może pani dać dwóch zadań?«, to szybko mogłoby się okazać, że pani wcale nie jest »wredną babą od fizy«, tylko kimś, kto potrafi przyznać: »Przepraszam. Dobrze, zróbmy to inaczej«”.

Mikusek-Przystajko: „Bardzo ważne jest, żeby nauczyciele zadbali o siebie, o swój dobrostan. Ja chodzę w góry i w ten sposób wietrzę głowę, ale to może być cokolwiek – jazda na rowerze, czytanie, słuchanie muzyki. Warunki pracy są obiektywnie trudne, ale sfrustrowany, przeciążony nauczyciel nie będzie dobrym nauczycielem. Na decyzję polityków nie mam wpływu, za to mam realny wpływ na to, jak będę wychowywała swoich uczniów. Jakie wartości im przekażę, jakie wartości będę sobą prezentowała. Jeśli zadbam o siebie, to tym samym zadbam o nich, a być może wtedy oni będą chcieli budować lepszą przyszłość”.

Kazimierczyk: „Warto też, żeby nauczyciele wyszli ze swojej sztywnej roli. Zamiast być »gadającą Wikipedią« weszli w prawdziwy kontakt z uczniami. Czasem się odslonili, przyznali, że mają gorszy dzień, czegoś nie wiedzą albo że się pomylili. Kiedy w ramach swojego doktoratu badałam relacje w szkołach w kontekście nudy, okazało się, że to, czego dramatycznie uczniom bra-

kuje, to nie rzutniki multimedialne, laboratoria przyszłości czy aktywne tablice, tylko żeby »pani była z nami«, »żeby z nami rozmawiała, a nie do nas gadała«”.

Wierzbicka-Tarkowska: „Potrzebujemy zrozumienia, że szkoła to wspólnota, system naczyni połączonych. Mam nadzieję, być może naiwną, że obecna destrukcja doprowadzi w końcu do tego, że nauczyciele, uczniowie i rodzice staną po jednej stronie. Poczują, że już jest tak bardzo źle, że po prostu muszą stworzyć wspólny, silny front. Bo to jedyne wyjście”.

ROBIĆ SVOJE

Czy da się „robić” inną szkołę w ramach tego, co jest? Co trzyma w niej nauczycieli, którzy nie tylko nie myślą o odejściu, ale głęboko wierzą w sens swojej pracy?

„Uczniowie” – odpowiada Joanna Mikusek-Przystajko. „Lekcję prowadzę we wszystkich rocznikach, od pierwszej do ósmej klasy. To są naprawdę mądre dzieciaki, które żyją w bardzo trudnym, szybko zmieniającym się świecie. Clou mojej pracy polega na tym, żebym ich słuchała i nie narzucała swojego zdania. To buduje pomost między nami i sprawia, że chce się nam w tej szkole być”.

Tomasz Bilicki, pedagog, psychoterapeuta, interwent kryzysowy i nauczyciel WoS w dwóch łódzkich podstawówkach: „Bycie nauczycielem jest dla mnie formą dialogu, który polega na tym, że ja się staram uczyć moich uczniów wiedzy o społeczeństwie, a oni uczą mnie wiedzy o sobie. A zatem uczą mnie wiedzy o mojej przyszłości. Bo to oni będą ją tworzyć. To oni będą politykami, przedsiębiorcami, to oni będą mnie zatrudniać i oni, daj Boże, będą wypłacać moją emeryturę. Natomiast mam wrażenie, że obecna szkoła nie podoba się nikomu. Ani uczniom, ani uczennicom, ani nauczycielkom, ani nauczycielom, ani rodzicom. I moim zdaniem jedynym sposobem na zmianę tej sytuacji jest to, żeby nauczyciele zrozumieli, że szkoła jest ich lustrem. Odbiciem tego, co myśla o dydaktyce, o wychowaniu, o tym, kim są uczniowie, czym jest klasa i jaka jest rola nauczyciela”.

Bilicki uważa, że wiele nauczycielek i wielu nauczycieli swoje wyobrażenie o szkole kształtuje na podstawie doświadczeń z dzieciństwa i wspomnień o szkole hierarchicznej. „Tymczasem szkoła może wyglądać dokładnie tak, jak chciałby nauczyciel czy nauczycielka” – przekonuje. „Rozwiązania prawne na to pozwalają. Jeśli chcą, mogą uczyć bez podręcznika i bez zeszytów. Mogą nie mieć w pracowni ławek. Mogą realizować podstawę programową proporcjonalnie do potrzeb moich uczennic i uczniów, spłycić ją czy pogłębić tam, gdzie uważam to za konieczne. To, czy szanuję uczniów, czy ich nie szanuję, czy uważam, że jedynym źródłem wiedzy jestem ja, czy też smartfon, internet, a może jeden kolega dla drugiego, to wszystko jest po mojej stronie. Ode mnie zależy nawet to, czy będę stawiał stopnie, bo zgodnie z przepisami prawa jestem zobowiązany do postawienia tylko jednej oceny – rocznej. Mogę stawiać oceny opisowe. Zawsze nauczyciela to dość wolny zawód, tylko część nauczycieli albo o tym zapomina, albo nie zdaje sobie z tego sprawy”.

Gdzie szukać nadziei w tej całej sytuacji?

„Dla ministerstwa, kuratorium nie ma już żadnej nadziei – mówi Bilicki. – Ich sposób myślenia od dawna cofa nas do czasów, kiedy powstał pruski model nauczania. Natomiast wielką nadzieję widzę w nauczycielach i nauczycielkach, którzy się przebudzają. Spotykamy się w mediach społecznościowych, na żywo, wymieniamy myśłami, dobrymi praktykami. Jest nas naprawdę sporo. I bardzo zachęcam innych nauczycieli, żeby wśród tych »przebudzonych« szukali sobie sojuszników. Rodzice też potrzebują nauczycieli-liderów, którzy pokażą im, że odejście od tradycyjnego modelu szkoły jest dobre dla ich dzieci. I że można świetnie uczyć bez wyrzucania do tablicy, bez prac domowych, bez ocen, budując relację z uczniami, słuchając ich, a nie tylko przemawiając do nich i ich karząc. Chodzi o to, żeby pokazać, że da się zbudować szkołę demokratyczną, samorządną, wolną, a nie szkołę, w której tylko mówi się, jak ważne są demokracja, samorządność i wolność. Ale jeszcze większą nadzieję widzę w uczennicach i uczniach. Oni mają totalnie dość. Coraz częściej się buntują i zrywają z modelem »z, z, z« – zapamiętaj, zdaj i zapomnij, bo widzą jego bezsens. Dla nich taka szkoła jest po prostu śmieszna”.

Czego by Tomasz Bilicki życzył polskiej szkole? „Organom prowadzącym i nadzoru – zmiany sposobu egzaminowania. Żeby zarówno egzamin ósmoklasisty, jak i egzamin maturalny bardziej mierzyły umiejętności wychodzące poza pewien klucz. A także tego, żeby zachęcały nauczycielki i nauczycieli do korzystania ze swojej wolności. To, że minister mówi mi, jak powinienem uczyć wiedzy o społeczeństwie, mnie ani nie interesuje, ani nawet nie dotyczy. To ja decyduję o tym, jak będę realizował podstawę programową, nie minister. Minister jest tylko urzędnikiem, a nauczycielem jestem ja. Nauczycielkom i nauczycielom życzę z kolei, żeby ich wynagrodzenia wzrosły do poziomu, o którym się mówiło po latach 90. – kiedy to nauczyciel rozpoczynający pracę miał dostawać sto, sto kilkanaście procent średniej krajowej. Po to, żeby ludzie, którzy są zdolni i mają pomysł na szkołę, mogli w niej zostać i ją rozwijać”.

Na koniec sprawdzam, jak to jest z tym społecznym szacunkiem dla nauczycieli i czy rzeczywiście jest tak źle. Nie mam do brych wiadomości, ale... dla innej grupy zawodowej.

Badania CBOS z 2019 roku pokazują, że 77 proc. respondentów darzy nauczycieli szacunkiem, natomiast polityków – tylko 18 proc.

Według SW Research (badania z tego roku) 57 proc. Polaków uważa zawód nauczyciela, natomiast działaczy partii politycznych – tylko 17 proc. Gorzej wypadają już tylko influencerzy (16 proc.). ●

PRUSKA SZKOŁA

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



ZAPRASZAMY NA REKONSTRUKCJĘ

Mniej niemieckiego, więcej strzelania, „wędrujący nauczyciele” i 40 lektur na maturze. Do czego wracają polskie dzieci

Karolina Słowik

Od kilku lat obserwujemy narastający kryzys polskiej szkoły, do którego w ogromnej mierze doprowadziła nieodpowiedzialna i szkodliwa polityka obecnego rządu. System oświaty został zdemonstrowany poprzez wprowadzanie nieprzemyślnych, przypadkowych i koniunkturalnych zmian. Poziom kształcenia jest coraz niższy, rośnie agresja wśród uczniów, zmniejsza się prestiż zawodu nauczyciela.

Mały konkurs: kto to powie-dział? Żaden z działaczy oświa-towych, nikt ze związków. Elż-

bieta Witek, posłanka PiS, przyszła marszałkini Sejmu, udzieliła wywiadu Barbarze Nowak, przyszłej małopolskiej kuratorce oświaty. Wywiad ukazał się na łamach „Zeszytów Politycznych Prawa i Sprawiedliwości” w 2012 r. Cztery lata przed likwidacją gimnazjów.

W tym wywiadzie jest wszystko. Witek i Nowak krok po kroku opisały to, co po 2015 roku stało się ze szkołami: od „reformy organizacyjnej” minister Anny Zalewskiej po „reformę programową”, którą właśnie minister Przemysław Czarnek.

O tym, że reforma edukacji ma dwa etapy: organizacyjny i programowy, poinformował wicemarszałek Ryszard Terlecki jeszcze przed zaprzysiężeniem Czarnka. Pytany we wrześniu 2020, co sądzi o jego kandydaturze, odpowiedział: – To jest profesor, były wojewoda, świetny organizator, znakomity człowiek o bardzo wyrazistych poglądach. Tak że wydaje mi się, że to jest bardzo dobra kandydatura. Po znakomitej reformie organizacyjnej, którą udało nam się przeprowa-

dzić w szkolnictwie, teraz czas na reformę programową.

Pierwszy etap wszyscy dobrze znamy: cofnięcie sześcioletków do przedszkoli, likwidacja gimnazjów (choć PiS mówił o „wygaszaniu”, a ministra Zalewska powtarzała, że nic nie zostanie zlikwidowane), przywrócenie ośmioletniej podstawówki i czteroletniego liceum. Skutki tej nowej organizacji odczuwamy do dziś:

- nauka obowiązkowa skróciła się o rok: z 9 do 8 lat, ci, którzy nie planują szkoły średniej, tracą jeden rok edukacji;
- podwójny rocznik ósmoklasistów i trzecioklasistów po gimnazjum rozla-dował się dopiero w tym roku szkolnym. W maju starą maturę po raz ostatni napisali absolwenci gimnazjów. To jednak przeludnionych szkół nie odciążało, bo do szkół średnich zrekrutowało się właśnie kolejne półtora rocznika: uczniów, którzy w różnym wieku zaczęli szkołę podstawową dzięki reformie sześcioletkowej;
- w związku z likwidacją gimnazjów pracę straciło ponad 6,5 tys. nauczycieli. Minister wylicza, że w tym roku właśnie

tyle pełnych etatów nie jest obsadzonych, a wszystkich ofert pracy (łącznie z etatami częściowymi) jest ok. 13 tys.;

- tzw. wędrujący nauczyciele, którzy uczą w dwóch, trzech, czterech, nieraz pięciu szkołach, objeżdżając całe powiaty, to również zjawisko, które pojawiło się po likwidacji gimnazjów. Dlaczego? Przed reformą Zalewskiej nauczycielka fizyki zatrudniona była na minimum 12 godzin w gminnym gimnazjum z trzema oddziałami w każdym roczniku (1 godzina w pierwszej klasie, jedna w drugiej, dwie – w trzeciej). Po likwidacji gimnazjów i utworzeniu trzech wiejskich podstawówek musi zbierać 12 godzin przynajmniej w trzech placówkach, bo lekcji fizyki w podstawówce jest mniej (dwie lekcje w siódmej i ósmej klasie), a oddziały są rozbite na kilka szkół;

- „bezkosztowa reforma”, w której „wszystko mamy policzone”, jak mówiła Anna Zalewska, miała kosztować samą stolicę 70 mln zł, Gdańsk 50 mln zł, Szczecin 68 mln zł, Poznań 16 mln zł. Poszło na dostosowanie ławek do najmłodszych, na budowę nowych pracowni przedmiotowych, na tworzenie placów zabaw w gimnazjach

przekształconych w szkoły podstawowe, przystosowanie świetlic szkolnych, stołówek oraz na odpłaty dla nauczycieli. Tak wyliczały samorządy zrzeszone w Unii Metropolii Polskich, które zamierzały pozwać MEN do sądu i odzyskać część pieniędzy.

Nic dziwnego, że nie starczyło na znaczące podwyżki dla nauczycieli, którzy w tym roku mogą jedynie liczyć na zrównanie płac nauczycieli początkujących z przyszłą kwotą płacy minimalnej. Reszta – mianowani i dyplomowani – ma czekać na 9-procentową podwyżkę kwoty bazowej od stycznia. Przy 16-procentowej inflacji nie jest to nawet rewolucja.

A przez to, że od 2017 r. nauczycieli sukcesywnie ubywa (po strajku w 2019 r. exodus do handlu i usług nasilił się jeszcze bardziej), a matematyków, fizyków, informatyków, chemików, czyli tych, którzy w gospodarce znajdują o wiele bardziej intratne posady, że świecą szukać, „nauczyciele wędrujący” są również „wieloprzedmiotowcami”. Dyrektorzy wysyłają na podyplomówki tych, którzy zostali, i tak polonista uczy też informatyki. Rekordziści, jak dyrektor Zespołu Szkół Rzemiosła im. Jana Kilińskiego w Łodzi Marcin Józefaciuk, uczą siedmiu przedmiotów. W tym roku szkolnym Józefaciuk będzie uczył: języka angielskiego (także zawodowego w architekturze krajobrazu), języka polskiego jako obcego w oddziale przygotowawczym, WF-u, informatyki, etyki i fizyki. Z wykształcenia jest anglistą. A to nie koniec. – Mam geografa i polonistę, którzy prowadzą zajęcia z fryzjerstwa. Wuefiste, który uczy BHP we fryzjerstwie. I anglistę, który jest biologiem – mówił łódzkiej „Wyborczej”.

W środowisku czuć zniecierpliwienie, a wręcz rezygnację. O kolejnym strajku związkowcy zaczynają mówić w mediach, ale częściej mówią też o braku szacunku, pogardzie i kpinach ze strony ministerstwa. Ostatnio wiceminister edukacji, dawny nauczyciel historii Dariusz Piontkowski stwierdził w Polskim Radiu: – Jeżeli jest to stopień nauczyciela dyplomowanego, czyli najwyższy stopień awansu zawodowego, jego wynagrodzenie średnie z wszystkimi dodatkami to jest przeciętnie około 6800 czy 900 zł. Dopytywany, czy na rękę, czy brutto, powiedział: – To jest oczywiście na rękę, ale to jest łącznie z dodatkami, jeżeli ma wychowawstwo, za staż pracy, jeżeli ma nadgodziny, to jego wynagrodzenie może być zdecydowanie wyższe.

Dzień później przeproszał na Twitterze i tłumaczył, że chodziło mu o kwotę brutto. Czy to sprostowanie dotrze do wszystkich rodziców, którzy usłyszeli, że nauczyciele zarabiają krocie, a jeszcze chcą więcej? Wiceminister nie wytłumaczył jeszcze jednej nieścisłości: wynagrodzenie średnie to konstrukcja prawna. Zlicza się do niego wszystkie kilkanaście dodatków, które nauczycielom przysługują. Nie ma jednak nauczyciela, który dostałby je wszystkie.

– Taki tworzą nasz wizerunek: rozkapryszone środowisko, czego oni jeszcze chcą, skoro tyle zarabiają. Uparci, roszczeniowi nauczyciele, którzy nie chcą współpracować – komentuje rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego Magdalena Kaszulanis.

W takim klimacie Czarnek przystępuje do domknięcia reformy programowej. I konsekwentnie realizuje to, co kierownictwo partii ze swoimi doradcami wymyśliło już ponad dekadę temu.

To, co się dzieje wokół lekcji historii, jest skandalem dotąd niespotykanym w Polsce. Nawet komunistom nie przyszło do głowy, żeby ten przedmiot marginalizować na którymkolwiek z etapów kształcenia. Jak widać, liberałom historia przeszkadza. Przecież coraz częściej słyszymy z ust prominentnych osób w naszym państwie, że polskość to zaściankowość – grzmiała w 2012 r. Elżbieta Witek. – Naród bez znajomości swojej historii, bez świadomości wieków pokoleniowych, odrwany od swoich korzeni i tradycji powoli

umiera i przestaje być narodem, a staje się tylko społeczeństwem zamieszkującym jakieś terytorium. Dlatego właśnie chcemy ustawowego zapisu o nauczaniu historii jako osobnego przedmiotu na każdym etapie kształcenia, w liczbie godzin nie mniejszej niż 180”.

To samo w programie PiS. W tym z 2019 roku czytamy: „Kształtowanie poczucia tożsamości narodowej i państwowej będzie stałym i ważnym elementem programu działalności polskiej szkoły”. A w programie z 2011: „PiS będzie z pełną determinacją działać na rzecz przywrócenia wychowania patriotycznego. Polski system edukacji już od przedszkola powinien formować wartości i postawy patriotyczne młodego pokolenia”.

To, że godzin lekcji historii przybędzie, zapowiedział sam Jarosław Kaczyński w połowie maja zeszłego roku, kiedy PiS

Wiceminister Piontkowski wyliczał w Polskim Radiu, że nauczyciel dyplomowany zarabia 6900 na rękę, z dodatkami nawet więcej. Potem przeproszał, że chodziło o kwotę brutto. Zapomniał dodać, że nie ma nauczyciela, który dostawałby wszystkie kilkanaście dodatków

ogłaszał założenia „Polskiego ładu”. – Chcemy umacniać polską tożsamość. W szkołach średnich wprowadzimy naukę historii dwoma nurtami, tzn. historię powszechną i historię Polski. Dla każdego z tych nurtów będzie przeznaczonych dwie, trzy, może więcej godzin w ciągu tygodnia zajęć.

Początkowo mówiono o zwiększeniu liczby lekcji historii z dwóch do pięciu godzin tygodniowo. Gdyby jednak uczniom dodano trzy dodatkowe godziny, nie obyło się bez protestów. Stworzono więc nowy przedmiot dla szkół średnich: historia i teraźniejszość.

I coś trzeba było poświęcić. Padło na niewygodną edukację obywatelską i wiedzę o społeczeństwie. W efekcie na przykład 1A w LO w Piasecznie od września będzie miała tygodniowo: trzy godziny historii, dwie godziny historii i teraźniejszości i raz w tygodniu WoS, ale tylko dla chętnych, na kursie rozszerzonym do matury. Przy czym na rozszerzonej maturze z WoS obowiązują również zagadnienia z HiT.

Chodzi jednak nie tylko o to, ile razy uczniowie będą mieli historię w planie lekcji, ale też o to, jak ona będzie nauczana. Stąd ten pośpiech w pisaniu i zatwierdzaniu podręcznika do HiT nisowego katolickiego wydawnictwa Biały Kruk (publikowali w nim także Krystyna Pawłowicz, Antoni Macierewicz czy ksiądz Dariusz Oko), na którego promocję – jeszcze przed ostateczną decyzją o dopuszczeniu do użytku szkolnego – resort edukacji miał wydać ok. 75 tys. zł, jak wyliczyły posłanki opozycji. Autor, prof. Wojciech Roszkowski, pisał w nim nie tylko o „hodołwi” niechcianych dzieci, ale też o „lewakach”, „wojujących ateistach”, „Murzynach”. Pojęcie feminizmu znajdziemy obok nazizmu i gender w jednym rozdziale „Ideologie i nazizm”. Jest również o tym, że Unia Europejska lansuje ateizm, oraz o „zbożeniach europejskich”.

Tylko jak sprawić, by szkoły sięgnęły po podręcznik Roszkowskiego? Można np. zwlekać z dopuszczeniem do użytku innych podręczników. Rozporządzenie dotyczące podstaw programowych historii i teraźniejszości pojawiło się dopiero w marcu. Wydawnictwa miały więc raptem kilka miesięcy na przygotowanie podręcznika. W normalnych warunkach cały proces trwa nawet dwa lata. Trzeba było pędzić. Prof. Roszkowski swoją 500-stronicową książkę zdołał złożyć w ministerstwie już 12 maja. A podręcznik autorów WSiP: Izabeli Modzelewskiej-Rysak, Leszka Rysaka, Karola Włczyńskiego i Adama Ciska, liczący 254 strony, został wciągnięty na listę oczekujących ponad mie-

siąc później – 22 czerwca. Decyzja przyszła równo z wrześniem. Kiedy wydawnictwo upora się z drukiem? Ok. 30 proc. szkół deklaruje, że na niego poczeka.

O tym nawet Elżbiecie Witek w 2012 roku się nie śniło. „Kościół – szkoła – strzelnica” to nie jest hasło PiS. Z tym trypunktowym programem szedł do wyborów Grzegorz Braun, lider narodowców. Wyjaśniał, że zamierza dbać o „zdrowie duchowe narodu”, „tworzyć nowe i wspierać istniejące szkoły katolickie” i „działać na rzecz wzmocnienia kondycji psychicznej i fizycznej, a jednocześnie zwiększenia zdolności samoobronnych naszych rodaków i potencjału obronnego całej Ojczyzny – m.in. poprzez popularyzowanie i ćwiczenie kunsztu strzeleckiego”.

PiS przejął ten program. Po 24 lutego – agresji Rosji na Ukrainę – Ministerstwo

Edukacji ogłosiło modyfikację przedmiotu edukacja dla bezpieczeństwa. Od września uczniowie będą uczyć się strzelania i szkolenia schronienia. Ale liczba godzin nie wzrośnie: z programu wykreślono godziny poświęcone nauce o zachowaniach sprzyjających zdrowiu.

Szkoła podstawowa będzie przygotowywać klasy ósme do szkolenia strzeleckiego, czyli nauczy zasad bezpiecznego posługiwania się bronią i postaw strzeleckich, z czego składa się broń i jak „zgrywać przyrządy celownicze, regulować oddech w czasie składania się do strzału oraz ściągać język spustowy”. W szkole średniej uczniowie mają przejść normalne szkolenie strzeleckie, czyli nauczyć się zasady składania i rozkładania broni oraz strzelania z „broni kulowej, pneumatycznej, replik broni strzeleckiej, strzelnic wirtualnych albo laserowych”.

Wszystko to zamiast nauczania o zdrowiu. „Kształtowanie postaw indywidualnych i społecznych sprzyjających zdrowiu – są również szeroko uwzględnione w podstawie programowej innych przedmiotów, takich jak: wychowanie fizyczne, biologia czy wychowanie do życia w rodzinie” – czytamy w uzasadnieniu projektu o zmianie programu dla podstawówek.

Równocześnie zmniejszono liczbę godzin nauki języka niemieckiego dla uczniów mniejszości niemieckiej (z trzech do jednej godziny w tygodniu). A z oszczędności (ok. 40 tys. zł) minister Czarnek powołał instytut, który wesprze naukę polskiego w Niemczech i innych krajach. – Przywracamy polsko-niemiecką symetrię – argumentował pomysłodawca projektu Janusz Kowalski z Solidarnej Polski.

Elżbieta Witek, 2012 r.: „Od dłuższego czasu obserwujemy swoistą walkę z Kościołem, a próba wyrugowania religii ze szkół jest jednym z jej elementów. PiS nie widzi żadnych powodów, dla których katecheza miałaby zniknąć ze szkół. Smutne jest to, że ci sami, którzy kiedyś walczyli o powrót katechezy do szkół, dziś próbują ją z niej wyprowadzić”.

PiS nie tylko nie wyprowadzi religii ze szkół, ale również odbierze wybór tym, którzy chcieliby chodzić na etykę. Nie wprost. W następnym roku szkolnym Minister Czarnek wprowadzi obowiązkową naukę religii lub etyki w czwartych klasach szkoły podstawowej i pierwszych klasach wszystkich szkół ponadpodstawowych. Wkrótce nie będzie można już „chodzić na nic”. Zapowiedział to rok te-

mu na łamach „Gazety Polskiej”: „Będziemy chcieli zlikwidować to, co wiele lat temu zostało wprowadzone, czyli możliwość wyboru jednego z trzech wariantów: albo religia, albo etyka, albo nic. To »nic« stało się dość powszechne na przykład w dużych miastach. I właśnie to »nic« służy temu, by odbywały się podobne zbiegowiska, które kompletnie bezrefleksyjnie podchodzą do życia. Nauka albo religii, albo etyki będzie obligatoryjna, by do młodzieży docierał jakikolwiek przekaz o systemie wartości”.

Wcześniej, bo na początku stycznia 2020 roku, o to samo apelował metropolita katowicki abp Wiktor Skworc. Stwierdził, że możliwość wypisania się z obu przedmiotów prowadzi do „powstania pokolenia nihilistów”. Powiązał to nawet z nasilającym się zjawiskiem przemocy szkolnej i przypadkami samobójstw. – Nauczanie religii w szkole i zajęcia z etyki będą odpowiedzią na poczucie zagubienia, dezorientacji, niezadowolenia i braku poczucia sensu wśród młodego pokolenia.

Trzy tygodnie później doczekaliśmy się oficjalnego stanowiska komisji wychowania katolickiego Konferencji Episkopatu Polski: „Rodzice dzieci, które nie ukończyły 18. roku życia, mają obowiązek zapisać swoje dzieci na lekcje religii”.

Temat nie umarł. Po roku – 8 stycznia 2021 – w Ministerstwie Edukacji i Nauki spotkało się kierownictwo resortu i przedstawiciele komisji KEP. „Rozmowy koncentrowały się wokół organizacji nauczania religii i etyki w szkołach – czytamy w komunikacie. – Omawiano sposób organizacji nauczania tych przedmiotów oraz system ich oceniania”.

Na wrzesień 2023 roku wszystko będzie już gotowe: nowe podręczniki do etyki i nauczyciele przeszkoleni na studiach podyplomowych. Takie studia kończy obecnie – jak podaje portal TVN 24 – 315 nauczycieli, m.in. w Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Chełmie, Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Collegium Internarium (uczelnia Ordo Iuris), Akademii Ignatianum w Krakowie, Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu (uczelnia ojca Tadeusza Rydzika) oraz Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie.

Aż 106 przyszłych nauczycieli etyki uprawnia do zdobywania na uczelni Ordo Iuris. Koszt to ok. 8 tys. zł za uczestnika. Płaci MEiN. Na ten cel resort zarezerwował ok. 2,1 mln złotych.

Katecheza to jedno. Episkopat dąży również do wprowadzenia matury z religii. Takie rozmowy ministrowie mieli toczyć z duchownymi rok temu. Biskup Wojciech Osiał – przewodniczący komisji KEP – nie zaprzeczał wówczas, że negocjacje w sprawie religii na maturze trwają. – Zagadnienie to jest obecne w rozmowach z Ministerstwem Edukacji i Nauki, ale podczas ostatniego spotkania nie było ono poruszane z myślą bliskiego wprowadzenia religii na maturze, np. od nowego roku szkolnego – mówił podczas spotkania podsumowującego 30 lat religii w szkołach.

– To jedno z dyskutowanych rozwiązań – potwierdził wiceminister Dariusz Piontkowski w Radiu ZET. – Skoro uczestniczymy w zajęciach religii, są uczelnie katolickie, chrześcijańskie, to zajęcia w szkole są przedśmionkiem.

Matura miałaby być nieobowiązkowa. – Ale decyzja jeszcze nie zapadła – dodał wiceminister.

Zbyt rozbudowane programy nauczania, znacznie odbiegające od podstawy programowej, nieadekwatna do nich siatka godzin, skutkują brakiem czasu na ich realizację”.

Trudno uwierzyć, że to słowa Witek. Przeladowana podstawa to jeden z najczęstszych komentarzy pod adresem reformy Zaleskiej. Zresztą Ministerstwo Edukacji zdaje sobie z tego sprawę. – Bez wątpienia musimy popracować nad odchudza-

niem podstawy programowej niektórych przedmiotów po to, żeby plan lekcji nie zakładał więcej niż 6, 7 godzin w szkole. Wydaje się, że 9 godzin w szkole powoduje, że na 7., 8., 9. lekcji ta percepcja jest już na niskim poziomie – mówił Czarnek we wrześniu 2021.

Już w 2018 roku Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii razem z Ministerstwem Edukacji zleciło zbadanie, czego i jak się uczy, by stwierdzić, w jakim stopniu polska szkoła przygotowuje uczniów do funkcjonowania w innowacyjnej gospodarce. Okazało się, że dwa lata po reformie Zalewskiej uczniowie boją się myśleć kreatywnie, nie wychodzą poza schematy, a szkoła zabija w nich spontaniczność.

Autorzy raportu piszą o XIX-wiecznym systemie, podstawie programowej, która nie sprzyja kształceniu umiejętności krytycznego myślenia, ale uczy wkuwania i zabija spontaniczność przez zakazywanie uczniom podejmowania prób rozwiązania problemu. Krytykują też podział na przedmioty – sugerują, że wiedza powinna być przekazywana interdyscyplinarnie. Zwracają uwagę, jakie zachowania są premowane: uczniowie, którzy nie przekroczyli żadnych reguł, są nagradzani. Tzw. grzeczni. A to, jak szkoła dzieli na „dobrych” i „złych”, ma ogromny wpływ na kształtowanie u uczniów kompetencji proinnowacyjnych – uważają.

Kompetencje proinnowacyjne: krytyczne myślenie, czytanie ze zrozumieniem, sprawdza badanie PISA. To największe badanie umiejętności uczniów na świecie, co trzy lata realizowane w państwach OECD, a także w kilkudziesięciu innych krajach świata. Sprawdza czytanie ze zrozumieniem, matematykę oraz nauki przyrodnicze.

Porównując wyniki z 2015 i 2018 roku, widać sukces gimnazjów: Polska odnotowała poprawę we wszystkich trzech kategoriach: w czytaniu ze zrozumieniem z 506 z do 512 pkt, w matematyce z 504 do 516 pkt i w naukach przyrodniczych z 501 do 511 pkt. Efekty powrotu do ośmioletniej szkoły podstawowej i czteroletniego liceum zaobserwujemy w kolejnej edycji.

Zwieńczeniem PiS-owskiej reformy ma być nowa matura po czteroletnim liceum i pięcioletnim technikum. – To będzie trudniejsza matura – przyznawał Czarnek. Obowiązuje ponad 40 lektur zamiast kilkunastu, wypracowanie docelowo ma być na 400 słów zamiast 250, a półgodzinny egzamin ustny obejmuje dwa pytania: z puli niejawnej i listy 280 zagadnień udostępnionych wcześniej.

Poloniści przestrzegają przed wkuwaniem i niesystematycznością. – Te ponad 40 pozycji utworów literackich jest nie do opanowania dla ucznia, który nie jest systematyczny i przygotowania zaczyna dwa miesiące przed egzaminem. Tym bardziej że przeważa na tej liście literatura staropolska i romantyczna. Jakby ta XX- i XXI-wieczna nie istniała – mówi Nauczyciel Roku 2021 Dariusz Martynowicz.

Elżbieta Witek w rozmowie z przyszłą kuratorką oświaty kilkakrotnie podkreślała, że należy zmienić system nadzoru pedagogicznego:

„Państwo w dużym stopniu pozbyło się odpowiedzialności za stan edukacji. Szkoły stały się w praktyce placówkami samorządowymi, a nauczyciele stracili status pracownika państwowego”.

„Państwo musi przejąć na siebie odpowiedzialność za stan oświaty i to państwo powinno finansować z budżetu wynagrodzenia nauczycieli. Samorządy powinny partycypować w kosztach bieżącego utrzymania szkół i remontów”.

„Państwu należy przywrócić odpowiedzialność za wykształcenie młodego pokolenia. Jednym z warunków właściwego funkcjonowania szkół jest sprawny nadzór pedagogiczny, którego dzisiaj praktycznie nie ma. Jesteśmy zwolennikami wzmoc-

nienia tego nadzoru i podporządkowania kuratorów oświaty bezpośrednio ministrowi edukacji”.

„Minister edukacji i kurator oświaty muszą mieć prawo wydawania wiążących poleceń organom prowadzącym szkoły i samym szkołom w zakresie nadzoru pedagogicznego i nadzoru prawnego. Uważamy również, że należy poszerzyć i wzmocnić kompetencje kuratora oświaty wobec tych jednostek samorządu terytorialnego, które łamią lub naruszają prawo oświatowe”.

Pierwsze osiągnięcia w tej dziedzinie ma na koncie ministra Zalewska. Od grudnia 2015 to minister na wniosek wojewody powołuje i odwołuje kuratorów. Może odwołać kuratora oświaty też z własnej inicjatywy. Od tamtej pory kuratorzy to ludzie z nadania politycznego.

Pozostaje jedynie podporządkować im dyrektorów. O tym mówi projekt nowelizacji prawa oświatowego nazywanej „lex Czarnek”: zwiększa nadzór kuratorów oświaty nad szkołami i zmienia zasady funkcjonowania w nich organizacji pozarządowych. Opozycja i środowisko oświatowe mówiły, że to zamach na autonomię szkoły, ręczne sterowanie placówkami, wybieranie prawomyślnych dyrektorów.

Projekt na początku marca zawetował prezydent. Andrzej Duda uzasadniał, że nowela wzbudza zbyt duże kontrowersje, a w obliczu wojny w Ukrainie potrzebna jest zgoda. Tuż po wecie Czarnek mówił, że nad nową wersją ustawy już pracują posłowie PiS z komisji edukacji, nauki i młodzieży, a będzie w nim „dokładnie to samo, co było w poprzednim”. Sprawa jednak przycichła.

Choć „lex Czarnek” to jedynie projekt, dyrektorzy, nauczyciele i uczniowie mówili o „efekcie mrożącym”. Każdy projekt, pomysły czy wycieczka, które zahaczałyby o konstytucję, prawa człowieka, prawa kobiet, kurzyły się na półce. Szkoły wołały unikać kontroli z kuratoriów. Szum wokół projektu miał też inny skutek, o którym coraz głośniej było na wiosnę: dyrektorzy nie stawiali się do konkursów. – Za duża odpowiedzialność, za małe pieniądze, nie chcemy kopać się z koniem – mówili.

PiS znalazł na to sposób: w specustawie o pomocy dla Ukraińców uwzględnił zapis o zatrudnianiu dyrektorów szkół – bez konkursów – po otrzymaniu pozytywnej opinii organu nadzorującego, czyli kuratora.

Jeśli samorządowi nie uda się znaleźć dyrektora do 2 września, czyli przeprowadzić z sukcesem konkursu, może przedłużyć powierzenie tego stanowiska dotychczasowemu dyrektorowi, wicedyrektorowi lub nauczycielowi tej szkoły, jeśli nie ma ona wicedyrektora. Potrzebna jednak będzie pozytywna opinia kuratora oraz

NAJKRÓCEJ

Jonasz

Pod opieką Larysy

Niby to żaden cymes: Polska zalana przecież braćmi ze Wschodu czy raczej siostrami. Pomagają, jak mogą. Mój kazus jest wszelako szczególny. Syn najął mi do pomocy Ukrainkę zgola nieprzeciętną, osobiwie po to, aby zajmowała się wyżej podpisanym, staruszkim wymagającym opieki. Larysa jest w tej roli znakomita, troskliwa jak matka, zarazem zdecydowana, własne zdanie ma, oj ma. Elokwentna bardzo. Serdeczna.

Pracuje w Polsce już któryś rok, charakterek ma, jak się wyżej rzekło, twardy, ale chęć do pracy nie mniejszą. Niech by tylko nie tuczyła mnie niemilosiernie. Nie widzi, żem już gruby jak wieprz?

To byloby na tyle, ale jeszcze coś o głowie. Nie mojej, nie Larysowej – ale prezydentckiej. Ukraiński prezydent spodobał mi się od zaraz. Z pochodzenia starozakonny – a ja też! Amen! ●



sów, bo szkoły w kryzysowej sytuacji mają inne rzeczy na głowie.

– Ci dyrektorzy, którzy się nie spodoba- ją, zgody na przedłużenie nie dostaną. Kurator de facto staje się decydem – komentował Marek Pleśniar, dyrektor biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, które skupia ok. 6 tys. dyrektorów z całej Polski. – Korzystają z kryzysu, zamieszania, egzaminów. Nie zauważyliśmy tego, nie zdążyliśmy oprotostować.

Pomysły Czarnka są w istocie pomysła- mi kierownictwa PiS i ich doradców: wykładowcy literatury polskiej z UJ profesora Andrzeja Waśki, ministra edu- kacji w 2007 r. i europosła prof. Ryszarda Legutki czy szefa wrocławskiego oddziału IPN prof. Włodzimierza Sulei.

Minister Czarnek realizuje to punkt po punkcie – tak jak jego poprzedniczka Anna Zalewska. O ile Zalewska próbowała to robić uśmiechem kota z Cheshire i mantrą, że „wszystko jest policzone”, „szkoły nie będą zlikwidowane”, a „nauczycieli przybę- dzie”, o tyle Czarnek straszy pozwami, laje dziennikarzy i daje kazania niczym z am- bony, w co się ubierać, kogo kochać, a kto jest tylko ideologią.

Oprócz tego odwiedza swoich i daje pie- niądze, niczym dobry gospodarz. Państwo- wa Wyższa Szkoła Zawodowa w Chełmie, w której filozofii uczy dr hab. Paweł Skrzy- dlewski, doradca ministra znany z wypo- wiedzi o „cnotach niewieścich”, otrzymała w zeszłym roku prawie trzy miliony na do- posażenie laboratoriów i biblioteki i zakup symulatora lotów FNTF II.

Wspólny raport Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii i Ministerstwa Edukacji: po reformie Zalewskiej uczniowie boją się myśleć kreatywnie, nie wychodzą poza schematy, szkoła zabija w nich spontaniczność, podstawa programowa zakazuje im prób rozwiązania problemu.

Nagradzani są ci, którzy nie przekroczyli żadnych reguł

opinia rady pedagogicznej i rady szko- ły. Powierzenie ma trwać nie dłużej niż do 31 sierpnia 2023 r., ale nie krócej niż jeden rok szkolny.

Ciekawiej jest w przypadku nowych szkół. Tam samorząd może powierzyć sta- nowisko ustalonemu przez siebie kandyda- towi na jeden rok szkolny, również po uzy- skaniu pozytywnej opinii kuratora, czyli bez konkursu.

I – jak twierdzi Czarnek – to wszystko na prośbę samorządów. Samorządy z kolei tłumaczą, że chciały uprosić procedury, nie zajmować się organizowaniem konkur-

Krótko po tym Czarnek mianował Skrzydlewskiego rektorem nowo powsta- łej Akademii Zamojskiej (z przekształcenia uczelni zawodowej i po zwolnieniu wszyst- kich jej pracowników). A sama Akademia otrzymała czek na blisko 4,8 mln zł na „re- alizację inwestycji i działań rozwojowych”.

To niejedyna taka darowizna. Dwa lata temu Katolicki Uniwersytet Lubelski (Alma Mater ministra) otrzymał 1,7 mln zł na wy- danie Powszechnej Encyklopedii Filozofii.

Żeby dzielić swobodnie pieniądze w oświacie, minister przeformował nowe- lizację, która daje mu dodatkowe kompe-

tencje: zyskał prawo do finansowania „pro- gramów i przedsięwzięć” ze środków na oświatę. Na co wydaje pieniądze?

M.in. 100 mln zł na program „Inwesty- cje w oświacie”: zakup nieruchomości, re- monty, wyposażenie szkół czy przedszko- li dla szkół niepublicznych. – Również ka- tolickich – dopowiedział minister na ostat- niej konferencji.

Katolickie szkoły i wydarzenia religij- no-narodowe Czarnek wspiera też swoją obecnością. Od końca:

18 sierpnia wziął udział w Spotkaniu Młodych Archidiecezji Lubelskiej w Gar- bowie. – Idziecie na tę ucztę, tego wam gra- tuluję, tego się trzymajcie, nawet jeśli będą źle o was mówili, bo będziecie wtedy bło- gosławieni. Błogosławieni, którym uraga- ją i źle mówią o nich z mego powodu, bo wielka jest ich nagroda w niebie – mówił do młodych minister.

10 sierpnia spotkał się z dziećmi polo- nijnymi, które uczestniczą w projekcie To- warzystwa Przyjaciół KUL „ARTcamp – KULturalne lato w Polsce” w Domu Pracy Twórczej KUL w Kazimierzu Dolnym.

1 lipca wziął udział w 85. Ogólnopolskiej Pielgrzymce Nauczycieli i Wychowawców na Jasną Górę.

24 czerwca – w ogólnopolskim zakoń- czeniu roku szkolnego 2021/2022, które odbyło się w Katolickim Liceum Ogólno- kształcącym im. Świętej Rodziny w Siedl- cach.

18 maja odwiedził uczelnię Rydzy- ka, gdzie podsumował działania rządu na rzecz ukraińskich uczniów i uczennic: – Stworzyliśmy niezwykle elastyczny sys- tem przyjęcia do szkół ukraińskich dzieci.

22 kwietnia rozstrzygnął konkurs „Pol- ska-Węgry – historia przyjaźni”. W przed- sięwzięciu uczestniczyło ponad 2 tys. uczniów i uczennic z całego kraju. – Jeste- ście wybitnymi historykami, znawcami re- lacji polsko-węgierskich. Tego państwu przede wszystkim gratuluję – powiedział.

Można przypuszczać, że to prywatne inicjatywy ministra. ●

L Zaakceptowany już przez ministerstwo Przemysłu Czarnka podręcznik profesora Roszkowskiego do przedmiotu historia i teraźniejszość najlepiej opisują dwa cytaty z samego autora: „Przemilczano fakty niewygodne, dobierano fałszywe proporcje i konteksty, wartościując wszystkie zjawiska społeczne w specyficznej »nowomowie«” oraz: „młodzież zaczęło głównie uczyć o nadużyciach cywilizacji zachodniej, a nie o jej osiągnięciach”.

Tyle że pierwszy odnosi się do epoki Gomułki, a drugi do zachodniej edukacji w latach 70.

MYSZKA MIKI, ELON MUSK I KRZYŻOWCY

Poglądy autora w sferze obyczajowej – jak te o in vitro – wydają się tak oderwane od tego, czym żyje młodzież, że raczej, wbrew obawom krytyków, nie wywrą na nią wpływu. Groźniejsza wydaje się pesymistyczna wizja dziejów. W świecie „HiT” trudno znaleźć piękno, radość czy postęp.

Książka to swoiste silva rerum. Autor podaje fakty historyczne, by zaraz przejść do własnych rozważań o naturze życia ludzkiego albo uwag na temat dzisiejszych socjalistów typu: „kapitał ich już nie mierzi, żyją w luksusach”. Obok dywagacji, w co wierzą ateści, czy spostrzeżeń typu: „większość może ustalić, że np. dwa i dwa to pięć”, są tu tajemnicze losy Kaspára Hausera, nauki Arystotelesa, biały yuppie z wielkiej aglomeracji zachodniej, torba z napisem „No Rules”, Myszką Miki, lądowanie na Księżycu, Miss Ameryki z 1968 r., Elżbieta I z XVII w., średniowieczny ołtarz Wita Stwosza, Mahatma Gandhi, PKN Orlen, Elon Musk, Jezus wyganiający handlarzy ze świątyni, Marc Bolan z T. Rex, krzyżowcy zdobywający Jerozolimę w 1099 r., komputer IBM, Andrzej Duda, Era Wodnika...

Książka, która omawiając przeszłość, stale nawiązuje do teraźniejszości, jest przez to dość chaotyczna. Zaskakuje rozłożenie akcentów – poświęcenie dwóch stron na opis działań Światowej Rady Pokoju albo szczególne uhonorowanie Klausa Fuchsa, niemieckiego fizyka, który informował Moskwę o amerykańskich pracach nad bronią atomową. Najwyraźniej w oczach autora jest on uosobieniem infiltracji Zachodu przez Kreml. Fuchs pojawia się co najmniej trzy razy – na s. 48 zamieszczono nawet jego portret i biogram, choć zamieniono mu imię na Karl. Prof. Andrzej Friszke w wywiadzie dla OKO.press zauważył, że „HiT” przeładowany jest informacjami (daty, nazwiska) na temat historii Chin czy konfliktów na Dalekim i Bliskim Wschodzie. „Nawet jako historyk, który zna i lubi szczególnie, jestem zmęczony szczegółowością opisu” – mówił prof. Friszke, obawiając się, czy nastolatki będą w stanie przyswoić sobie tę wiedzę.

W CO WIERZĄ WIELKOBRYTANIE?

Na stronie 207 czytamy, że w 1956 r. zginęło na Węgrzech ponad kilkanaście tysięcy powstańców, by cztery strony dalej dowiedzieć się, że ofiar było kilkadziesiąt tysięcy. Przy czym dziś historycy są zgodni, że ofiar nie było więcej niż pięć tysięcy.

Zastanawia takie zdanie: „W większości państw Europejskich, takich jak np. Polska, Francja, Wielka Brytania, Włochy, Węgry, Hiszpania, Portugalia czy Dania, narodowość określana przez język, religię, terytorium i długą historię ma poważne znaczenie, co ujawnia się nie tylko przy okazji meczów piłki nożnej”.

Czy więc istnieje narodowość wielkobrytyjska? Czy Anglika, Szkota, Irlandczyk (Północnego) i Walijszyk łączą język, religia itp. i nad kibicowanie własnym narodowym drużynom przedkładają kibicowanie reprezentacji Wielkiej Brytanii, która nie należy do FIFA i UEFA i nie grają w niej Irlandczycy oraz Szkoci?

Zapewne ofiarą uproszczeń jest nazywanie Armii Sowieckiej po 1946 r. Armią Czerwoną czy też informacja, że art. 5 NATO dotyczyć miał „tylko terytoriów europejskich, północnoamerykańskich, Algierii i terenów położonych na Północ od zwrotnika Raka”. Owszem, traktat obejmował francuskie departamenty Algierii, ale gdy czytelnik w kolejnym zdaniu dowiaduje się, że „za sprawą USA kolonialne posiadłości Anglii i Francji zostały wyłączone z zasięgu układu”, musi się zastanawiać, czym więc była Algieria.

To wszystko drobiazgi. Są jednak w książce nieprecyzyjne stwierdzenia, które raczej oddają światopogląd autora. Czytamy więc, że w 1953 r. „prozachodni zamach stanu” w Iranie zapobiegł zbliżeniu tego kraju do Moskwy. Zamach tymczasem był akcją CIA i MI6, które obaliły legalny rząd, starając się doprowadzić do sprawiedliwego podziału zysków z ropy



POLSKA NIE MA PRZYJACIOŁ

Kaspar Hauser, Arystoteles, Marc Bolan z T. Rex, komputer IBM, Andrzej Duda, zdobycie Jerozolimy i Era Wodnika.

Przeczytałem „HiT” od deski do deski

między Iranem i zachodnimi koncernami. Prof. Roszkowski powinien rozumieć politykę Irańczyków, bo sam pisze, jak to w Polsce zagraniczne koncerny reprezentują obce interesy.

Dowiemy się też, że w Chile „umiarkowane rządy chadeckie zostały obalone przez radykalną koalicję lewicową Salvadora Allende”, który jednak „na skutek chaosu i ruiny gospodarczej został usunięty we wrześniu 1973 r. przez spisek grupy wyższych oficerów, czyli juntę gen. Augusto Pinocheta”. Reformy Pinocheta „zdynamizowały rozwój Chile, choć ceną tego były masowe represje wobec lewicy”.

Allende jednak nikogo nie obalał, ale zwyczajnie wygrał wybory, szukał potem porozumienia z chadekami, czym podpadł radykalnej lewicy, zaś pierwszy okres jego rządów przyniósł poprawę gospodarczą. Pogorszenie nastąpiło, ale wskutek zmowy kontrolującej różne sektory gospodarki prawicy i amerykań-

skich służb specjalnych, które udzieliły puczystom wsparcia. I to Allende został obalony, a nie odsunięty.

Generalnie prof. Roszkowski zdaje się być wyrozumiały dla prawicowych dyktatur, uważając, że stabilność i rozwój gospodarczy równoważą represje – sięgające nieraz tysięcy ofiar.

NIEMCY SIĘ ZBROJĄ

Wizja wylaniająca się z „HiT” jest przygnębiająca: Polska nie ma w świecie przyjaciół. Czyhają na nią stale Niemcy i Rosja, zaś opanowany przez sowieckich agentów i „pożytecznych idiotów” Zachód nieustannie ją zdradza. Pogrobowcy nazistów i komunistów niszczą dziś cywilizację zachodnią – propagując rewolucję obyczajową prowadzącą do „rozkładu tradycyjnych społeczeństw Zachodu”. Wciąż większość sta-

ANDRZEJ BRZEZIECKI*

.....





• **Salvador Allende z wizytą w Meksyku – pod silną ochroną, s podziwiano się próby zamachu. Z podręcznika do HiT dowiemy się, że w Chile „umiarkowane rządy chadec-kie zostały obalone przez radykalną koalicję lewicową Salvadora Allende”, a reformy Pinocheta „zdynamizowały rozwój Chile”** FOT. AP

nowią tam intelektualści o marksistowskiej orientacji i „dzisiejszy świat zachodni jest pod zdecydowanym wpływem ludzi, którzy po wojnie uznali i narzucili ideologię komunistyczną innym krajom i narodom” oraz że w latach 70. dorastało pokolenie, „którego szaleństwa doprowadziły w naszych czasach cywilizację zachodnią na skraj katastrofy”.

Najgroźniejsi są wciąż Niemcy lansujące ideę federacyjnej Europy. W latach 50., gdy „remilitaryzacja Niemiec Zachodnich stała się faktem”, nikt „się nie zastanawiał, jakie mogą być tego skutki dalekosieżne”. Tymczasem „kraj ten w którymś momencie może ponownie wrócić do imperialnych ambicji”. Już dziś produkuje i eksportuje broń na wielką skalę.

Na razie Berlin, zamiast podbijać Europę, jednoczy ją pod swoje dyktando. Z Europą autor ma problem: wprawdzie afirmuje on wartości cywilizacji zachodniej, ale jednocześnie nie wierzy w wartości europejskie, pisząc, że konserwatyści słusznie uważają je za wymysł lewicy. Gdzie więc szukać tych wartości zachodnich, skoro nie ma ich na Zachodzie?

Jak też wytłumaczyć, że ten zdradliwy Zachód przeżerany przez komunizm jednak wygrał, a Polacy marzyli, by do niego dołączyć?

Tamten Zachód był jedynie wspólnotą gospodarczą. Dlatego także dzisiejszej chadecji nie należy utożsamiać z tą sprzed pół wieku. Dzisiejsza to jakieś popłuczyny. Taki Jean-Claude Junker w 2018 r. uznał np. Marksa za wybitnego myśliciela – dowiemy się z podręcznika poświęconego epoce 1945–79. Dowiemy się też, że winna jest głównie Angela Merkel, która „bardzo przysłużyła się do degradacji” chadecji. To nic, że w 1979 r. Merkel miała 25 lat, formuła „HiT” pozwala krytykować ją już teraz, tak samo jak zamieszczać zdjęcie urodzonego w 1972 r. Andrzeja Dudy.

Teza o degradacji zachodniej chadecji pozwala wyjaśnić, dlaczego projekty głębszej integracji są złe, choć Unię Europejską tworzyli właśnie niemieccy czy włoscy chadecy. Oni chcieli współpracy gospodarczej, tymczasem dziś RFN chce tworzyć państwo molocho. „Świadczy to niestety o złych intencjach. Poza tym trzeba zapytać: po co taka federacja? Czyżby miała służyć tylko Niemcom?” – pyta autor.

Nie możemy dziś spytać Alcide De Gasperiego ani Roberta Schumana, co naprawdę myślą o dzisiejszej Europie i współczesnej chadecji.

POLACY ZAWSZE NIEWINNI

Prof. Roszkowski przypomina, że Niemcy nie zostali należycie rozliczeni za zbrodnie II wojny światowej – co uderzało głównie w Polskę. Nie przekonuje go, że alianci zachodni postawili okupowaną przez siebie część tego kraju na nogi w obawie przed ekspansją komunizmu. Jednocześnie widzi skuteczność takiego rozwiązania w Japonii: „Obawiając się wpływów komunistycznych w tym kraju, Amerykanie dokonali bardzo skutecznej transformacji polityki japońskiej. Ukarali jedynie niektórych przywódców, usunęli z administracji najbardziej gorliwych nacjonalistów, doprowadzili do demilitaryzacji Japonii i przekonali opinię publiczną do demokratyzacji kraju, pozostawiając zarazem u władzy cesarza Hirohito odpowiedzialnego za wybuch wojny”.

Czyżby cierpienie ofiar Japończyków nie wymagało rozliczeń? Jednocześnie pisząc o liście polskich biskupów do niemieckich w 1965 r., cytuje słowa: „żadnej polemiki, żadnej dalszej zimnej wojny, ale początek dialogu (...) wyciągamy do Was (...) nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Jak więc list biskupów ma się do ciągłego podkreślenia krzywd i braku należytej rekompensaty? Czyżby władze PRL miały rację, oskarżając biskupów o rozgrzeszanie nieskruszonych?

To prawda, że „Polacy stanowią największą liczbę osób na świecie wyróżnionych medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” – bo jest ich trochę ponad 7 tys. Polska przed 1939 r. była największym skupiskiem Żydów w Europie i tu też Niemcy w ogromnym stopniu dokonali ich Zagłady. Siedem tysięcy to dużo, ale Holandia – dwukrotnie mniej liczebna – szczyści się blisko 6 tys. Sprawiedliwych – choć oczywiście tam za pomoc Żydom nie groziła śmierć.

Niemniej już stwierdzenie, że „najtragiczniejsze wspomnienia z l. 1939–1945 mogli mieć Polacy” jest ryzykowne, jeśli weźmiemy pod uwagę Shoah. Oczywiście można twierdzić, że w straty polskie, stanowiące 6 mln ludzi, wliczeni zostali obywatele żydowskiego pochodzenia, których zginięło 3 mln, tyle że potem, pisząc o wizycie kanclerza Willy’ego Brandta w 1970 r. w Polsce, niezręcznie brzmi żal, iż ten „ukłęknał w Warszawie przed pomnikiem niemieckich ofiar, ale był to pomnik ofiar warszawskiego getta”. Z tego wynikałoby, że walczący w getcie Żydzi nie należeli do Polski. To prawda, że nie było wtedy pomnika po-

wstania warszawskiego, ale nie była to wina Brandta ani Żydów. Natomiast polska inteligencja zbudowała już konspiracyjnej Warszawie inny pomnik. Tym pomnikiem były publikacje książkowe, a jego architektem był Władysław Bartoszewski. Ale o tym nie przeczytamy.

Pogrom kielecki z 1946 r. autor nazywa prowokacją. Nie wspomina, że wielu ubeków miało prawniczą przeszłość, a przede wszystkim nie bierze pod uwagę, że prowokacja nie udaje się tam, gdzie nie ma dla niej gleby, a wcześniej do pogromu doszło też w Krakowie oraz w Rzeszowie (w tym ostatnim bez ofiar śmiertelnych). Niemniej Polska była tym krajem w Europie, gdzie po 1945 r. wciąż zabijano Żydów.

W niemieckim cudzie gospodarczym prof. Roszkowski widzi głównie skutek amerykańskich pieniędzy i grabieży dokonanych w Polsce. Pisząc o tolerancji dla byłych nazistów nie wspomina o pomocy, jakiej udzielały im Kościół katolicki oraz prawicowe reżimy Ameryki Południowej. Chwali Piusa XII za bezkompromisowe stanowisko wobec komunizmu, ale nie wymaga takiego wobec hitleryzmu.

Dekolonizacja, jego zdaniem, była procesem nieprzemyślanym pod względem gospodarczym i społecznym, „czego negatywne skutki odczuwalne są do dziś”.

Jak byśmy się czuli, czytając w jakimś zagranicznym podręczniku, że rozpad imperium radzieckiego dokonał się w sposób chaotyczny, czego skutki dają o sobie znać do dziś? Niby prawda – a jednak zaboloby...



Jeden z kodów QR odsyła do piosenki „Don’t Cry for Me Argentina” Madonny.

Co będzie, gdy zauroczony nastolatek znajdzie w sieci potępiony przez samego Jana Pawła II teledysk „Like a Prayer” albo „Justify My Love”?

Podobnie myśli autor o równouprawnieniu czarnych, które jawi się niczym wylewanie dziecka z kąpielą. Ruch Black Lives Matter to przejaw nienawiści do białych. Autor potępia niewolnictwo, ale pyta: „czy jest jednak sens dzisiaj w XXI w. obciążać winą tych, którzy z wysiłkiem niewolników nie mają nic wspólnego? Jedyną ich winą staje się to, że są biali”.

A gdyby tak „wyzysk niewolników” podmienić na „hitleryzm”, a „białych” na „Niemców” – czy autor zgodziłby się z takim zdaniem?

NIE MAMY SOBIE NIC DO ZARZUCENIA

Z „HiT” dowiadujemy się, że po 1945 r. wszystkie państwa zamazywały swoją przeszłość. Radzieckie społeczeństwo dało sobie wmówić, że Wielka Wojna Ojczyźniana była triumfem komunizmu i nie pytało już o pakt Ribbentrop-Mołotow, Francuzi wypierali Vichy i współudział w Holokauście, Węgrzy, Słowacy, Chorwaci, Rumuni i Bułgarzy także „chętnie zapominali o swoich kolaboranckich rządach”, Czesi minimalizowali swój oportunizm, a Brytyjczycy przemilczeli „kompromitujące aspekty” swej polityki sprzed 1939 r. Tylko Polacy nie mieli sobie nic do zarzucenia – ani polityki wobec mniejszości narodowych przed wojną, ani Zaolzia, ani Jedwabnego.

Wizja dziejów Polski jest zaś taka, że zaraz po 1945 r. porządnie zachowali się chyba tylko „żołnierze niezłomni” oraz Kościół – choć czytelnika może wprawić w zakłopotanie cytat z porozumienia między kard. Stefanem Wyszyńskim a komunistami mówiący o zwalczaniu „band podziemia”. O postawach takich ludzi jak Tadeusz Manteuffel czy Aleksander Gieysztor, próbujących młodym Polakom dać szansę nauki, nie dowiemy się nic.

Dopiero potem, w latach 70., opozycja się organizowała. Trudno było pominąć Jacka Kuronia i Adama Michnika, ale wychodzi na to, że najważniejszymi działaczami byli Jan Olszewski, Antoni Macierewicz oraz bracia Lech i Jarosław Kaczyńscy. Ci drudzy mieli ponadto tę przewagę, że w przeciwieństwie do Michnika i Kuronia nie chcieli się dogadywać z „ruskimi” i nie chcieli żadnych „doraźnych kompromisów, jeśli idzie o suwerenność Ojczyzny”. Taką po-

stawę zajmowało jeszcze też Polskie Porozumienie Niepodległościowe – z którym związany był autor książki. To, że kilka lat później środowisko Macierewicza lansowało porozumienie z komunistami, a Lech Kaczyński brał udział w spotkaniach w Magdalence, jakoś nie jest istotne. O bezkompromisowości Ruchu, którego działacze dostali kilkuletnie wyroki za próbę wysadzenia pomnika Lenina, ani słowa. Nie dowiemy się także o głodówce w kościele św. Marcina w obronie KOR-owców. Zaś jeśli idzie o Wolne Związki Zawodowe, autor słusznie przypisuje pierwszeństwo Katowicom, lecz informacja, że potem powstały „kolejne, między innymi na Wybrzeżu”, to próba minimalizowania znaczenia środowiska gdańskiego.

Za to autor nie ma wątpliwości, że Stanisław Pyjas zginął z inspiracji SB, choć nawet wychwalany przez niego IPN nie ma w tej kwestii pewności.

Nieobecne w książce jest środowisko „Tygodnika Powszechnego” i cały ruch Znak. Owszem, przy okazji Października ’56 czytamy, że do Sejmu weszła małańska reprezentacja katolików, ale bez szczegółów. Z obszernej informacji o Karolu Wojtyłe dowiemy się, że kibicował Cracovii, w latach 40. nauczył się hiszpańskiego, a potem m.in. był wikarym w Niegowici, ale nie, że debiutował on właśnie w „Tygodniku Powszechnym”, że przyjaźnił się z jego redaktorami i wspierał ich przez lata. Przeczytamy zaś, że Biały Kruk, wydawca „HiT”, był ulubionym wydanictwem papieża.

Nie dowiemy się, że Jerzy Turowicz bronił publicznie listu biskupów do niemieckiego episkopatu, za co atakował go Gomułka. Przy okazji Soboru Watykańskiego II także brak informacji, że głównym propagatorem jego idei był właśnie ruch Znak.

Czytając o wydarzeniach marcowych, nie dowiemy się o interpelacji koła Znak ani o posiedzeniu Sejmu, które było publicznym linczem znakowców. Stefan Kisielewski był według prof. Roszkowskiego znakiem felietonistą, ale gdzie zamieszczał felietony, też się nie dowiemy. We fragmencie o zmianach konstytucji PRL w 1976 r. brak wzmianki o geście Stanisława Stommy.

Jedno trzeba odnotować na plus – autor nie relatywizuje epoki Edwarda Gierka i szkód, jakie wyrządził jego gospodarczy woluntaryzm, co dziś jest modne, także chyba wśród zwolenników obecnego rządu.

Sympatie widać także w stosunku do narodów wschodniej Europy – autor ceni narody bałtyckie, czemu daje wyraz, pisząc, że Litwini, Łotysze i Estończycy stworzyli „największą w liczbach względnych partyzantkę antysowiecką w historii”. Tu akurat liczby względne – w przeciwieństwie do liczenia Sprawiedliwych – się przydają. Inaczej trzeba by wspomnieć o UPA, która walczyła dłużej i sprawiała Moskwie większe problemy. O ukraińskiej partyzantce prof. Roszkowski oczywiście wspomina – komentując, że wsławiła się „nie tylko zbrojnym oporem wobec Sowietów, ale także ludobójczymi masakrami polskiej ludności cywilnej na Wołyniu”.

Los wschodnich województw II RP nie jest autorowi obojętny, skoro jeszcze odnośnie do 1949 r. pisze o wzmożonej kolektywizacji na „polskich Kresach Wschodnich”. Profesor kilkakrotnie oplakuje utratę Kresów, a ziemię zachodnie, Gdańsk oraz Warmię i Mazury nazywa „znacznie mniejszą rekompensatą” za ziemię wschodnie. Jeśli idzie o powierzchnię – zgoda. Niemniej przesunięcie na zachód i przejście terenów lepiej rozwiniętych chyba per saldo wyszło Polsce na dobre. Zakończyło też spór z Ukraińcami oraz Litwinami.

NIEKTÓRZY, NIEKTÓRE, NIEKTÓRYCH

Autor lubi polemizować z argumentami, które trudno komuś wprost przypisać, ale łatwo je zbijać i są dobrą odskocznią do prezentacji własnego światopoglądu. Są więc „niektórzy politycy” głoszący konieczność

niemieckiej hegemonii w Europie i gotowi oddać suwerenność kraju na pastwę brukselskich biurokratów i technokratów, a w Niemczech w „niektórych szkołach uczą o »polskich obozach śmierci«”. Czytamy także o twierdzeniach „niektórych historyków o lewicowym przechyle” twierdzących, że brak dowodów, iż to Chrystus założył Kościół, natomiast „większość konfliktów w relacjach państwo – Kościół wynika z agresywnego ateizmu niektórych ugrupowań politycznych”. Ponadto „w niektórych opracowaniach historyków i w publicystyce można spotkać pogląd, iż to nasz region Europy jest siedliskiem nacjonalizmów” itp., itd...

Równie enigmatyczne jest stwierdzenie, że „w publicystyce historycznej można spotkać określanie Polski sanacyjnej lat trzydziestych ubiegłego wieku mianem państwa totalitarnego”, podczas gdy Piłsudskiego szanowano powszechnie i dobrowolnie. Czytamy dalej: „Istniała propaganda państwowa, to prawda, ale miała cele nie tylko polityczne, lecz także patriotyczne. Nie była wykluczona propaganda innych partii”.

Najważniejsi opozycjoniści według „HiT”: Jan Olszewski, Antoni Macierewicz, Lech Kaczyński, Jarosław Kaczyński

Kto twierdzi, że II RP była państwem totalitarnym – nie wiadomo. Owszem, często nazywa się sanacyjną Polskę krajem autorytarnym – ale nie z powodu propagandy, tylko z racji procesu brzeskiego, Berezys Kartuskiej, cenzury i machlojek wyborczych.

Nie jest precyzyjne także twierdzenie, że „czołowy działacz” PZPR Mieczysław Moczar oddał charakter tej partii, mówiąc po jej powstaniu w grudniu 1948 r., że dla partyjniaków „Związek Radziecki jest naszą Ojczyzną”. Moczar te słowa wypowiedział jeszcze przed powstaniem PZPR i wcale nie zamierzał świadczyć o niczym, tylko ratował skórę, odcinając się od Gomułki oskarżanego o odchylenie nacjonalistyczne. Nie był wtedy też czołowym działaczem, bo nawet po powstaniu PZPR był jedynie zastępcą członka KC PZPR i pełnił funkcje wojewody na prowincji.

Także dzieje cenzury, które prof. Roszkowski opisuje od 1945 r. do 1990 r., są uproszczone. Pisząc, że ingerencje cenzorskie nie były nigdzie – w tekście, filmie czy widowisku – zaznaczane, nie informuje, że jednak po przeforsowaniu przez „Solidarność” ustawy z 1981 r. była taka możliwość i korzystał z niej „Tygodnik Powszechny” aż do końca PRL. No ale wtedy trzeba by napisać o tym piśmie.

Prof. Roszkowski dość często przypomina określonym postaciom ich przeszłość: politykom RFN karierę w III Rzeszy, liberalnym inteligentom – wcześniejsze zauroczenie komunizmem, działaczom komuni-

stycznym – żydowskie pochodzenie. Oczywiście dotyczy to osób, z którymi autorowi nie po drodze. W przypadku innych można przemilczeć przynależność do PZPR.

Autor z dezaprobatą pisze o fascynacji zachodniej młodzieży w latach 60. Che Guevarą, ale nie wspomina, że ten rewolucjonista miał wtedy w Polsce także zagorzałego fana w postaci Antoniego Macierewicza. A prezentując sylwetkę Jana Olszewskiego, nic by mu nie ujął, pisząc, że był w redakcji rewizjonistycznego „Po Prostu”, gdzie publikował m.in. wraz z Walerym Namiołkiewiczem (zaufany Gomułki i stronnik Mocza-ra), że chwilę po Październiku nawet współpracował z samym Gomułką, którego na swój sposób cenil, o czym mówił w wywiadzie dla „Biuletynu IPN” w 2006 r. Wywiadu tego udzielał wraz... z prof. Roszkowskim. Olszewski ponadto miał w życiorysie epizod masoni i zadawał się z socjalistami jak Jan Józef Lipski – bo takie miał wtedy poglądy.

WYBITNI TYLKO PRAWICOWI ARTYŚCI

Interesujące jest także prezentowanie postaci kultury. Można nabrać podejrzeń, że jakoś sztuki zależy od światopoglądu. I tak, Tadeusz Konwicki był prozaikiem, Antoni Slonimski poetą, Marek Hłasko pisarzem i scenarzystą, Witold Gombrowicz pisarzem, a Czesław Miłosz jest „uznawany za jednego z najwybitniejszych polskich poetów XX w.”. Tymczasem Zbigniew Herbert to po prostu „jeden z najwybitniejszych poetów polskich XX w.”, zaś Bohdan Urbanowski to autor „60 wybitnych książek”, Gustaw Herling-Grudziński to wybitny i czołowy pisarz. Także Leszek Długosz to „wybitny poeta i pieśniarz” – ciekawe zresztą: „HiT” dwukrotnie wspominając Piwnicę pod Baranami, wymienia tylko dwie osoby: jej twórcę Piotra Skrzyneckiego (nie wiemy, czy był w czymś wybitny) i właśnie wybitnego Długosza.

Witkacy chyba też nie był wybitny, bo w PRL odkryto go tylko z powodu tego, że ukazywał bezsens życia w realiach przedwojennych. Wymieniając wielu muzyków epoki PRL – autor nie wspomina o świętącej triumfy na największych scenach świata skrzypaczce Wandzie Wilkomirskiej, pierwszej żonie Mieczysława Rakowskiego. A prof. Tadeusz Kotarbiński dominował w filozofii, ale był jednym z czołowych „Budowniczych Polski Ludowej”.

Podobnie jest w przypadku zagranicznych twórców. Pisarzem wybitnym był bodaj tylko katolicki autor Gilbert K. Chesterton, a z antropologów na takie miano zasłużył jedynie Joseph D. Unwin przestrzegający Zachód przed moralnym upadkiem. Natomiast Ernest Hemingway był co prawda niezwykle popularny (choć najwyżej nie wybitny), ale przede wszystkim „skompromitowany współpracą z wywiadem sowieckim w czasie wojny domowej w Hiszpanii”.

Autor również upraszcza, pisząc, że władza komunistyczna „od początku lubiła awangardę”, a to dlatego, że miała ona ograniczony zasięg ze względu na „trudną, często niezrozumiałą formę przekazu”. Dziś jednak przypomina autor, awangarda w teatrach bywa „normą nierzadko naprawdę skandaliczną”. Komuniści tymczasem długi czas zwalczali awangardę jako niepraktyczną, oderwaną od realiów. Chruszczow widział w niej nawet przejaw pederastii.

Prof. Roszkowski analizuje nihilistyczną postawę muzyków rockowych epoki flower power – między innymi Pink Floyd, zaś punk nazywa „symbolem kontynuacji rewolucji lat sześćdziesiątych”. Tymczasem punk był wymierzony właśnie w subkulturę hippisów, a wokalista Sex Pistols nosił koszulkę z napisem „Nie cierpię Pink Floyd”. „HiT” milczy o muzykach The Clash, którzy chyba jeszcze bardziej niż on krytykowali zachodnią „pogoń za rozrywką i przyjemnościami”.

Frapujące, że pastwiąc się nad Floydami czy Stonesami, autor „HiT” nie zwrócił uwagi na Black Sabbath – zespół podejrzewany o satanizm! Swoją drogą – jeden z ko-

dów QR odsyła do piosenki „Don’t Cry for Me Argentina” w wykonaniu Madonny. Co będzie, gdy zauroczony głosem piosenkar-ki nastolatek znajdzie w sieci kadry ze świętokradczego i potępianego przez samego Jana Pawła II teledysku Madonny „Like a Prayer” albo choćby pełnego erotyzmu „Justify My Love”?

W OBRONIE WARTOŚCI PATRIOTYCZNYCH

Szczęśliwie zawarte w zachodnich piosenkach obrazoburcze treści nie dotarły od razu do polskiej młodzieży „z uwagi na bardzo rzadką znajomość języków obcych”. Czyli jak śpiewali Ramones: „ignorance is bliss”. Pisząc o polskiej młodzieży, autor, zapewnia: „Ówczesne »prywatki« były najczęściej jedynie okazją do tańców, a alkohol był spożywany w umiarkowanych ilościach”.

Jak to się więc stało, że już wkrótce, bo w kolejnej dekadzie, „dramatyczny stał się wzrost alkoholizmu i, zwłaszcza pod koniec dziesięciolecia, narkomanii”? Widocznie Polska młodzież szybko opanowała języki obce...

Tak odpowiednio dobierając proporcje, przemilczając kontekst, można osiągnąć przeróżne wyniki.

Zróbmy eksperyment i weźmy wyminki z książki prof. Roszkowskiego: „»Liberalizmem« nazywa się często pogląd o nieograniczonej wolności jednostki, czyli mówiąc wprost: anarchizm”. Za to konserwatyści słusznie „nie chcą rezygnacji z tradycji i obyczajów w imię zasad kosmopolitycznych nieszanujących pojęcia »ojczyzna«”. Rewolucja młodzieżowa lat 60. wypowiadała wojnę „normom jako takim”, zaś ruch punk był buntem „przeciw normom społecznym”, któremu chodziło o wyrażenie „lekceważenia dla wszelkiej formy”.

A teraz weźmy fragment jednej z rezolucji uchwalonej w 1968 r. w czasie nagonki na polską inteligencję. Członkowie PZPR pracujący w przemyśle filmowym potępiali występujące w wielu produkcjach „objawy nie liczenia się z tradycjami patriotycznymi, etyczno-moralnymi społeczeństwa i wkładem narodu w zwycięstwo postępu i socjalizmu”. W rezolucji czytamy: „pod pretekstem poszukiwań twórczych i swobody twórczej w ostatnich latach zrealizowano szereg filmów obcych »naszej sprawie«, społecznie obojętnych, lansujących częstokroć nihilistyczne i dekadentkie postawy życiowe, negujące chlubne wartości patriotyczne i postępowe w naszej historii”.

Czy melodia nie jest podobna? To samo potępienie wolności, rzekomego odejścia od tradycji, wartości patriotycznych i hołdowania obcym, kosmopolitycznym wzorcom. Oczywiście zabieg powyższy jest krzywdzący dla autora „HiT”, ale nie dla metody, jaką zastosował.

We wstępie do podręcznika czytamy, że jego założeniem jest nauka wyciągania wniosków z faktów i snucia własnych refleksji. W praktyce podręcznik jasno określa, co jest dobre, a co złe. Na własne refleksje nie ma miejsca. Poglądom innym niż autora towarzyszą określenia takie jak szalenstwo, agresja, anarchia, zakłamanie.

Można nabrać wątpliwości, czy autor potraktował uczniów szkół średnich jako partnerów i ufa, że potrafią oni samodzielnie myśleć. ●

*Andrzej Brzeziecki

• historyk i dziennikarz. Autor książek „Czer-niawski. Polak, który oszukał Hitlera”, „Łukaszenka. Niedoszły car Rosji”, „Białoruś – kartofle i dzinsy”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi” (dwie ostatnie wraz z Małgorzatą Nocur). Ostatnio wydał: „Wielka gra majora Żychonia. As wywiadu kontra Rzesza”

Historia i teraźniejszość prof. Roszkowskiego

PISZĘ OD LAT TAK SAMO. ZATEM O CO CHODZI?



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

P

– Pisze to, co mu dyktuje sumienie – ocenia prof. Piotr Osęka, kolega Wojciecha Roszkowskiego z Instytutu Studiów Politycznych (dalej ISP) PAN. – Od dłuższego czasu walczy z Antychrystem, który zstąpił na ziemię w postaci rewolucji obyczajowej 1968 r.

– Coś się z nim stało, ale co? – zastanawia się prof. Karol Sanojca z zakładu dydaktyki Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego, który mówi o sobie, że z książek Roszkowskiego korzystał chętnie jako młody nauczyciel. Sanojca jest również wiceprzewodniczącym komisji podręcznikowej Polskiej Akademii Umiejętności, więc nie ma problemu z syntetyczną recenzją „Historii i teraźniejszości”: – To nie podręcznik, ale polityczny pamflet.

– A przy tym suma wszystkich lęków prawicy i Kościoła wobec współczesności, lęków wynikających głównie z niezrozumienia tejże – dopowiada kolega Roszkowskiego, który przez pewien czas był mu naukowym szefem, więc wybiera anonimowość.

– Wizję świata Wojciecha Roszkowskiego streściłabym jednym zdaniem: kiedyś to były czasy, a teraz nie ma czasów – żartuje prof. Anna Landau-Czajka, która po przeczytaniu „HiT” złożyła rezygnację z fotela w Radzie Naukowej ISP. Powód? „...prof. Roszkowski w swoim podręczniku podał w wątpliwość, czy dzieci z in vitro mogą być kochane, a więc uznał je za ludzi gorszego gatunku (...) inne od pozostałych. Jako przedstawicielka drugiego pokolenia [ocalonych z Holocaustu] jestem boleśnie świadoma, czym kończy się dzielenie ludzi na lepszych i gorszych. W tej sytuacji nie widzę możliwości współpracy z Radą, na której czele stoi prof. Roszkowski”.

– To trochę tak, jakby na czele Instytutu Pasteura postawić antyszczepionkowca – mówi były szef. – Na szczęście skład rady jesienią się zmieni, upływa kadencja.

Były szef: – Wizja świata Wojciecha wynika ze szczerej wiary katolickiej i gorącego antykomunizmu, który w latach 80. uczynił z niego głośnego opozycyjnego historyka, chociaż pod pseudonimem. Potem, gdy pisał podręczniki z minister [Anną] Radziwiłł, było jeszcze nieźle. Prof. Tomasz Nałęcz powiedział w jakimś wywiadzie, że ona kontrowała zapędy Roszkowskiego fachowością dydaktyka.

Bardziej krytycznie do własnych podręczników pisanych w duecie podchodzi sam bohater:

– Z Anną Radziwiłł dbaliśmy o to, by nie stawać czasem kropki nad i, bo zakładaliśmy, że tym sposobem zmusimy ucznia do myślenia – mówi w wywiadzie rzece „Jeszcze nic straconego” (2022). – Trochę wątpię, czy nam się udało. Sądząc po efektach [obecnej] nauki historii, gdy stosunkowo mało wymaga się znajomości faktów, a dużo zdolności do czczej dyskusji, wyszło chyba średnio...

Kolega: – W kolejnych latach Roszkowski zaczął pisać już bez niedomówień i głównie dla prawicowej bańki. W efekcie szersza publiczność nieco go zapomniała. Tymczasem póki jego prace czytali ludzie o podobnej wrażliwości, wszystko było w porządku – miał grono recenzentów-entuzjastów, miał wiernych czytelników wypełniających spotkania, miał pochlebców... jak to profesor-kierownik. Ze swej wysokiej pozycji mógł sądzić, że nowy podręcznik będzie przyjęty z aplauzem. Tak jak poprzednie książki. Wiem, bo z nim rozmawiałem. „Piszę od lat tak samo. Zatem o co chodzi?”. No... o to, że teraz tekst wzięli w ręce ludzie z przeciwnej strony barykady i pootwierali usta ze zdumienia.

Mówiąc o sławie „pod pseudonimem”, kolega profesora ma na myśli drugoobiegowe podręczniki do historii Polski XX w., które Wojciech Roszkowski – adiunkt Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, czyli obecnej Szkoły Głównej Handlowej – pisał jako Andrzej Albert. Pseudonim wziął się z tego, że jego ojciec miał na imię Andrzej, a Adalbert (w skrócie Albert) to francuski odpowiednik Wojciecha, o czym Roszkowski się dowiedział, gdy będąc jeszcze studentem handlu zagranicznego SGPiS, pracował w brukselskiej restauracji jako gastarbeiter. Dostrzegł wówczas ekonomiczną przepaść między Zachodem a Polską, ale też zachodnie zeświecczenie.

Na razie student Roszkowski psioczył na komunę w kręgu bliskich znajomych. W tak zwane wydarzenia marcowe się nie angażował.

Wojciech chciałby, aby świat wrócił do jakiegoś nieokreślonego „przedtem”.

Przed rewolucją obyczajową, przed Freudem, przed Darwinem

Piotr Głuchowski

– Ze swoim grzecznym wychowaniem i skromnym zapleczem rozumowałem, że głową muru nie przebiję – tłumaczy w wywiadzie rzece. – Ale ZMS omijałem dużym lukiem, nie mówiąc o PZPR.

Po dyplomie młody magister historii pracował przez rok w Centrali Handlu Zagranicznego „Universal”, jednak ostatecznie wrócił na uczelnię zaproszony przez profesora Zbigniewa Landaua – ojca Anny Landau, który dostrzegł w nim, jak wspomina córka, potencjał na historyka dużego formatu. – Dziś by się już nie dogadali – wzdycha.

Z drukowanych drobną czcionką na kiepskim papierze samizdatów Andrzeja Alberta czytelnicy dowiadywali się o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o zbrodni katyńskiej, stalinowskich mordach sądowych i powojennych walkach polskiego podziemia z komuną. W latach 80. i na początku 90. wydawane przez konspiracyjne oficyny Krąg i Pokolenie tomy „Historii Polski” były jedynymi sensownymi podręcznikami omawiającymi okres międzywojnia i dalej – PRL-u. Wcześniejsze, komunistyczne, poszły na makulaturę, a nowych jeszcze nikt nie napisał.

– Wojciech już wtedy stał po prawej stronie – mówi były szef. – Z palety ówczesnych ruchów antykomunistycznych wybrał PPN.

Jak na kogoś, kto miał świadomość, że głowa nie przebijie muru – wybór zaskakujący. W odróżnieniu od bardziej socjalnego Komitetu Obrony Robotników czy umiarkowanego opozycyjnych wobec władzy Klubów Inteligencji Katolickiej Polskie Porozu-

Z drukowanych drobną czcionką na kiepskim papierze samizdatów Andrzeja Alberta czytelnicy dowiadywali się o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o zbrodni katyńskiej

mienie Niepodległościowe było organizacją skupiającą twardych antykomunistów na przedwojenną modłę. Domagali się niemożliwego: pełnej niepodległości, zerwania z ZSRR, wyjścia z Układu Warszawskiego, wprowadzenia demokracji, zniesienia cenzury, swobody działalności gospodarczej. Liderem ruchu był szef sekcji polskiej Radia Wolna Europa Zdzisław Najder, więc dla władz i dla SB Porozumienie było najczarniejszą reakcją. Mimo prób agenturalnej infiltracji tej raptem kilkudziesięcioosobowej grupy komuniści nie zdołali ustalić, kim jest Andrzej Albert. Roszkowski spokojnie pracował w katedrach historii gospodarczej, a potem studiów politycznych SGPiS. W 1978 r. obronił tam doktorat i w tym samym czasie poznał Wojciecha Morawskiego, obecnie kierownika katedry w SGH, wówczas świeżego absolwenta historii po UW, który zaczynał w SGPiS pierwszą pracę.

– Wspólnie działaliśmy w „Solidarności”, jesienią 1981 braliśmy udział w strajku uczelnianym – wspomina prof. Morawski. – Nawiazane wówczas przyjacielskie relacje, także ze studentami, podtrzymywali-

śmy podczas letnich mazurskich obozów [zdelegalizowanego] Niezależnego Zrzeszenia Studentów i „Solidarności”. Wojtek był jednym z głównych animatorów tych wyjazdów. Koleżeński, obdarzony dużym poczuciem humoru i dystansem wobec własnej osoby. Wkrótce napisał wybitną habilitację poświęconą wielkiej własności ziemskiej w II Rzeczypospolitej.

Obronił ją na swej Alma Mater w 1987 r. – W tym samym czasie zauważyłem pierwsze oznaki rozchodzenia się naszych dróg – mówi Morawski. – Pewnego wakacyjnego wieczora przy ognisku gdzieś na Mazurach Wojtek zaczął mówić o tym, że niepokoi go zbliżenie Polski do Zachodu, bo stamtąd przyjdzie demoralizacja, a dosłownie – użył tego słowa – „golizna”. Dla wielu ten wywód był prawdziwym wstrząsem.

Wiosną 1990 Wojtek ujawnił się wobec nas jako Andrzej Albert – ciągnie prof. Morawski. – Byliśmy dumni z kolegi. Wkrótce zaczęliśmy we trzech, bo jeszcze z Jackiem Gorzkowskim [historykiem z SGH], pisać książkę „Jesień Narodów”. Miała to być pierwsza historia przełomu w Europie Wschodniej. Tym razem różnice zdań doszły do głosu mocniej. Wojtek był zwolennikiem szybkich, banalnych i kończących dyskusję konstatacji. Kiedy napisałem, że reformy gospodarcze rządu Mieczysława Rakowskiego w latach 80., choć ostatecznie nieudane, były jednak krokiem w dobrą stronę i wymagały odwagi, Wojtek stwierdził, że premier po prostu chciał „nabić towarzyszom kabzy”. Konwencja książki była taka, że wszyscy trzej mieliśmy być autorami całości. A spory się mnożyły. W końcu jeden z nich skończył się w ten sposób, że Wojtek wstał, zabrał rzeczy i wyszedł. Książkę dokończyliśmy z Jackiem.

Doktor habilitowany Roszkowski miał już inne zajęcia. Występował w telewizji jako autorytet od historii Polski; wraz z senator i wiceminister oświaty Anną Radziwiłł wydawał w PWN repetytoria: „Historia 1789-1871. Podręcznik dla szkół średnich”, „Historia 1871-1939”, „Historia 1939-1956”. W roku 1991 – jeszcze przed profesurą – został prorektorem SGH do spraw reformy szkoły.

– Jego praca w tej kwestii zasługuje na ocenę zdecydowanie pozytywną – mówi prof. Moraw-

ski. – Zlikwidował skostniały podział na wydziały. Studenci mogli odtąd zaliczać ograniczony zestaw przedmiotów podstawowych, a resztę zająć kompletować sami z przedmiotów do wyboru. Pracownicy dobrowolnie zrzeszali się w kolegiach.

A Roszkowski, będąc prorektorem SGH, został jednocześnie kierownikiem katedry w PAN. Prof. Edmund Wnuk-Lipiński organizował nowy Instytut Studiów Politycznych i ściągał elitę polskich historyków od dziejów najnowszych, do tego socjologów i politologów. Roszkowski pracuje tam dotąd. Kiedzy z ISP mówią o nim: spokojny, uczynny, skromny, szalenie pracowity.

– Osobiście łagodny, nigdy nie podnosi głosu, w bezpośrednich relacjach nikogo nie atakuje – wylicza prof. Osęka. – Szanuje panujący u nas rozejm boży, zasadę niewnoszenia na radę naukową, której przewodniczy, politycznych sporów. Nawet teraz, gdy władza zawłaszcza nauki społeczne i humanistyczne, on nie wygryza przewag. Żadnego wycinania ideowych oponentów, żadnego wywyższania się z powodu znajomości w PiS.

– Niech pan zauważy, że w sporze o „HiT” je-
go głosu, przynajmniej na razie, nie słychać w ogóle
– dodaje były szef.

– Zauważyłem – mówię. – Trzy razy dzwoniłem
na z trudem zdobyty numer komórkowy, nagrywa-
łem się na sekretarkę, ślałem mu SMS-y, prosiłem
o krótką rozmowę... daremnie.

– No widzi pan. Napisał, co sądzi o dzisiejszym
świecie, a teraz w milczeniu znosi ataki i szyder-
stwa, nie chcąc wchodzić w spory. Chociaż się tym
martwi. Przyjmuje krytykę podręcznika, jak mó-
wi, z pokorą chrześcijanina. Chciałby jedynie wyja-
śnić, że nie ma nic przeciwko tym dzieciom z in vi-
tro. Gdy pisał o „hodowli” czy „produkcji” ludzi, miał
na myśli chińskie plany budowy sztucznych macic,
o których w lutym tego roku pisała „Rzeczpospoli-
ta”. Oderwanie procesu rozrodczego od aktu seksu-
alnego przeraża go tak samo jak homomałżeństwa,
legalna eutanazja czy tak zwana wolność od rodze-
nia dzieci. Uważa to za koniec świata.

– Po lekturze ostatnich czterech książek profe-
sora mam wrażenie, że przeraża go wszystko – za-
uważam.

– Stał się radiomaryjny, fakt. Może to kwestia
wczesnego urodzenia. Ma już 75 lat. Z grubsza ty-
le, co Rydzyk i Kaczyński. Ich kłątwy na współcze-
sność, zresztą bardzo zbieżne, przypominają mi uty-
skiwania konserwatystów francuskich i rosyjskich
w XIX w.: młodzież odrzuca Boga, padają obyczaje,
świat stoi nad przepaścią... Pierwsze sygnały tych lę-
ków zauważyłem u niego, gdy jeszcze w podręczni-
ku Andrzeja Alberta opisywał wiosnę ‘68 na Zachodzie.
Lewacka fala, rozbewstwienie seksualnie wielbi-
ciele Che Guevary i Mao Tse-tunga, polityczny terro-
ryzm. Za komuny krytykę lewicy inaczej się czytało,
ale od lat 80. Polska się zmieniła. Tymczasem Woj-
ciech – nie bardzo. Tylko się utwierdził w ultrakato-
licyzmie i własnym integryzmie.

Lekturę pism profesora zaczynam od klasyki,
czyli „Historii Polski”, którą zaczął pisać jesz-
cze jako Albert. Najpierw wydanie dziesiąte
rozszerzone z 2004 r. Interesują mnie najbardziej
newralgiczne momenty w najnowszych dzie-
jach kraju.

● Pęknięcie w ruchu „Solidarności”, które ostatecz-
nie zaowocuje podziałem na spadkobierców Poro-
zumienia Centrum i sukcesorów Unii Wolności, opi-
suje w sposób wyważony: „2 maja 1990 grono dzia-
laczy opozycji, którzy nie znaleźli się w ekipie rzą-
dowej [Tadeusza Mazowieckiego] powołało [partię]
z Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi na czele. Wy-
suwali oni postulat przyspieszenia przemian po-
litycznych. [W odpowiedzi] 16 lipca 1990 powstał
Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna kierow-
ny przez Zbigniewa Bujaka i Władysława Frasyni-
uka. Podział w obozie solidarnościowym był niejasny,
gdyż oparty głównie na kryteriach personalnych,
a nie ideowych”.

● „Noc teczek” także nie jest „zdradą o świecie”
i „zwyctwem agentury” – jak to dziś przedstawia
propaganda PiS: „Pod koniec maja 1992 prezydent
Wałęsa wycofał poparcie dla rządu [Jana] Olszew-
skiego. 28 maja Sejm upoważnił ministra spraw we-
wnętrznych [Antoniego Macierewicza] do podania
informacji na temat współpracy z UB i SB osób pe-
lniących najwyższe funkcje publiczne. (...) Po drama-
tycznej debacie 4 czerwca Sejm odwołał rząd. (...)
Eskalacja wojny na teczkę [wkrótce] podważyła pre-
stizż wszystkich stron konfliktu”.

● Lekki przedsmak przyszłych szarż przeciwko
zgrabnej ponowoczesności daje rozdział „Nastroje
społeczne lat 90.”: „W atmosferze duchowej znać by-
ło głębokie ślady komunizmu, ale także iluzji wolno-
ściowej. Niektórzy (...) grzęźli w nihilizmie, inni (...)
znajdowali fałszywe bożyszcza – mętny nacjonalizm
lub pseudomistycyzm New Age. (...) W ideowym za-
męcie mieszano hierarchię wartości, nierzadko ne-
gując ją w ogóle”.

● Powstanie PiS profesor opisuje całkiem bezna-
miennie: „Lech Kaczyński, który [jako minister spra-
wiedliwości] zdecydowanie zaostrzył politykę karną
(...) na początku 2001 r. zajął drugie miejsce w ran-
kingu popularności polityków [co] próbowali zdys-
kontować bliscy mu działacze prawnicowi, tworząc
(...) Prawo i Sprawiedliwość”.

● Niechęć do postmodernizmu daje o sobie znać
w rozdziale „Kultura końca XX w.”: „Obserwowa-
no wiele zjawisk epoki schyłkowej (...) płytkie disco
polo mieszało się z nihilizmem [i] tandetą płynącą
z telewizji prywatnych”, której autor przeciwstawia
iskierkę nadziei „jaką dało uruchomienie Telewizji
Puls o profilu rodzinnym i katolickim”.

– Określenie „epoka schyłkowa” jest u Wojciecha
kluczowe – mówi kolega profesor. – W jego książ-
kach, szczególnie późniejszych, znać inspirację
Spenglerem i „Zmierzchem Zachodu”.

Oswald Spengler, niemiecki filozof zmarły
w 1936 r., przyłożył do społeczeństwa swego kraju
i całej Europy biologiczne kryteria wzrostu i umie-
rania. Kultura najpierw kwitnie, gdy przestaje być
twórcza – zmienia się w cywilizację, potem nastę-
puje proces degeneracji i ostatecznie – zmierzch.
O tym schyłku Roszkowski napisze dwie gru-
be książki.

Wydanie dziesiąte „Historii Polski” kończy
się bezlitosnym opisem drugich rządów
SLD-PSL: „Władza ustawodawcza i wy-
konawcza znalazły się w rękach postkomunistów,
którzy dominowali także w sądownictwie, mediach
i biznesie”; „bezrobocie sięgało 19 proc., tymczasem
rządowa koalicja (...) zajmowała się głównie własny-
mi interesami”. Tytuł ostatniego rozdziału: „Postko-
muniści na dnie”.

Pod koniec lat 80. siedzieliśmy przy ognisku z Wojtkiem i studentami. Zaczął mówić, że niepokoi go zbliżenie Polski do Zachodu, bo stamtąd przyjdzie „golizna”

Czas na wydanie dwunaste – i jak dotąd ostatnie.

Zanim znalazło się w druku, Roszkowski zo-
stał profesorem belwederskim (1996), wykładow-
cą stołecznego Collegium Civitas (po 1997) i wresz-
cie – politykiem. W 1995 r. przewodniczył komite-
to-
wi wyborczemu zgłoszonego przez Jarosława Ka-
czyńskiego kandydata na prezydenta – prof. Adama
Strzembosza. Z tej okazji opublikował w „Wybor-
czej” osobiste credo: „Jako historyk staram się oglą-
dać wydarzenia z dystansu, a oceniam je według
tradycyjnego systemu wartości, w którym należy
mówić prawdę, dotrzymywać zobowiązań, uczciwie
pracować, unikać pieniactwa, a do własnej kariery
podchodzić z rezerwą. Wiem, że w odniesieniu do
polityki polskiej zasady te pasują słabo. Myślę jed-
nak, że mogą się przydać jako punkt wyjścia do ana-
lizy sytuacji politycznej”.

Analiza ta jest jednym, długim pasmem narzeka-
nia: po 1989 r. narodził się „czerwony kapitalizm”,
„PRL-bis”, „dobrobyt dla wybranych”, w którym
„mało kto wierzy, że jest kowalem własnego losu, że
opłaca się pracować lepiej i zdobywać wyższe kwa-
lifikacje [za to] częsta jest bezinteresowna zawiść”.
Tymczasem „nie tak rodziła się zachodnioeuropejs-
ka gospodarka rynkowa. U jej podłoża leżała be-
nedyktyńska zasada módl się i pracuj, oszczędność
i pracowitość”.

Co nas zatem czeka? Roszkowski widzi w 1995 r.
trzy drogi: jeżeli zwycięży Aleksander Kwaśniewski,
„instytucje demokratyczne i wolnorynkowe służyć
będą za parawan dla działalności cwaniaków bez
skrupułów (...) bez tożsamości, bez godności, pra-
gnących brać, nie nie dając”.

Jeżeli zwycięży Jacek Kuroń, czeka nas „konty-
nuacja dzisiejszej sytuacji, w której wszystko zosta-
ło zamazane, a dobre i złe lotry wspólnie uczują na
oczach skolowanego tłumu”.

Jeżeli natomiast zwycięży prof. Strzembosz, moż-
liwa będzie „Polska stopniowo odzyskująca godne
oblicze, w której będzie się bardziej niż dziś opłacało
kształcić, uczciwie pracować czy dotrzymywać zo-
bowiązań”.

Wygrał – jak wiemy – Kwaśniewski. A profe-
sor Roszkowski już na zawsze pozostał związany
ze spadkobiercami Porozumienia Centrum. Za rzą-
dów Akcji Wyborczej Solidarności (1997–2001) za-
siedział w radzie Instytutu Dziedzictwa Narodowe-
go oraz w działającej przy minister kultury Joannie
Wnuł-Nazarowej komisji dzielącej resortowe dota-
cje dla czasopism.

Pracował tam z prof. Andrzejem Nowakiem
– świetnym historykiem i publicystą tygodnika „Sie-
ci”, prof. Ryszardem Legutką – ulubionym intelek-
tualistą i partnerem do rozmów prezesa PiS, z Cezar-
ym Michalskim – eseistą publikującym od „Fron-
dy” po „Krytykę Polityczną”, i Robertem Tekielim – kie-
dyś współtwórcą „Brulionu”, a dziś gwiazdą pisow-
skich mediów z TVP Info na czele.

– I ta grupa, do której dodałbym jeszcze prof. Zbi-
gniewa Stawrowskiego, również piewcę „końca Eu-
ropy”, stała się jego docelowym środowiskiem – mó-
wi były szef.

Z początkiem roku 2000 AWS zgłosiła Roszkow-
skiego na stanowisko prezesa IPN (nie został
nim), zaś w październiku profesor poparł
kandydaturę szefa AWS Mariana Krzaklewskiego
na urząd prezydenta (co też nie wypaliło, bo znowu
zwyciężył Kwaśniewski). Udały się natomiast pierw-
sze w historii Polski wybory do europarlamentu.
W roku 2004 urodzony i wychowany w Warszawie
Roszkowski wystartował z okręgu śląskiego i zdobył
tam jeden z siedmiu mandatów dla PiS.

Już jako europoseł zasiadł w kolejnym honoro-
wym Komitecie poparcia kandydata na prezydenta.
Tym razem – Lecha Kaczyńskiego. I znowu się uda-
ło. W roku podwójnego zwycięstwa wyborczego PiS
politycznie spełniony profesor założył Instytut Ja-

gielloński – ważny think tank partii. Prezesem uczyni-
ł syna – Marcina Roszkowskiego, wcześniej rzecz-
nika Lecha Kaczyńskiego w warszawskim ratuszu.

– W tym czasie Wojciech poznawał się coraz bli-
żej z Jarosławem i coraz bardziej sobie obaj impono-
wali – mówi były szef. – Gdy potem PiS zaczął prze-
grywać kolejne wybory, ludzie się wykruszali, ale
nie Roszkowski. On jeszcze podkreślał tempo. Ko-
mitet Obrony Dobrego Imienia Polski i Polaków, ra-
da nadzorcza TVP, rada Muzeum Narodowego. Dwa
lata był kierownikiem katedry studiów polskich na
University of Virginia w USA. Podróżował, zasiadał,
uczestniczył, wykladał... a przede wszystkim pisał.

Ostatnie wydanie „Historii Polski” profesor
oddał do druku w 2017 r. Czytam i widzę, że
resztki obiektywizmu gdzie się zapodziały.
● Lata 2005–10 to „Wojna polsko-polska”. Siły dobra
podjęły moralną ofensywę, czego nie mogli ścier-
pieć ludzie zli. „Podstawowym hasłem PiS była bu-
dowa IV Rzeczypospolitej (...) oczyszczenie państwa
z korupcji, usprawnienie wymiaru sprawiedliwości,
rozwijanie świadomości narodowej i umacnianie
dobrej opinii o Polsce za granicą (...). Wszystkie ele-
menty tego programu były ostro krytykowane przez
opozycję i przychylne jej na ogół media [broniące]
status quo. Kpiono z programu antykorupcyjnego
(...) a troskę o uczciwy przebieg prywatyzacji utożsa-
miano z wrogością wobec (...) kapitału”.

● W 2007 r. rząd PiS upadł, ponieważ Jarosław Ka-
czyński „w imię zasad zerwał koalicję” z Andrze-
jem Lepperem. Nadszedł czas PO i PSL, które z każ-
dym rokiem „pograżały kraj w marazmie”. Jedyne,
co przyspieszyło, to „prywatyzacja, której warun-
ki budziły wiele wątpliwości”. „Stworzono armię za-
wodową, jednak przyniosło to [tylko] kryzys w woj-
sku”. „Pod względem wolności gospodarczej Polska
zajmowała 25. miejsce w UE”. „Budowa dróg postę-
powała bardzo powoli [a] uniewinnienie gen. [Cze-
sława] Kiszczaka od zarzutu (...) mordu w kopalni
Wujek [obnażyło] bezsilność wymiaru sprawiedli-
wości (...) w którym sędziowie zarabiali niemal naj-
lepiej w Europie, procesy zaś trwały najdłużej”. „Fa-
talny stan poczty i PKP stanowił wręcz zaprzeczenie
obietnic wyborczych [Platformy]”. „Dostęp do pu-
blicznych usług medycznych był coraz trudniejszy”.
„Rząd PO-PSL był za to sprawny w socjotechnice in-
formacyjnej”.

● Kolejne rozdziały rządów koalicji PO-PSL autor ty-
tułuje: „Stagnacja władz”, „Kłopoty rządu”, „Dryfo-
wanie” („Państwo polskie znalazło się po 20 latach
wolności we mgle zaniedbań i medialnych pozo-
rów”). Refleksja na zakończenie całego podręcznika:
„Głębokie podziały tkwią w polskości od kilku wie-
ków [a ich] korzeni należy szukać w rozbiorach, gdy
spierano się, kto był ich głównym winowajcą: zabor-
cy czy wady ustrojowe. Z postawy pierwszej wyra-
stały opinie apologetyczne wobec polskości i przeko-

nanie, że (...) winni są zarówno wrogowie, jak i ich polscy sojusznicy. Z postawy drugiej wypływa przekonanie, że polskość jest dęta i żalosna w swej nieskuteczności (...) że ważne są zagraniczne opinie o Polsce, którą można naprawić jedynie dostosowując ją [do Zachodu]”.

– Paradoksalnie zgadzam się z tą diagnozą – mówi kolega profesor. – Z jednym zastrzeżeniem, że Wojciecha zaliczam do tej pierwszej grupy: do apologetów, którzy uważają, że nie ma co bić się w piersi za jakieś Zaolzie, za jakieś Jedwabne. Zło czyha na Zachodzie i Wschodzie. My się musimy bronić.

Prof. Osęka: – Już w podręczniku Andrzeja Alberta byli paskudni komuniści i zniewolony, walczący, wspaniały naród. W latach 80. całe podziemie sięgało po ten paradygmat. Ale z czasem doszły badania pokazujące większą złożoność zachowań społeczeństwa. Tymczasem Roszkowski zastyl w tamtej pozie.

Prof. Morawski: – Zatrzasnął się w świecie własnych wyobrażeń.

Były szef: – Do tego zmienił wydawcę na Białego Kruka. To jest ważna przyczyna jego katastrofy.

Prof. Landau-Czajka: – Gdyby poszedł z tym „HiT-em” do jakiegoś poważnego wydawnictwa podręcznikowego, to rzecz przeczytałiby redaktorzy, a po nich drudzy redaktorzy, byłaby kontrola. A w Białym Kruku nikt się przecież na podręcznikach nie zna. To wydawnictwo religijne.

Porównanie Białego Kruka (dalej BK) z PRL-owską siecią INCO Veritas, która oferowała jednocześnie różnice, literaturę konfesyjną i płyn do naczyń Ludwik, nasuwa się samo.

Konserwatywną oficynę stworzył Leszek Sosnowski, który jeszcze w latach 80. organizował w Krakowie „Filmowe spotkania z Bogiem”. W 1988 r. wyemigrował do Austrii, a gdy wrócił po ośmiu latach, zaczął zarabiać na Janie Pawle II. BK wydał około stu albumów, książek i całych serii o polskim papieżu, m.in. 27 tomów „Dziejów Wielkiego Pontyfikatu”, serie „Pielgrzymki polskie” i „Pielgrzymki światowe”, do tego papieskie poezje i dramaty. A poza tym albumy historyczne „Chwała Grunwaldu”, „Ojczyzna Ocala” (o Bitwie Warszawskiej), „Hold katyński” itd. Publikują tutaj Antoni Macierewicz (ogłoszony przez BK „Patriotą Roku 2016”), ojciec Rydzyk, Ewa Stankiewicz (publicystka „Gazety Polskiej” i TV Republika), Jan Żaryn (były senator PiS i obecny dyrektor Instytutu im. Romana Dmowskiego) czy arcybiskup Marek Jędraszewski.

Kruk nie jest jednak tylko wydawnictwem. To coś w rodzaju wojującego think tanku PiS. Wystarczy prześledzić twitterowy profil oficyny: ● „Bruksela pluje nam w twarz. Przestańmy udawać, że pada deszcz” (post z 20 maja); ● „Berlin w najbliższych latach będzie zdany na Polskę, by móc importować ropę i gaz. ŻADNEJ pomocy dla Niemiec do momentu spełnienia 3 warunków: środki z KPO; pieniądze na uchodźców; koniec prób obalania polskiego rządu” (30 kwietnia); ● „Putin jest zwyrodnialcem. W kontekście Smoleńska należy zadać 2 pytania: Czy mógł przeprowadzić zamach? Tak, bo samoloty były serwisowane w Rosji. Czy na nim skorzystał? Tak, bo bez L. Kaczyńskiego stał się moż-

liwy pełny kurs na Moskwę lat 2010-2015. Więcej dowodów nie trzeba” (10 kwietnia); ● „Jest coś zatrważającego w tym, że literatura Z i błyskawica tzw. strajku kobiet są tym samym graficznym, tylko inaczej odwróconym. Cywilizacja śmierci w różnych odsłonach, ale w ramach jednego losu dzieci” (27 marca).

Prof. Roszkowski wydał w Kruku przeszło dziesięć książek, w tym monumentalną pracę „Świat Chrystusa” (2016), w której objawił się – niespodziewanie dla znajomych – jako znawca starożytności. Ja siadam wreszcie do wydanego w 2019 r. „Roztraskanego lustra”. Podtytuł: „Upadek cywilizacji zachodniej”. Wydawca opatrzył książkę wstępem w postaci wyboru cytatów. Oto niektóre z nich:

● „Ludzie średniowiecza zabijali się z chciwości, żądzy władzy lub z powodu poglądów religijnych. Zabijanie w imię postępu stało się wynalazkiem ery nowożytnej”.
● „Darwin zdawał sobie sprawę, że jego wizja podważa nie tylko [chrześcijaństwo] ale tworzy podstawy relatywizmu moralnego. W teorii Darwina brakuje dostatecznych dowodów, gdyż nie stwierdzono wielu przypadków ogniw pośrednich między gatunkami. Choć niedostatecznie udowodniona, teoria ta stała się fundamentem (...) współczesnej filozofii”.

Były szef: Prof. Roszkowski przyjmuje krytykę podręcznika, jak mówi, z pokorą chrześcijanina. Chciałby jedynie wyjaśnić, że nie ma nic przeciwko tym dzieciom z in vitro.

Gdy pisał o „hodowli” czy „produkcji” ludzi, miał na myśli chińskie plany budowy sztucznych macic

● „[Dzisiejsze] pogaństwo odebrało człowiekowi jego nadzwyczajne miejsce w świecie i wpisało go w przyrodę, jako pozbawioną woli i sumienia część jej mechanizmu. Instynkty zostały podniesione do rangi moralnych przewodników”.
● „Teorie Freuda w istocie zredukowały człowieczeństwo do funkcji czysto biologicznych. Człowiek Freuda nie posiada bowiem wolnej woli [i podlega dominacji] ciemnych stron świadomości”.
● „Wykluczysz wiare, jako źródło poznania, luminarze nauki i kultury Zachodu XX w. w końcu wykluczyli też umysł”.
● „Wydawać by się mogło, że z upadkiem komunizmu żelazę napór wrogów chrześcijaństwa, [tymczasem dziś] chrześcijaństwo najbardziej prześladowana grupa w świecie. Polityczną wojnę z chrześcijaństwem prowadzi wielkie organizacje wspierane przez ONZ i UE”.
● „Madonna, Britney Spears czy Demi Moore noszą kabalistyczne czerwone nitki (...) dla ochrony przed złymi mocami. Na początku XXI wieku pracowało we Włoszech więcej wróżbiarzy niż księży (...). Współcześni neopoganie są w stanie uwierzyć we wszystko, ale nie w to, że stworzył ich dobry Bóg”.
● „Zwolennicy [poprawności politycznej] i neutralności światopoglądowej (...) eliminują cywilizację. Konsekwencją [ich działań] jest zrównanie zbrodni i osiągnięć, wierno-

ści i zdrady, bohaterstwa i tchórzostwa, mądrości i głupoty, kłamstwa i prawdy”.

● „Tolerowanie szkodliwych poglądów nie wystarcza: powinniśmy je zaakceptować (...) w przeciwnym wypadku będziemy oskarżeni o dyskryminację. [Nastąpił] terror tolerancji”.

● „Kryzys współczesnej rodziny jest dziełem radykalnych feministek, które zatrwały publiczny dyskurs (...) nienawiścią do macierzyństwa”.

● „[Akt seksualny] najpierw oderwano od prokreacji, potem od miłości, a na koniec sprowadzono seks do czynności rozrywkowej dowolnej liczby ludzi dowolnej płci, [zapominając, że] rozkład rodziny (...) przyczynił się do upadku Cesarstwa Rzymskiego”.

– Niektóre tezy tej książki zostały życiem przeniesione do „Historii i terażniejszości” – mówi prof. Landau-Czajka. – Nie to jest jednak problemem, że taki podręcznik został napisany, tylko że ktoś go dopuścił do użytku w szkołach. W dodatku minister Czarnek robi wszystko, aby do ostatniej chwili nauczyciele nie wiedzieli, czy zostanie dopuszczony podręcznik konkurencyjny. Resort celowo przedłuża proces akceptacji.

– Skandal tym większy, że „HiT” w ogóle nie spełnia dydaktycznych reguł pisarstwa w tej dziedzinie – dodaje prof. Sanoj-

ca. – I to nie dlatego, że autor jest politycznie zaangażowany. Prof. Andrzej Garlicki napisał podręcznik [„Polska i świat 1815-2004”] z pozycji mocno lewicowych, ale w warstwie faktograficznej rzecz jest bez zarzutu. Roszkowski, jak na wybitnego historyka, którym bezsprzecznie jest, zrobił zbyt wiele błędów, nie dostosowując tekstu do specyficznego odbiorcy – szesnastoletniego ucznia. Pomyłki winny być wyłapane w procesie wydawniczym. Przecież nad podręcznikiem pracuje rzesza osób – przynajmniej powinna. W efekcie uczniowie dostaną zaraz książkę, gdzie funkcja wychowawcza została zamieniona w czysto propagandową. Jeżeli zgodzić się z twierdzeniem Roszkowskiego, że w Europie toczy się wojna kulturowa, a Polska jest linią frontu, to „HiT” jest wyrzutnią HIMARS.

Stwierdzenie byłego szefa, że w ostatnich latach Roszkowskiego czytali wyłącznie „ludzie o podobnej wrażliwości”, jest prawdziwe z jednym (co najmniej) wyjątkiem. Wydaną w 2019 r. przez BK pracę „Kierunek Targowica: Polska 2005-2015” przeczytał w ubiegłym roku (i zrecenzował w „Wyborczej”) Marek Beylin. Treści książki streszczać nie muszą: tytuł mówi wszystko. Podmiotami zmierzającymi ku zdradzie są oczywiście Platforma i popierające ją elity III RP.

– Dobrze pamiętam Wojciecha Roszkowskiego z lat 90. jako mojego szefa

w PAN – wspomina Beylin. – Był zawodowo rzetelny, uczciwy intelektualnie i tolerancyjny wobec różnych poglądów na przeszłość bliższą i dalszą. Co go przywiódło do takiego pisarstwa? Lęk przed światem, który ulega szybkim zmianom, każąc rewidować własne przeświadczenia. Dla jednych to fascynujące i krzepiące. Dla innych to droga do piekła. Żeby więc bronić się przed piekłem rewizji, warto postawić nawet na politykę przemocy PiS. Kto dziś czyta Roszkowskiego, ten otrzymuje w pigule światopogląd jego pana – Kaczyńskiego.

– Prezes niewątpliwie Wojciecha uwiódł – potwierdza kolega profesor. – Zabił w nim historyka, zostawił propagandystę. Ostatnie książki Wojciecha, mówię z wielką przykrością, to niskich lotów tyrady o wszystkim i o niczym: o muzyce rozrywkowej, demografii, religii, seksie... ich naukowa wartość jest bliska horoskopom.

Były szef ma na myśli przede wszystkim wydaną dwa lata temu kontynuację „Roztraskanego lustra” – „Bunt barbarzyńców”. Tym razem z podtytułem „105 pytań o przyszłość naszej cywilizacji” i własnymi ilustracjami profesora. Pomijam banalne pytania „Czy świat zachodni zwariował” (jasne, że tak), „Czy cywilizacja zachodnia upada?” (oczywiście) i otwieram od razu rozdział 30.: „Skąd się wzięli geje?”.

● „Pół wieku temu nikt nie słyszał tego określenia. Owszem, mówiono o homoseksualizmie lub pederastii. [Jednak w 1987 r.] w niszowym wówczas magazynie »Gay Travel« ukazał się artykuł pt. »Wyprzedzanie heteroseksualnej Ameryki«. Autorzy [Marshall] Kirk i [Erastes] Pill stwierdzili, że należy mówić o gejach i lesbijkach na tyle głośno i często, na ile to możliwe, [aby] stworzyć wrażenie, że sprawa homoseksualistów jest ważna. Homoseksualizm stał się na Zachodzie polityczną i prawną świętą krową”.

● Kolejne pytanie: „Czym jest postmodernizm?”. Ponowoczesność to nowy komunizm (...) W postmodernistycznym bełkocie materializm został zastąpiony przez wielokulturowość, dialektyka przez brak logiki, a rozum przez przypadkowe odruchy”.

● Pytanie 58.: „Skąd cokolwiek wiemy?”. Odpowiedź: „wszystkie źródła poznania można sprowadzić do wiedzy i wiary (...), ludzie dzielą się na tych, którzy wierzą, że wiedzą, i tych, którzy wiedzą, że wierzą. Zdecydowanie groźniejsi są ci pierwsi”.

● „Czy da się pogodzić wiarę z rozumem?”. „Dlaczegoż by nie? (...) sprzeczności między nauką i religią po prostu nie ma. Ludzie, którzy powiadają, że nie wierzą w Boga, w istocie wierzą w jego nieistnienie. [Tymczasem] logicy uczą, iż nie da się udowodnić, że czegoś nie ma”.

● Pytanie setne: „O co w końcu chodzi?”. „O to, by odpowiedzieć sobie, czy chcemy żyć w harmonii (...) wedle zasad, które już odkryto, czy też udawać mądrzejszych niż rzeczywistość oraz pograżać się w chaosie, niepewności, bezsensie?”.

– Wojciech chciałby, aby świat wrócił do jakiegoś nieokreślonego „przedtem” – kończy były szef. – Przed rewolucją obyczajową, przed Freudem, przed Darwinem. Nie pojmuje, że tak się nie da, że nawet trzy albo cztery kadencje PiS-u historii już nie odwróć. Stał się po prostu dziadersem. ●



Szkola bez bzdur

#

Dołącz do akcji na wyborcza.pl/edukacja

Fot. Maciek Jaźwiecki / Agencja Wyborcza.pl

CZUŁE SŁÓWKA

Śnięcie

Czemu akurat w części nowożytniej Europy zwierzęta zaczęły zdychać, a ryby stawały się śnięte, choć wcześniej po prostu umierały, a gdzie indziej umierają nadal?

Michał Rusinek*



Tony”, „setki”, „tysiące”, a nawet „fale śniętych ryb” – takie oto nagłówki pojawiają się w mediach w ostatnich tygodniach, oczywiście w kontekście Odry. Rzadko kiedy pisze się o „śmierci ryb”, „nieżywych”, „martwych” czy „uduszonych rybach”, bo nasza kultura ma inny repertuar słów dla tego, co ludzkie, i tego, co zwierzęce.

W 1621 roku ukazał się „Thesaurus Polonolatinograecus” Grzegorza Knapskiego, zwane go Cnapiusem, w którym czytamy: „Zdycha bydło, ptastwo, ryby, abo zły iaki człowiek, *idiotismus est peculiarisPolonisloquentibus de mortepecudum, piscium, avium, vermium et improborumhominum. Polonice non rectedices: umarł wół, pies, ptak itd., sed zdechl; et de piscibuspeculiariteretiamdicitur usnęła ryba*”. Oto więc XVII-wieczny jezuita i lesykograf uważa zwyczaj używania osobnych czasowników na określanie śmierci ludzi i zwierząt (oraz złych, nieuczciwych ludzi) za idiotyzm. Można mu jedynie przyklasnąć. Ten idiotyzm nie dotyczy wyłącznie „śnięcia” i „zdychania”. Językoznawca Zdzisław Kempf opublikował w 1985 roku artykuł pod znamienym tytułem: „Wyrazy »gorsze« dotyczące zwierząt”. Zwraca w nim uwagę na zjawisko, które nazywa „arystokratyzmem”, czyli swego rodzaju poczuciem „lepszości” pewnych grup społecznych wobec innych. Rozszerza je jednak poza rodzaj ludzki. „W szereg oznaczającym części ciała i czynności – pisze – język nasz wprowadził dla zwierząt wyrazy »gorsze«, dla ludzi zaś »lepsze«, bo człowiek *umiera*, zwierzę zaś *zdycha*; człowiek *je*, a zwierzę *zre*; człowiek *ma głowę*, a zwierzę *łeb*; człowiek *rękę*, a zwierzę *łapę*; człowiek *twarz*, a zwierzę *pysk*”. Tego typu terminy mają charakter pejoratywny i deprecjujący. Wobec ludzi są używane wtedy, kiedy chcemy ich zdyskredytować, podkreślając naszą wobec nich antypatię: „zre jak świnia”, „ma brudne łapy”, „stul pysk”, „bodajbyś zdechl”.

Kempf jest zdania, że przyczyną główną różnicowania słów „zwierzęcych” i „ludzkich” było wrodzone człowiekowi poczucie dumy z własnej wartości. „Oto człowiek – pisze – najmłodszy i najdoskonalszy w drabnie rozwoju gatunków, który dzięki intelektowi ujarzmił zwierzęta, podporządkowując je swym celom gospodarczym, mógł, czując przewagę, wytworzyć dla ujarzmlonych »gorsze« wyrazy”. W wyrazach tych przejawia się także pobażanie, lekceważenie i pogarda. Ale i pycha, w dodatku podszyta hipokryzją. Człowiek uważa się za istotę moralną, a zarazem wymyślił i wciąż stosuje narzędzia tortur. Zwierzę – zabija tylko, żeby nasycić głód.

Nie ma racji Cnapius, że różnicowanie to występuje wyłącznie w polszczyźnie. Idiotyzm „gorszych” wyrazów w odniesieniu do zwierząt zachodzi w wielu językach słowiańskich („zdechnąć” to po rosyjsku „izdochnut””, „pysk” to po czesku „tlama”). Zwierzę

nie umiera także w języku niemieckim („verrecken” lub „krepieren”, a nie „sterben”) czy francuskim („crever” a nie „mourir”). O dziwo, nie znajdziemy jednak takich „gorszych” określeń w języku angielskim, a przede wszystkim – poza Europą. Nie było ich w językach starożytnych: ani starotestamentowym hebrajskim, ani w klasycznym sanskrycie, ani w językach dalekowschodnich. Nie ma ich w grece czy łacinie. Ciekawe też, że nie pojawiały się one w językach europejskich przed 1500 rokiem, a więc – w naszym przypadku – w staropolszczyźnie.

Jakie można z tego wyciągnąć wnioski? Czemu akurat w części nowożytnej Europy zwierzęta zaczęły zdychać, choć wcześniej po prostu umierały, a gdzie indziej umierają nadal? Jeśli przyjmiamo założenie, że język jest zwierciadłem norm społecznych oraz systemów wartości, możemy zaryzykować stwierdzenie, że za powstanie „gorszych” słów w odniesieniu do zwierząt odpowiedzialne są cztery czynniki. Po pierwsze, Kościół, wpajający nam przekonanie, że jesteśmy panami stworzenia i budujący religijną podstawę dla antropocentryzmu: przecież tylko człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Po drugie, „arystokratyczny” humanizm, który antropocentryzmowi dał podstawę nie tyle religijną, ile filozoficzną. Po trzecie, kolonializm, czyli przekonanie, że świat należy podbić i narzucić mu swoją władzę, wprowadzając wyraźny podział na lepszych podbijających i gorszych podbitych. I nawet jeśli użytkownicy jakiegoś języka nie dorobili się kolonii, to wyrobili w sobie kolonialne nawyki. W przypadku Polski ważniejszy od fantomowego kolonializmu był jednak – po czwarte – feudalizm, wertykalna struktura społeczna oparta na przemocy wobec tych, którzy znajdowali się niżej: pan bił chłopą, chłop bił psa. Kacper Pobłocki w książce „Chamstwo” pisze jednak, że to raczej pan traktował chłopą i zwierzę tak samo źle (chłop był „ludzkim zwierzęciem”), chłoppi przejawiali natomiast jakiś rodzaj czułości wobec dzielących ich los zwierząt: „przekonanie, że włościannie i zwierzęta dzielą los istot czujących, choć spętanych jarzmem niewoli, można nazwać ludowym humanizmem. Humanizmem, który opiera się na rozpoznaniu, że nie tylko człowiek ma świadomość”. Chłopi nie używali wobec zwierzęcych towarzyszy niedoli słowa „zreć”. „O krowach i koniach mówiono, że tak jak ludzie jedzą – pisze Pobłocki – o innych natomiast zwierzętach mówiono, że żrą”. Tego humanizmu nie było w klasach wyższych. Los chłopą i zwierzęcia był, by tak rzec, bydlęcy; w języku panów jedno i drugie żarło, jedno i drugie zdychało.

Żeby pozbyć się idiotyzmu uprzedmiotawiających zwierzęta określeń dotyczących ich śmierci, powinniśmy – być może – wrócić do owego ludowego humanizmu: poszerzając go jednak na wszystkie istoty żyjące i czujące, nie ograniczając do tych, których los jest związany z naszym. Ten humanizm w nas wciąż jest, także w ludowych przekonaniach (które cytuję Pobłocki), że drzewa, którym bezmyślnie odłamujemy gałęzie, odczuwają ból. Jest też w literaturze. Wisława Szymborska pisała: „Dla naszego spokoju, śmiercią jakby płytszą/ nie umierają, ale zdychają zwierzęta/ tracąc – chcemy w to wierzyć – mniej uczucia i świata./ schodząc – jak nam się zdaje – z mniej tragicznej sceny”. A Jeremi Przybora ze smutnym uśmiechem proponował, by psa awansować, „mu podwyższając śmierć/ o tę awansu ćwierć” i mówić: „zgasł pies./ I już mu nie żyć milej jest”. Rybom też jakiś awans się należy. A my powinniśmy zauważyć, że los wszystkich istot jest z naszym losem związany, zwłaszcza w obliczu klimatycznej katastrofy. Wtedy pozbedziemy się językowych znaków pychy i pogardy, które nam – jako żywo – nie przystoją.

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wistawy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Mebel nowego Polaka

Ławka premiera jest symbolem polskiej duszy, jak sznur czy złoty róg.

Marcin Matczak*



Tę wiadomość opublikował najszybciej chyba katowicki oddział „Wyborczej”. „Ławki z konturem Polski stanęły w pierwszych miastach. To nowa akcja kancelarii premiera. Ławkę trudno przegapić. Jej konstrukcja to ogromna Polska umieszczona na niebieskim postumencie. Kontury Polski są w białym i czerwonym kolorze. W środku – na wysokości Zgorzelca i Rzeszowa – umieszczono drewniany podest. Na nim zaś stanęła ławka”. „Ma służyć podziwianiu rządowych inwestycji”. Komentatorzy dostrzegli podobieństwo ławki do misia z filmu Barei. To ławka na miarę naszych możliwości, otwiera oczy niedowiarkom. Po co jest ten miś, czyli ławka? Nikt nie wie po co, więc nie trzeba się obawiać, że zapyta. A nawet jeśli zapyta, to ta ławka jest inwestycją, która w skali bezpieczeństwa urzędnika, zwaną także skalą dupokrytkowości, osiąga noty idealne. Jak powiedzą, że brzydka, to się powie, że praktyczna. Jak powiedzą, że niepraktyczna – tę do oglądania Planetarium Śląskiego postawiono tyłem do inwestycji – powie się, że patriotyczna. Nie ma sposobu, żeby ten szczyt naszej myśli designerskiej zaatakować.

Ale odrzućmy łatwe porównania do Barei, z których polityka PiS uczyniła klisze. Popatrzmy na ławkę jako na rzadki fenomen. Od czasu do czasu pojawiają się symbole polskiej duszy, jak sznur albo złoty róg. Jakis geniusz albo szaleniec, zawsze trudno ich rozróżnić, wydobywa ze zbiorowej podświadomości obraz tak dosadny, że aż ciarki przechodzą. Ta ławka chce nam coś ważnego powiedzieć o nowym Polaku, którego hoduje nasza władza.

Jaki ma on być? Ma być kunktatorem, bo ta ławka to szczyt kunktatorstwa. Jakiz musiał być ciąg myślowy kogoś, kto ją zaprojektował? Broń Boże nic ekstrawaganckiego – żadnego diabelskiego młyna czy rollercoastera – ławka, na której się siada i się siedzi, czekając na poprawę świata jak na Godota. Nic artystycznie ambitnego – bezpieczniejszy jest estetyczny koszmarek niż jakaś nowoczesna, wywrotowa sztuka. I koniecznie polskość na samym wierzchu. Nie jakieś ukryte znaki, nie wierzbą płacząca, nie rozdarta sosna – banalny mebel z wyróżnionego w polskich lasach drzewa, wyheblowanego i zalakierowanego na śmierć.

Nowy Polak ma być także idiotą. Ale idiotą dumnym, który dba o innych idiotów, czyli nie produkuje niczego, co może stanowić dla nich, jak literatura, wyzwanie. Dlatego do ławki dołączono piętnaście punktów instrukcji użytkowania. Wyjaśnia ona, że ławka skła-

da się „z siedziska, stelażu w kształcie konturów Polski wraz z piedestałem, schodami i postumentem zabezpieczonym łańcuchem”, że należy z niej korzystać, „opierając się o oparcie”, i że nie można na niej rozpalać ognia.

Nowy Polak ma być nieaktywny. Zamiast biegać po, weźmy na to, orliku, ma odpoczywać albo czekać, aż zwolni się miejsce do odpoczynku. Instrukcja podkreśla to tautologią (ławka służy „do rekreacji i wypoczynku”), bo sam wypoczynek to oczywiście za mało, oraz zdaniem „Osoby oczekujące na skorzystanie z ławki mają przebywać w odległości 1,5 m”. Przewiduje się więc kolejki do odpoczywania! I limit ławkowy: Trzy osoby, obciążenie 225 kg. Typowy Polak waży 83 kg, Polka 65 kg – ławka wymusza koedukacyjność. Z drugiej strony trzy kobiety (195 kg) albo dwie i jeden mężczyzna na tej samej ławce (213 kg)? Jakiz to model rodziny?

Nowy Polak ma mówić inaczej po polsku – i będzie, jeśli przeczyta instrukcję. Nie chodzi o banalne błędy. Język instrukcji wyraża myśli nowego Polaka, przeciskające się z nieświadomości na powierzchnię.

Punkt 5.: „Wejście i zejście na ławkę dozwolone jest i powinno odbywać się tylko za pomocą schodów trzymając się poręczy”. Nie skupiajmy się na karkołomnej składni, na tym, jaki podmiot ma trzymać się poręczy (wejście czy zejście?). Spójrzmy na frazę „zejście na ławkę”. Grozi każdemu projektantowi, który na nią spojrzy. Ale skoro ławka symbolizuje Polskę, to czy nie jest to zakamuflowane, samobójcze życzenie śmierci? Czy nie czeka nas „zejście na Polskę”, jeśli będziemy finansować takie cuda?

Punkt 9. – słuszny postulat niespożywania alkoholu „na ławce i w jej bezpośredniej przestrzeni”? I to zmasakrowanie związku frazeologicznego ma głębsze dno. Stary Polak mówił o „bezpośrednim sąsiedztwie”. Nowy „sąsiedztwo” zastępuje „przestrzenią”. Czy to sugestia, by z sąsiedztwem, zwłaszcza niemieckim, nie przesadzać? By sąsiedzką bliskość („Nähe”) zastąpić przestrzenią („Raum”) ? Ufam, że nie chodzi tu o Lebensraum. I że ławka nie skojarzyła się komuś z Polską, bo kojarzy się z ławkowym gettem.

Jeszcze punkt 11., w pisowni oryginalnej: „Nie dozwolone jest wchodzenie i korzystanie z ławki z przedmiotami niebezpiecznymi mogącymi stanowić zagrożenie dla siebie i innych osób”, oraz pechowy punkt 13.: „W przypadku nieprzestrzegania regulaminu osoby korzystające z ławki mogą zostać poproszone o bezwzględne zejście z ławki”. Skoro przedmioty mogą stanowić zagrożenie dla samych siebie, to i ławka (symbol Polski) może samej sobie zagrażać. Znow podświadoma obawa o autodestrukcję? Z drugiej strony, jeśli jest „zejście bezwzględne”, to może jest i „zejście względne”, a więc nieostateczne. W tym nasza nadzieja.

Ławka ma szansę stać się nowym polskim godłem. Orzeł jest zbyt szlachetny – powoduje dyskomfort, bo aspiruje do rzeczy wyższych. Ławeczka jest swojska, jak ta z serialu „Ranczo”, na której możesz sobie (wbrew instrukcji) i piwko strzelić, i o polityce pogadać. Bo Polska PiS ma być jak ta ławka: choć brzydka i do niczego się nienadająca, to odpustowo patriotyczna. Polska ludzi, którzy nie lubią się przemoczczać, ale zawsze są gotowi deliberować, kto ich okradł. Polska przyszłości, w której nie wolno używać ognia, bo nie ma czym palić. Pusta w środku, bo został z niej tylko kontur wraz z postumentem zabezpieczonym łańcuchem.

*Marcin Matczak – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

Kacyzm, polska wersja populizmu

NAMASZCZENI.
PRZEZ SIEBIE SAMYCH

Populiści rządzą tak, jak gdyby jutra miało nie być, a piekło nie istniało

Joanna Mucha*

Przyzwyczailiśmy się myśleć o populistach jako o tych, którzy składają nieodpowiedzialne obietnice wyborcze albo rozdają pieniądze, nie licząc się ze skutkami. Ale w populizmie – takim jak populizm Kaczyńskiego, Orbána, Trumpa – nie chodzi o obietnice, które podobają się ludziom, to tylko narzędzie. Chodzi o coś znacznie bardziej zasadniczego.

„Populiści reprezentują naród”. To proste założenie nie wydaje się niebezpieczne, ale to na przekonaniu, że „tylko oni” reprezentują naród, zbudowany jest każdy populizm. Populiści najczęściej dochodzą do władzy niesieni powszechnym społecznym oburzeniem, stają się wyrazicielami buntu tzw. zwykłych ludzi, nierzadko ten bunt podsycają, czasem wręcz kreują (vide: Polska w ruinie). Kiedy idą po władzę, składają hojne obietnice (takie jak 500+) i z dużej ich części się wywiązują, a następnie zawłaszczają kategorię reprezentowania ludzi/narodu, nawet jeśli popiera ich jedynie jakaś ich/jego część.

Dlaczego zawłaszczenie „reprezentowania narodu” jest tak niebezpieczne? Z wielu powodów.

Jeśli jedna partia przypisuje sobie owo „reprezentowanie”, to kogo reprezentują pozostałe partie? Natychmiast pojawia się obrzydliwie insynuacyjna odpowiedź: wynarodowioną część społeczeństwa, niemającą z narodem faktycznej i emocjonalnej więzi, a także interesy zagranicy i zdrajców (vide: gorszy sort, kanalie, ulica i zagranica, wdowy ubeckie, volksdeutsche, ukryta opcja niemiecka, zdrajcy, komuniści i złodzieje itp., itd.). Dodatkowo kaczyści uwielbiają powtarzać, że opozycja jest „totalna” (to sformułowanie było totalnym błędem Grzegorza Schetyny); to sprytny zabieg przerzucenia własnych cech na przeciwnika politycznego.

Populiści celowo wprowadzają podział na „swoich” i „obcych”; umiejętność wzbudzania nienawiści do „nie naszych” należy do ich podstawowego instrumentarium. Skutkiem jest wykreowanie głębokiej polaryzacji, w której ludzie intuicyjnie zapisują się do jednego z wrogich, nienawidzących się plemion. Podkreślmy: populiści są największymi beneficjentami polaryzacji, a mimo to druga strona sceny najczęściej w tę pułapkę wpada i uczestniczy w nakręcaniu jej mechanizmu.

Jeśli populiści „reprezentują naród” – a oni naród utożsamiają z państwowością – oznacza to, że w ich przekonaniu oni SĄ państwem, państwo to oni, państwo NALEŻY do nich. I nie może tu być mowy o żadnej powściągliwości, bo dla populistów władza oznacza nieograniczone prawo do panowania nad ludźmi i rozpo-

ządzania mieniem. „Państwo to ja”, powiedział Ludwik XIV, Król Słońce, a nasze polskie Słońce Żoliborza daje nam codziennie dowody na to, że tak właśnie sprawowanie władzy postrzega.

Istotą problemu jest tu POZAKONSTYTUCYJNE I POZAPRAWNE UMIEJSCOWIENIE ośrodka władzy – sprawowanej, dodajmy, bez ponoszenia formalnej odpowiedzialności. Faktyczna zwierzchność Jarosława Kaczyńskiego nad premierem, ministrami, szefami instytucji centralnych, spółek skarbu państwa, w jakimś zakresie także prezydentem, nie ma umocowania w normach konstytucyjnych i prawnych.

Jednak nawet taka władza Kaczyńskiemu nie wystarcza. Populiści nigdy nie mają dość władzy, zawsze jest jej za mało. Cały aparat państwa w przekonaniu Kaczyńskiego powinien być tak skonfigurowany, aby pozwolić mu na sprawowanie władzy za pomocą pociągania za sznurki lub naciskania przycisków. Instytucje państwa są na tyle przydatne, na ile SŁUŻĄ interesom populistów. A ponieważ najczęściej stanowią różnego rodzaju ograniczenie, są poddawane procesowi atrapizacji (od „atrapa”) albo dramatyzmu wynaturzeniu. Przykładem pierwszego procesu jest Sejm, drugiego – Trybunał Konstytucyjny. Zamiast zabezpieczenia zgodności ustaw z konstytucją stał się miejscem usprawiedliwienia dowolnych prawnych ekscesów władzy. WYGASZANIE INSTYTUCJI jest nieodłączną cechą rządów populistów.

Populiści są największymi beneficjentami polaryzacji.

A druga strona sceny najczęściej w tę pułapkę wpada i uczestniczy w nakręcaniu jej mechanizmu

Również własność państwowa w tak rozumianym modelu staje się własnością populistów, więc obsadzanie spółek skarbu państwa, dokonywanie przez nie zakupów, których jedynym celem jest cel polityczny (jak zakup mediów regionalnych przez Orlen), ręczne nimi sterowanie – to wszystko wynika z założenia: jeśli wygrałem wybory, to POSIADAM państwo i wszelkie jego aktywa.

Pójdźmy dalej. Jeśli populiści „reprezentują naród”, to w ich przekonaniu NIC ICH NIE MOŻE OGRANICZAĆ. Bo partia reprezentująca naród ma jedynie najwznioślejsze intencje, zatem KAŻDE jej działanie musi zostać a priori zaakceptowane, a poddawanie go jakiegokolwiek kontroli zahacza o herezję. Dlatego zwolennicy kacyzmu nie zostali poruszeni (złamaniem konstytucji, bo została złamana w celu „zrobienia porządku z sędziowską kastą”. I świadczy to

źle wyłącznie o konstytucji, bo okazuje się ona instrumentem złej III RP.

Zejdźmy na niższy poziom. Prawo – w rozumieniu populistów – ma służyć narodowi. Warto przypomnieć przyjęte przez PiS owacją słowa śp. Kornela Morawieckiego: „Nad prawem jest dobro narodu”. Prof. Stanisław Ehrlich, promotor Jarosława Kaczyńskiego, także uważał, że wola polityczna wyrażona przez naród jest nadrzędna wobec prawa. Nie można nie przywołać tu zasady, według której działał powołany przez Hitlera Trybunał Ludowy: „Prawem jest to, co służy narodowi” („Recht ist, was dem Volke nützt”).

Służebna rola prawa ma w założeniu populistów wyeliminować impossybilizm w zwalczaniu niesprawiedliwości i pomóc poradzić sobie z klikami, kastami, układami. W praktyce skrócone prawo ma na celu ochronę ciemnych interesów ludzi władzy i przeprowadzanie politycznych czystek na partyjne zamówienie. W typowym populizmie zadaniem sędziów jest prawne zatwierdzanie czystek dokonywanych w instytucjach publicznych (wyrokami podtrzymują bezpodstawne zwolnienia), czasem przeprowadzanie wywłaszczeń z majątku przeciwników politycznych, a także eliminowanie z życia publicznego kolejnych kręgów opozycji wobec populistów.

Służą temu celowi w pełni kontrolowani prokuratorzy. Rola niezależnych sędziów jest w tej sytuacji nie do przecenienia: uniemożliwiają osoby oskarżane z powodów politycznych, przywracają do pracy bezzasadnie zwolnionych lub nakazują wszczęcie postępowania tam, gdzie prokuratura się od tego uchyla. To dlatego tak nieprawdopodobnym osiągnięciem jest w Polsce utrzymanie w zdecydowanej większości niezależnych sądów i niezawisłych sędziów. To dlatego też tak duży nacisk kładą na praworządność instytucje UE. To dlatego wreszcie tak wściekły był atak PiS-u na całe środowisko polskich prawników.

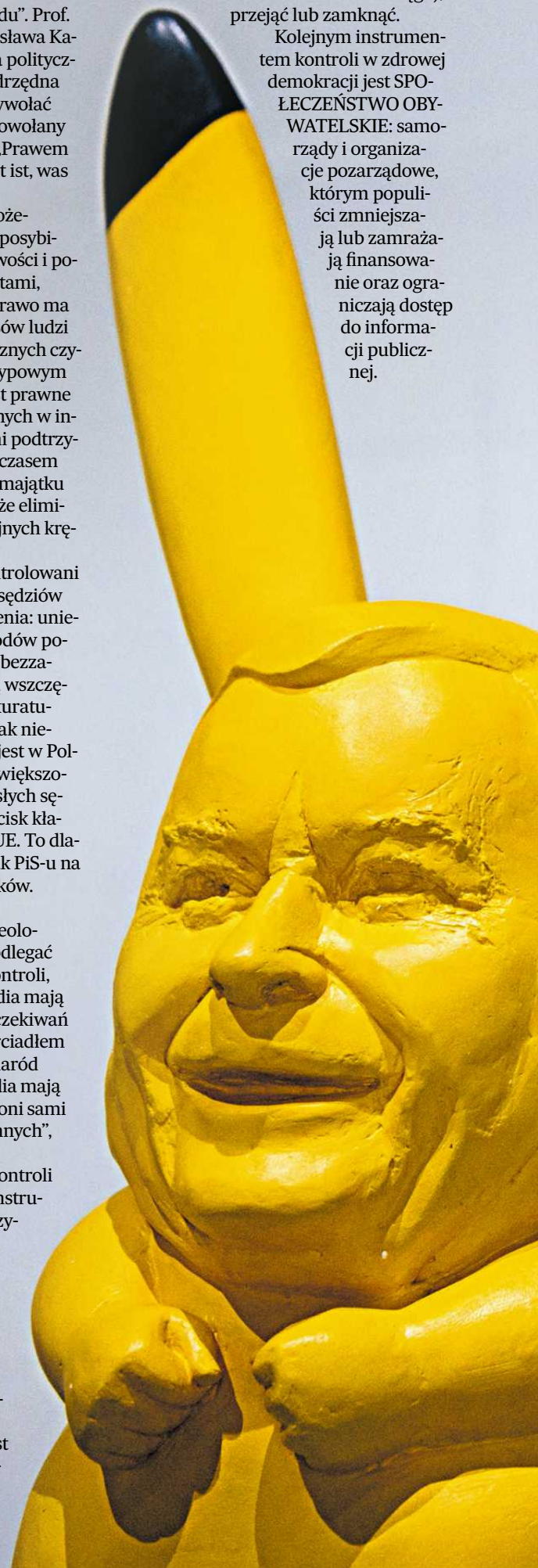
Populiści – według własnej ideologii – nie powinni również podlegać żadnemu innemu typowi kontroli, np. KONTROLI MEDIALNEJ. Media mają być emanacją przekonani, woli, oczekiwań narodu, mają być swoistym zwierciadłem „duszy narodu”, a populiści „ten naród reprezentują”. Oznacza to, że media mają przedstawiać populistów tak, jak oni sami siebie chcą widzieć: jako „niezlomnych”, „prawych”, „sprawiedliwych”.

Innymi słowy z instrumentu kontroli rządzących media stać się mają instrumentem ich promowania, czyli częścią propagandy. Jeśli w tym miejscu dodamy, że w przekonaniu populistów inne partie reprezentują „nienaród”, to media „reprezentujące naród” mają ich zdaniem nie prawo, lecz obowiązek obrony „naszych” przed „obcymi”, stosując w tym celu dowolne metody.

Mediom tak widzianym nie jest zadana misja pokazywania prawdy; ich zadaniem jest promowanie populistów i aktywne zwalczanie ich politycznych przeciwników.

Skoro kontrola „reprezentantów narodu” jest niedopuszczalna, to media, które ją podejmują, z założenia są wrogiem, dlatego należy ograniczyć ich możliwości oddziaływania (poprzez ograniczenie finansowania lub zasięgu), przejąć lub zamknąć.

Kolejnym instrumentem kontroli w zdrowej demokracji jest SPOŁECZNE OBOWIĄZKI: samorządy i organizacje pozarządowe, którym populiści zmniejszają lub zamrażają finansowanie oraz ograniczają dostęp do informacji publicznej.



FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Operacja przenoszenia środka ciężkości podejmowania decyzji i sprawowania władzy z „dołu” do „góry” to po prostu centralizacja i scalanie władzy dotychczas rozproszonej. POPULIŚCI KOCHAJĄ CENTRALIZACJĘ, bo daje im ona poczucie omnipotencji.

Wróćmy do „reprezentowania narodu”. Naród nie może protestować i strajkować przeciwko własnym „reprezentantom”, to byłaby aberracja. Jeśli jednak protesty się odbywają, oznacza to zdaniem kaczystów, że protestują jednostki „polskojęzyczne”, zmanipulowane lub opłacone, „zwiezione z całej Polski autobusami”, „komuniści i złodzieje”. Dlatego „reprezentanci narodu” mają pełne prawo „bronienia” go przed „obcym elementem”. Ma to wymiar coraz większego przyzwolenia na policyjną przemoc i brak jej rozliczenia ze strony przełożonych.

Przemoc ma wywołać efekt mrozący. Celem populistów bowiem jest wprowadzenie społeczeństwa, m.in. w ten sposób, w stan swoistego letargu, w którym w społeczeństwie czynnie działają jedynie dwa typy komórek społecznych: naród i rodzina. Pomiędzy nimi ma być próżnia socjologiczna, w której nie ma interakcji między ludźmi i ich grupami. A brak interakcji oznacza brak protestów, bo sfrustrowany człowiek nie ma szansy dowiedzieć się, że jest jednym z milionów sfrustrowanych, zatem raczej uda się na emigrację wewnętrzną niż na strajk czy protest.

Jest jeszcze jeden ośrodek kontroli, w największym stopniu nie do zaakceptowania przez „namaszczonych przez naród”. To ORGANIZACJE MIĘ-

DZYNARODOWE. Tu wyprowadzane są działa największego kalibru, a ostrzał prowadzony jest z pozycji „obrony suwerenności”. Wynika to z fundamentalnego założenia populistów – działalność na arenie międzynarodowej ma dla nich znaczenie wyłącznie wtedy, kiedy można użyć jej instrumentalnie do prowadzenia polityki wewnętrznej.

Populiści mają głęboko zakorzenione przekonanie, że ZA GRANICĄ JEST WRÓG. Żywią się poczuciem realnych lub rzekomych krzywd doznanych w przeszłości i teraźniejszości od innych państw i organizacji międzynarodowych. Jak w takim paradygmacie kaczyści mogliby zmieścić i zaakceptować kontrolę sprawowaną przez nie-Polaka z niepolskiej organizacji?

Podsumujmy: populiści zakładają, że z faktu ich wyimaginowanego „reprezentowania narodu” wynika niedopuszczalność jakiegokolwiek kontroli: konstytucyjnej, prawnej, medialnej, społeczeństwa obywatelskiego czy też organizacji międzynarodowych. Osłabienie

mechanizmów kontroli połączone z przekonaniem o własnej wyjątkowości i dziejowej misji prowadzi w sposób nieunikniony do rozluźnienia samokontroli, do omijania procedur i prawa – ze względu na realizowanie „wyższych celów”. To z kolei prowadzi do afer, skandali czy przekrętów – do „błędów i wypaczeń”. Problem polega jednak na tym, że „reprezentanci narodu” nie mogą przyznać, że popełnili błędy, bo to zachwiałoby całym paradygmatem. Dlatego WINNY JEST ZAWSZE KTOŚ INNY, najczęściej poprzednicy, obcy i zdrajcy – nigdy populiści jako formacja.

Wina poprzedników – spersonalizowana w Polsce jako „wina Tuska” – to już instrument memiczny. Ale warto przypomnieć sobie kanoniczne „przez ostatnie osiem lat” premierki Szydło. Kiedy winy nie da się zrzucić na poprzedników, odbywa się skanowanie rzeczy-

wistości w poszukiwaniu najlepiej pasującego wroga, spisku, układu lub ciemnych grup interesów. Jeśli nie znajdzie się dobry kandydat na winnego – zawsze są jeszcze Niemcy i „zdominowana przez nich” Unia.

Ostatnią kategorią radzenia sobie z „błędami i wypaczeniami” jest kciuk Kaczyńskiego. Podniesiony w górę oznacza, że winny jest oczyszczony z zarzutów, bo prezes tak dekretuje (np. Stanisław Piotrowicz, Grzegorz Kujda). Kciuk w dół oznacza zaś, że los nieszczęśnika w służbie prezesowi i PiS-owi dobiega końca. Doświadczyli tego prezes NIK-u Marian Banaś czy niezrzeszony poseł Łukasz Mejsza.

W nieprzyznawaniu się do niepowodzeń zaszyty jest jeden z największych pro-

blemów, jaki wiąże się z rządami populistów: rozmontowują oni równanie „władza równa się odpowiedzialność”. Rządzą tak, JAK GDYBY SKUTKI ICH DECYZJI MIAŁY SIĘ NIGDY NIE WYDARZYĆ, jak gdyby jutra miało nie być, a piekło nie istniało.



Kaczym się w Polsce nie ukorzeni, to już dzisiaj możemy powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem.

Wciąż jednak pozostawia po sobie Polskę do odbudowy

Immanentną cechą rządów populistów jest to, że NIE POTRAFIĄ RZĄDZIĆ BEZ FIGURY WROGA. Wróg na ich miarę to zewnętrzny spisek, którego macki penetrują kraj i uniemożliwiają wzrost „zdrowej tkanki narodu”. Spiskowa teoria dziejów jest niezbędna w każdym populizmie, bo w prosty i przystępny – choć intencjonalnie kłamliwy – sposób objaśnia coraz bardziej skomplikowany i niezrozumiały świat.

Dla kaczysmu bazową teorią spiskową jest ta dotycząca katastrofy smoleńskiej. Jest tam wróg zewnętrzny i podstępny wróg wewnętrzny, mitologia „zdrady o świącie” i „najwyższej ofiary”, „przemysł pogardy”. Twórcy tej teorii działali według podstawowej zasady dezinformacji: ludziom trzeba dostarczyć nieskończoną liczbę teorii, wątków, które nie muszą do siebie pasować i tworzyć spójnej całości. Ich wielość tworzy zamęt i sieje wątpliwości, a to najlepsze podglebie dla wzrostu teorii spiskowej.

Populistom potrzebni są też „zwykli” wrogowie, bo populizm musi kimś straszyć. W rodzimym kaczysmie straszakiem byli uchodźcy, wrogiem powszechnym są środowiska lewackie, LGBT, których ukrytym celem jest zniszczenie polskiej rodziny.

Awersem figury strasznego wroga jest PERMANENTNE BYCIE OFIARĄ. Kaczyści są „ofiarami” Unii, która się na nich uwzięła, Niemców, którzy „mogą się zbroić przeciwko nam”, a Polska nie może być przecież „małym zgwałconym wagonikiem w niemieckiej lokomotywie” (europoseł Jaki). Ze względu na swoją nieprzejednaną postawę i niezłomność są też stale na celowniku Putina, wtedy np., kiedy publikowane są maile z poczty ministra Dworczyka. Są również ofiarą „przemysłu pogardy i nienawiści”.

Figury wroga i ofiary, wiecznej obrony przed niedookreślonym złem, dziejowej misji „wstawania z kolan” – wszystkiemu temu towarzyszy nadymanie się własną domniemaną wielkością. To z kolei służy jako pretekst do wzmacniania resortów siłowych i służb specjalnych – populiści wiedzą, że będą one potrzebne w czasach nieuniknionych, wywołanych przez nich kryzysów.

Populiści „reprezentują naród”, ten naród z trzewi, z serca. W tym prawdziwym Polaku – mówią kaczyści – przetrwała prawdziwa polskość, miłość do ojczyzny, języka, ludowizny. Stąd już tylko krok do PRZECIWSTAWIENIA LUDOWI ELIT, które zdaniem populistów się wynarodowiły i reprezentują obce interesy. Dla populistów zdyskredytowanie elit jest koniecznością – inaczej sami zostaną zdyskredytowani i zdemaskowani przez ludzi, którzy z racji wykształcenia czy pozycji społecznej nie dają się łatwo nabierać na populistyczne ideologie, a zarazem ich od-

działywanie społeczne jest nie do przece-

nienia. Populiści wyczuwają, że ludzie elit nie lubią. Dlatego bezpardonowe uderzenie w elity nie odbiera populistom zwolenników – przeciwnie, przysparza im poklasku.

Jest też na pisowskim celowniku grupa ludzi majątnych. Dodajmy, jednym z celów populistów jest zawsze i wszędzie BUDOWA WŁASNEJ OLIGARCHII.

WYMIANA ELIT zdaniem populistów musi odbyć się w każdym środowisku (ludzi zamożnych, naukowców, nauczycieli, lekarzy, prawników, ludzi kultury i sztuki). W praktyce stanowi ona zaproszenie dla osób chcących zrobić szybką karierę i gotowych temu celowi podporządkować własną niezależność. Ma to dewastujące skutki dla modelu społecznego: awans ma być osiągany dzięki konformizmowi, oportu-

nizmowi, służalczości, lizusostwu, nepotyzmowi zamiast talentowi, ciężkiej pracy, odpowiedzialności. Populizm jest stopniowalny i najczęściej rozwija się według podobnego schematu: zdobycie władzy za sprawą wykreowania niezadowolonych i ponadstandardowych obietnic wyborczych; przejście ośrodka kontroli konstytucyjności, skrócenie praworządności, obsadzenie sądów i prokuratur ludźmi w pełni dyspozycyjnymi; zmniejszenie mediów w propagandę; usunięcie ośrodków kontroli; zbudowanie własnej oligarchii i resortów siłowych; wprowadzenie społeczeństwa w stan zbiorowej apatii za pomocą strachu lub państwowej przemocy.

Powiedzmy wprost: niezatrzymany populizm prowadzi nieuchronnie do jakiejś formy totalitaryzmu. Kaczym na tej drodze zatrzymał się na pierwszych etapach rozwoju, bo nie poradził sobie z rozmontowaniem niezależności sędziów i mediów, zanim wywołał druzgocące skutki gospodarcze. Bo każdy populizm z definicji prowadzi do ruiny gospodarczej poprzez wywoływanie inflacji spowodowanej drukowaniem pieniędzy, wystraszenie inwestorów, wydawanie bajądliwych sum na nieefektywne przedsięwzięcia, rozpasanie i poczucie bezkarności własnych funkcjonariuszy.

Kluczowe dla populistów jest jednak przesunięcie tych skutków w czasie, tak aby wystąpiły po całkowitym przejęciu władzy. Wtedy resorty siłowe, służby specjalne i propaganda będą w stanie poradzić sobie z niezadowolonym społeczeństwem. Kaczyńskiemu się to nie udało.

Kaczym się w Polsce nie ukorzeni, to już dzisiaj możemy powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem. Wciąż jednak pozostawia po sobie Polskę do odbudowy i konieczność poradenia sobie ze skutkami ubocznymi własnej ideologii. ●



FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Joanna Mucha

• rocznik 1976, dr nauk ekonomicznych. Działalność polityczną zaczynała w UW, w 2003 r. wstąpiła do PO. Od 2007 r. posłanka na Sejm. Była ministrami sportu w rządzie Tuska (2011-13). W styczniu 2021 r. przeszła z PO i KO do ruchu Polska 2050.

Cały tekst: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

CO MNIE URZEKŁO?

Nietoperze wpatrują się we mnie

Wystające ze skrzydeł szpony uruchamiają wyobraźnię, a nad głową miałem ich setki, jeśli nie tysiące

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK*

Do niewielkiego lasu zwabił mnie niezwykle hałas powodowany, jak mi się wydawało, przez stado poruszonych czymś ptaków. Jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem nad głową setki, jeśli nie tysiące, wielkich żółto-czarnych nietoperzy zwisających swoim zwyczajem z gałęzi i wpatrujących się we mnie urzekająco pięknymi wielkimi oczami. To ciekawe (za-

pewne obopólnie) spotkanie nastąpiło na małej wyspie położonej na jeziorze Kivu rozdzielającym Rwandę i Kongo. Widziana z wody przypomina kształtem słynny kapelusz cesarza Francuzów, co tłumaczy jej intrygującą nazwę – Wyspa Napoleona.

Jezioro Kivu, należące do pojezierza Wielkich Jezior Afrykańskich, kryje wiele niespodzianek, a nawet zagrożeń. Pod jego dnem gromadzą się bowiem wielkie złoża dwutlenku węgla i metanu, których erupcja może być przyczyną katastrofy znacznie większej od tej, która w 1986 r. w Kamerunie spowodowała gwałtowną śmierć 3500 sztuk bydła i 1700 osób żyjących wokół jeziora Nyos. W dużo większym Kivu taki wybuch wywołałby dodatkowo niszczące tsunami. Naukowcy uspokajają, że na razie nie widać symptomów zbliżającej się katastrofy, chociaż może się ona zdarzyć jeszcze w tym stuleciu. Zapobiec jej może już rozpoczęte wydobywanie gazu podjeziernego, który w przyszłości może uniezależnić Rwandę energetycznie, a nawet wystarczy go na eksport.

Specyficzny skład chemiczny wód Kivu sprawia, że nieświadomemu zagrożenia pływakowi nie grozi bilharcjoza. Ta groźna choroba pasożytnicza klimatu gorącego wywoływana jest przez słodkowodne przywry z rodzaju *Schistosoma*, których ślimaczy żywiciela nie występują w tym specyficznym środowisku. Na tę mało znaną w Polsce, a bardzo groźną z powodu powikłań przypadłość choruje na świecie około 230 milionów ludzi, co czyni ją drugim zagrożeniem po malarii.

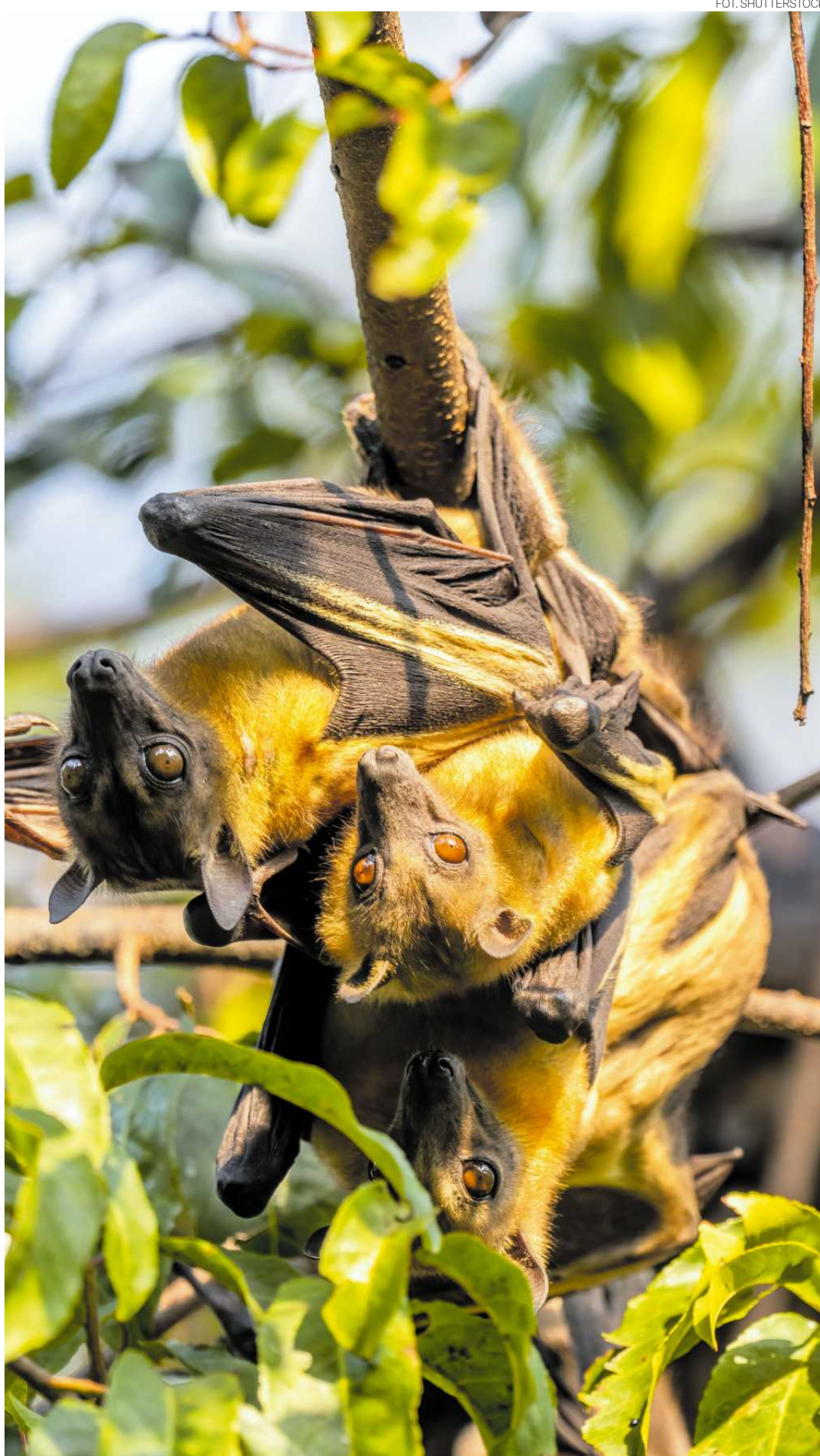
Żadnym z tych zagrożeń nie przejmują się słynne pływające krowy, których stada przemieszczają się wpław z wyspy na wyspę w poszukiwaniu pastwisk, ani stadko małp, które jakimś sposobem zasiedliły jedną z wysp. Potencjalne niebezpieczeństwo nie odstrasza też rybaków, którzy z katamaranów wyposażonych w ogromne wysięgniki z opuszczanymi sieciami łowią nocą niewielkie ryby. Jeśli ktoś wstanie o świcie, kiedy wracają do portu, to usłyszy ich chórny śpiew niosący się daleko po wodzie.

Niebezpieczeństwo raczej nie zagraża nietoperzom z Wyspy Napoleona, które na pewno zdążą odlecieć, co demonstrują, reagując ucieczką choćby na głośnie klaśnięcie. Chmura tych bezszelestnych lotników robi niesamowite wrażenie i nieracjonalne obawy spowodowane czarną legendą nietoperzy wampirów. Tymczasem nietoperze z Wyspy Napoleona są ścisłymi weganami, a nawet frutarianami, bo żywią się owocami palm, kwiatami baobabu, mango i figami.

Te największe nietoperze kontynentalnej Afryki to zjawy płowe (*Eidolon helvum*), których rozpiętość skrzydeł sięga 75 cm, a długość ciała dochodzi do 23 cm. Wisząc w pozycji spoczynkowej, wyglądają całkowicie niegroźnie, choć ich przeraźliwy wrzask powoduje ciarki na plecach, a wystające ze skrzydeł szpony uruchamiają wyobraźnię karmioną filmami klasy B. Na szczęście jest środek dnia.

Trudno mi oszacować przebieg ewentualnego bliższego spotkania, ale z odległości niecałych dwóch metrów nietoperze z Wyspy Napoleona wyglądają bardzo sympatycznie. Niepokój powodowany ich wielką liczebnością i czynionym hałasem nie zmienia poczucia sympatii dla tych puchatych, jaskrawo usierścionych pluszaków, które obdarzają przybylsza szczerym spojrzeniem wielkich oczu. ●

***Przemysław Urbańczyk** – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów.



FOT. SHUTTERSTOCK

Adam Michnik poleca **List otwarty z zamkniętej Rosji**

Kocham Zachód. A on mówi: Spadaj!

Nocami śnią mi się włoskie muzea. Nic z tego, nie pojedę.

Dmitrij Trawin*

Trudno znaleźć europejski kraj, w którym nie miałbym przyjaciół – naukowców, dziennikarzy czy dyplomatów – którzy kiedyś pracowali w Petersburgu. Mam tam też przyjaciół rosyjskich, którzy już dawno stali się obywatelami obcych państw.

Kieruję do nich list otwarty: jeden do wszystkich, bo główny problem naszego życia jest dziś dla nas wszystkich taki sam – to los Rosji, która popadła w straszną katastrofę.

Drogi przyjacielu!

Ty i ja zapewne nigdy się nie spotkamy. Byłem atakowany ze wszystkich stron. Lotów do Europy prawie nie ma. W twoim kraju blokują moją kartę. Wizy są trudno dostępne, a wkrótce możemy ich w ogóle być pozbawieni. Ja się nie liczę. Nie istnieje w twoim kraju, chociaż nie zniknąłem.

Oczywiście można się targować, poświęcić mnóstwo czasu i jakoś znaleźć drogę na Zachód, ale szczerze mówiąc, nie podoba mi się to. To już nie na mój wiek, więc choć nocami śnią mi się włoskie muzea, a stopy proszą, jak za dawnych lat, o spacer po górskich ścieżkach w Niemczech, to Europa pozostaje tylko w moich marzeniach i wspomnieniach o pięknej przeszłości. Bardzo kocham wasze kraje, ale one mnie dzisiaj nie kochają.

Nie obrażam się. Jest oczywiste, że europejska biurokracja musi reagować na działania moje-

go kraju, i reaguje w sposób najprostszy i najbardziej zrozumiały dla wyborcy. Rosyjska inteligencja po raz kolejny została uwikłana w historię i nic nie możemy na to poradzić. A nasza biurokracja z radością idzie na konfrontację, bo jej potrzebuje. Jesteśmy wciśnięci między dwie potężne maszyny polityczne, które formalnie ze sobą walczą, ale w rzeczywistości naciskają na nas z różnych stron.

W historii mojego kraju bywały gorsze momenty, więc staram się podchodzić do wyrzucenia nas z Europy filozoficznie, choć od około 50 lat pracuję nad tym, by stać się w pełni Europejczykiem.

W naszych rozmowach w przeszłości często pojawiał się pytanie, jak Zachód może pomóc w europejskim rozwoju Rosji. Wówczas zajmowaliśmy się szczegółami, ale dziś, gdy nikt już o nie nie pyta, chciałbym zająć się punktem głównym. I powiedzieć, dlaczego staliśmy się Europejczykami, mimo że władze sowieckie tego nie chciały.

Jestem w takim wieku, że dobrze pamiętam i późny ZSRR, i pierestrojkę, i „dziarskie lata 90.”, i wszystkie etapy ewolucji obecnego reżimu. Pamiętam wszystko, co ukształtowało współczesną Rosję: zarówno jej dobre, jak i złe strony.

Rosja stała się europejska, gdy Europa była silna, piękna i atrakcyjna, gdy „mit europejski” (słusznie lub nie) zawiądł naszymi

umysłami i duszami, gdy wszystko, co przychodziło do nas z Zachodu – od gotyckich katedr po smak gumy do żucia – budziło pragnienie, by stać się Europejczykiem.

Kiedy byliśmy chłopcami, wasz europejski sposób życia wyraźnie dominował nad tym narzuconym nam przez sowiecką gerontokrację i zgadzali się z tym zarówno ci, którzy marzyli o spacerach wzdłuż weneckich kanałów, jak i ci, którzy jedynie kupowali dżinsy u handlarza ciuchami, więc kiedy tylko staruszkowie umarli, otworzyło się dla nas okno na Europę i każdy brał przez nie, co chciał.

Nie wierzyłem tym, którzy mówią, że my, Rosjanie, zawsze nienawidziliśmy Zachodu. To kłamstwo. Nie ma u nas nienawiści.

Jednak jest też podejście pragmatyczne.

Mamy dżinsy czy gumę do żucia. Ale pięknego mitu już nie ma. Nie ma zrozumienia, że potrzebujemy wartości europejskich. Podobają się one mnie i wąskiemu gronu myślących podobnie jak ja, ale dla dużej części społeczeństwa są czymś w rodzaju starej radzieckiej ideologii odwróconej do góry nogami. Puste słowa nie poruszają pustych dusz. A dowodów na europejską atrakcyjność jest coraz mniej.

Jesteśmy Twoimi duchowymi dziećmi. Oczywiście mi zaprzeczysz. Przypomnisz nam o naszym autorytarnym reżimie, o naszym konformizmie, o potwor-

nym samooszukiwaniu się rosyjskich elit, które same weszły w paszczę lwa. Będiesz miał rację. Narobiliśmy bałaganu i nieprędko go posprzątam.

Piszę teraz tylko o tym, jak Wy, Zachód, możecie pomóc Rosji, krajowi, o którym wiem, że nadal uważacie go za europejski. Jest dla nas fundamentalnie ważne, jaki będzie Zachód, gdy ponownie otworzy się tu okno możliwo-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Natalia Belczenko*

Lidoczka

Ponad pół roku poszło z dymem.

Polina, Jelyzaweta i Ustynija

doczekały się Lidoczki na kredowych górach.

Nagrywałam jej żywy głos na dyktafon,

a teraz nie mam sił tego odsłuchać,

ktoś we mnie bardzo mocno się broni.

Ów ktoś odnalazł pozytyw w tym,

że w razie napadu moskwy oraz możliwej ucieczki

już nie trzeba zachodzić w głowę,

jak transportować obłożnie chorą.

Zdrętwiała istota jeszcze nasłuchuje,

czy nie rozlega się jęk, który czasem rozlegał się

przez dwa i pół roku z pokoju obok.

Doświadczenie bycia córką – skończyło się.

Jaką teraz będzie twoja droga, ktoś?

Przeł. Anton Marczyński



FOT. SERGIUSZ OLEWICZ

***Natalia Belczenko** – ur. w 1973 r. w Kijowie, ukraińska poetka i tłumaczka. Autorka dziewięciu książek poetyckich, jej poezja była tłumaczona m.in. na niemiecki, francuski, angielski, koreański, polski, litewski i włoski. Rezydentka Fundacji Wisławy Szymborskiej (2022).

Ocalenie Rosji zależy od Rosji

6 sierpnia Dmitrij Trawin napisał uzupełnienie do swego tekstu.

Komentarzy do mojego listu było wiele i można je wziąć za zbiorczą odpowiedź mojego zagranicznego przyjaciela, oczywiście pełną emocji. Postaram się go uspokoić.

Drogi przyjacielu!

Najwyraźniej uznał Pan, że sprzeniewierzyłem się swojej „europejskiej wierze”, i chce mnie Pan skierować na właściwą drogę. Ale nie, nic mi nie dolega. Wiecie, jak bardzo oberwałem za książkę „Dlaczego Rosja została z tyłu?” [2021] od ludzi, którzy uważają, że mój kraj jest zawsze bez winy i zawsze odnosi sukcesy. Ja tak nie uważam i widzę, że moim głównym zadaniem w życiu jest analizowanie przyczyn naszego zapóźnienia i sposobów rozwiązania naszych problemów.

Ocalenie Rosji zależy głównie od Rosji. Pozytywne zmiany możemy wprowadzić tylko wtedy, gdy otworzy się okno możliwości politycznych, a to zależy od obiektywnych warunków. Aleksander II nie mógł znieść pańszczyzny, dopóki panował jego nieśmiały ojciec Mikołaj I. Gorbaczow nie mógł rozpocząć pierestrojki, dopóki stara partyjna gerontokracja żyła swoim życiem.

Możemy dokonać zmian we właściwym czasie tylko wtedy, gdy jesteśmy na nie intelektualnie gotowi. To zależy od nas, od tego, jak wykorzystamy czas, który pozostał do otwarcia okna. Czy wykorzystamy go do historycznego krzyku w mediach społecznościowych, co wyśmiewa nieliberalna opinia publiczna, czy też do prze-myślenia istoty niezbędnych reform, przestudiowania międzynarodowych doświadczeń i wy-

kształcenia młodych ludzi, którzy poniosą ciężar przyszłych przemian.

Oprócz gotowości intelektualnej potrzebujemy gotowości moralnej, której brak zrujnował naszą nieśmiałą transformację lat 90. Zamiast szukać kompromisów, rosyjskie elity walczyły ze sobą, otwierając drogę siłom, od których same dziś cierpią.

I wreszcie słowo o Europie. Kiedy rozpoczęła się pierestrojka, z punktu widzenia wartości świat był jednobiegunowy. Nie było alternatywy dla wartości europejskich. Ale od tego czasu świat stał się dwubiegunowy. Tym drugim biegunem stały się autorytarne Chiny. Rosja, ospała, nieszcześliwa i wytrącona ze ścieżki rozwoju, jest dziś wciśnięta między dwa dynamiczne, ale bardzo różne światy. A w przyszłości mój kraj będzie musiał wybrać między dołączeniem do „europejskie-

go domu” a przekształceniem się w agrarno-surowcową przybudówkę Chin. Dla mnie i mojego kręgu wybór pierwszego wariantu jest oczywisty. Ale dla dziesiątków milionów Rosjan nie.

Dzisiejsza rosyjska propaganda aktywnie promuje dwie idee: 1. Autokracja może być skuteczna: spójrz na Chiny. 2. Rosja idzie własną drogą; Europa nie jest naszym przewodnikiem.

Mam nadzieję, że rozumiesz, drogi przyjacielu, że to Ty masz ostatnie słowo. Europa może, ale nie musi znów stać się atrakcyjna dla wszystkich.

O tym pisałem do Ciebie w pierwszym liście, drogi przyjacielu, nie o wizach, granicach i lotach. Choć oczywiście dobrze będzie, jeśli w swojej „Europie” nadal będziecie uczyć naszą młodzież sensu, zamiast zamykać ją za „żelazną kurtyną”, zostawia-

ści politycznych (a na pewno się otworzy!). Silna, piękna i atrakcyjna Europa uczyni nas Europejczykami. Wiem to na pewno. Nie potrafię tylko powiedzieć, jak sprawić, by Europa znów była taka. Decyzja należy do Ciebie. ●

3 sierpnia 2022 r.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

*Dmitrij Trawin

● ur. w 1961 r., rosyjski ekonomista, politolog i związany z opozycją publicysta. Tekst ukazał się 3 i 6 sierpnia tego roku na Facebooku

MÓWIA **JEFFREY SONNENFELD** Z YALE SCHOOL OF MANAGEMENT, KTÓRY OD 50 LAT ZAJMUJE SIĘ RELACJAMI SPOŁECZEŃSTWA I BIZNESU, ORAZ **STEVEN TIANG** I **MICHAŁ WYRĘBKOWSKI**, CZŁONKOWIE JEGO ZESPOŁU BADAWCZEGO

Dlaczego zaczęliście przyznawać oceny firmom w zależności od tego, w jakim stopniu wycofały się z Rosji po jej ataku na Ukrainę?

JEFFREY SONNENFELD: Pół roku temu rozmawiałem z dwunastoma prezesami rządów firm, które właśnie wyszły z Rosji. Podzielili się ze mną obawą, że działy public relations firm będą tworzyć zaslonę dymną przed ludźmi takimi jak pan i ja, czyli dziennikarzami i analitykami, w efekcie czego pochwały będą zbierać firmy, które tylko udają, że coś zrobiły. Wtedy pomyśleliśmy: spróbujmy oddzielić tych, którzy naprawdę działają, od udawaczy i oszustów.

Wymieniliśmy te firmy z nazwy, a gdy nasza analiza stała się tematem debaty publicznej, skutkiem było załamanie ich kursów giełdowych od 12 do nawet 33 proc. Od tego czasu nasza lista urosła z 12 do 1,3 tys. firm, których działania analizujemy; ponad tysiąc z nich wyszło z Rosji. Mamy ludzi w terenie, od Moskwy przez zespół w Warszawie po Uzbekistan i Monachium, żeby mieć informacje z pierwszej ręki.

Przypadek Rosji nas zaskoczył, bo firmy sprzedające dobra konsumenckie okazały się być daleko w tyle. Firmy odzieżowe, produkujące żywność, które zwykle wycofałyby się bardzo szybko, nie zrobiły tego. Nie spodziewanie pierwsze były firmy z sektora technologicznego, wydobywania i przetwórstwa ropy oraz usługi takie jak księgowość, obsługa prawna czy konsulting.

Argumentują panowie, że blokada ekonomiczna Rosji – czyli sankcje połączone z decyzjami prywatnego kapitału – niszczą rosyjską gospodarkę.

J.S.: Nigdy w historii nie widzieliśmy nic podobnego. Pracowałem z szefem General Motors i IBM – wówczas nie znałem jeszcze prezesa Coca-Coli – w 1988 r., kiedy firmy te, wychodząc z Republiki Południowej Afryki, zainicjowały ruch ponad 200 firm. W historii to był ideał połączenia sankcji nakładanych przez rządy państw z decyzjami prywatnego kapitału. Te drugie są ważne też dlatego, że pozwalają uniknąć wrażenia, że chodzi o jakieś polityczne tarcia rządów. To wzmacnia etykietę kraju-pariasa oraz utrudnia oszukiwanie i omijanie sankcji.

Były oczywiście rozczarowujące próby blokad ekonomicznych, najbardziej znane to Kuba, Korea Północna i Iran. W wielu przypadkach były jednak częścią sukcesu, m.in. w RPA, Polsce za czasów Wojciecha Jaruzelskiego, dyktatury Muammara Kaddafiego w Libii czy Augusto Pinocheta w Chile.

Teraz mamy do czynienia z bezwzględnym, krwawym przywódcą. Gdy weźmie się pod uwagę dostęp Władimira Putina do arsenału nuklearnego, można go uznać za prawdopodobnie najbardziej niebezpieczną osobę, jaka chodziła po ziemi. Nie możemy wywołać konfrontacji, której efektem może być trzecia wojna światowa, w grę nie wchodzi polityka łagodzenia i pokoju za wszelką cenę, taka, jaką prowadził wobec Adolfa Hitlera brytyjski premier Neville Chamberlain. Co jest pomiędzy tymi dwoma opcjami? Szeroka blokada ekonomiczna, która zagłodzi bezwzględnego tyрана i pokaże ludziom w Rosji, że Putin nie kontroluje sytuacji, w efekcie czego stanie się wrogiem narodu jako źródła jego cierpień.

To jest to, co próbujemy analizować. Za każdym razem, gdy Rosja coś kupuje, idzie o sprzedawcy. Za każdym razem, gdy Rosja sprzedaje, próbujemy dotrzeć do kupca. W globalnej gospodarce Putin nie może ukrywać danych tak, jak by chciał. To pozwala nam pokazać, że w rzeczywistości rosyjska gospodarka przędzie bardzo słabo.

Jednocześnie staramy się wyprzedzać propagandę Putina, która twierdzi, że spa-

dek rosyjskiego PKB to znośne 4 proc. To jest nieprawda, w rzeczywistości jest dużo gorzej.

To największa blokada gospodarcza w wielu wymiarach. Pod względem liczby uczestników, współpracy sektora państwowego i prywatnego.

Tu trzeba jednak zastrzec, że Rosja mimo olbrzymiego terytorium nie kwalifikuje się jako globalna superpotęga. Ich PKB *per capita* jest nieco niższe niż to w Chile, a rosyjski wkład w globalną gospodarkę to w zasadzie przykład kolonizacji – Rosja eksportuje właściwie wyłącznie nieprzetworzone surowce, bez żadnej wartości dodanej. Poza paliwami, surowcami i żywnością produkują tylko cyberterroryzm.

Chiny byłyby dużo trudniejsze do zablokowania. Nie tylko z powodu rozmiaru państwa, liczby ludności i gospodarki, ale z powodu jej zróżnicowania, bo są obecne na bardzo wielu polach, od półprzewodników po antybiotyki. Nawet wódka, którą pijemy pod rosyjskimi nazwami, nie należy już do Rosji.

za baryłkę, ale sprzedają często po zaledwie 50 dolarów, bo wraz z próbą przekierowania ropy do Chin i Indii państwa te były w stanie zapewnić sobie potężne rabaty. To zostawia ich z kilkoma dolarami zysku na baryłce, a tak naprawdę z niczym – bo żeby dostarczyć ropę do Europy, potrzebowali tygodnia, a transport do Azji zajmuje cztery do pięciu razy dłużej, co pochłania cały ewentualny zysk.

Eksperci JP Morgan specjalizujący się w paliwach w kwietniu twierdzili, że baryłka ropy będzie teraz warta blisko 400 dolarów. Mylili się! Kosztuje 85 dolarów za baryłkę. Tak, to boli Europę i Zachód, ale dużo bardziej boli Putina i rosyjską gospodarkę. **MICHAŁ WYRĘBKOWSKI:** Większość dochodów rosyjskiej gospodarki była generowana w Europie. Rosja nie dysponuje infrastrukturą pozwalającą jej znacznie zwiększyć eksport do Chin. Choćby dlatego, że Chiny i Rosja mają inny rozstaw torów kolejowych.

Nie umniejszam szkód, które Rosja wywrzuciła w Europie, bo one są jak najbar-

ILE JESZCZE WYTRZYMA ROSJA?

Putin nie może ukrywać danych, dlatego wiemy, że ich gospodarka przędzie bardzo słabo

Stanisław Skarżyński, Londyn

Mimo to oddziaływanie ekonomiczne na Zachodzie jest potężne. Putin zmilitaryzował gaz, ropę i żywność, wywołując kryzys ekonomiczny na świecie.

J.S.: Rosja potrzebuje Zachodu, żeby sprządać dużo bardziej, niż Zachód potrzebuje kupować cokolwiek od Rosji. Szczególnie dotyczy to gazu. Putin publicznie mówił, że przekieruje gaz, straszył, gdy pod pozorem konserwacji Gazprom zamknął pierwszą nitkę gazociągu Nord Stream. To była próba oszustwa, cyniczna, ale zupełnie nieprzekonująca. Rosja sprzedaje 83-84 proc. gazu Europie, a teraz Europa kupuje ze Stanów Zjednoczonych i Norwegii. A Rosja nie ma jak przekierować tego gazu na południe, do Azji, bo gaz w formie lotnej musi być transportowany gazociągami, a Putin nie ma takich, z wyjątkiem jednego, i to niedużego, nie ma infrastruktury do skraplania gazu, prawie wszystko jest w formie lotnej.

Niemcy są zaawansowani w budowie sześciu olbrzymich obiektów konwersji gazu z formy skroplonej do lotnej, które wejdą do użytku pod koniec tego roku kalendarzowego, czyli przed najmroźniejszym okresem zimy – i pomogą całej Europie.

Jednocześnie Europa jest blisko zapełnienia w 90 proc. swoich zbiorników rezerwowych gazu. UE ma teraz więcej gazu, niż miała w tym samym okresie przed rokiem!

Jeśli idzie o ropę, to tak, Rosja jest trzecim największym producentem w OPEC, ale jednocześnie jest prawdopodobnie najmniej wydajnym z producentów. Wydobywanie ropy kosztuje ich średnio 45 dolarów

dziej prawdziwe i przed Europą są pewne wyrzeczenia, ale z pewnością nie są one na poziomie, przy którym można mówić o śmierci europejskiej gospodarki. Tymczasem po drugiej stronie, w Rosji, trwałe szkody są na poziomie samych fundamentów niegdysiejszej rosyjskiej siły gospodarczej – tej samej, która wyniosła Putina do władzy i która pozwoliła mu ustanowić autorytarne rządy – czyli gazu i ropy, które stanowią 60 proc. rosyjskich dochodów budżetowych.

STEVEN TIAN: W odpowiedzi na zaburzenia podaży cena idzie gwałtownie do góry. Ale co dzieje się później? Wysokie ceny za-

chęcącą innych producentów danego towaru do uruchomienia produkcji tam, gdzie przy niższych cenach nie byłaby ona opłacalna. To podstawy ekonomii, ale to nadal działa. Ci, którzy mogą produkować, produkują więcej, bo więcej zarabiają. Wstrząs przemija, wysoka podaż równoważy popyt, ceny zaczynają spadać.

Widzieliśmy to już wcześniej, gdy państwa były de facto odcinane od globalnej gospodarki. W latach 80. XX wieku to samo stało się z cenami metali szlachetnych z powodu blokady RPA u schyłku apartheidu. Ceny poszybowały, gdy nałożono sankcje, ale z czasem spadły, bo wysokie ceny były zachętą do inwestycji w wydobywanie w innych miejscach, gdzie wcześniej nie byłoby to opłacalne.

W przypadku gazu mamy do czynienia ze skokiem cen, ponieważ rynki biorą pod uwagę czarny scenariusz. Ceny są wysokie, bo wszyscy próbują położyć rękę na gazie przed zimą. Nikt nie może przewidzieć pogody, ale jeśli zima będzie łagodna, a Europa już jest na dobrej drodze, by zapełnić swoje zbiorniki, scenariusz niedoborów i racjonowania może się w ogóle nie zmaterializować.

Proszę mi jeszcze powiedzieć, że nie powiedła się próba militaryzacji głodu.

J.S.: Nie powiedła się, bo mamy w tym roku niezwykle wysokie zbiory zbóż. Sądzieliśmy, że bombardowanie, niszczenie pól, ostrzał infrastruktury przechowywania i transportu zboża, do tego blokada na Morzu Czarnym spowodują spadek produkcji. Tymczasem Ukraina ma w tym roku bezprecedensowe zbiory, niemal na poziomie Rosji.

Problemem jest coś, co nie ma żadnego związku ani z Ukrainą, ani z Rosją. Chodzi o suszę w Afryce – według konserwatywnych założeń mamy najniższy od 40 lat poziom wody na kontynencie, który od dawna zmagał się z niedoborami żywności, ale to może się przekształcić w najgorszą suszę od 70 lat.

M.W.: Warto tu podkreślić, że najpoważniejsze przypadki klęsk głodu w historii, takie jak głód w Bengalu w latach 40. XX wieku czy głód w Etopii, to efekt nie braku zasobów, ale dystrybucji.

S.T.: Strategia Putina zakładała wywołanie głodu na świecie oraz oskarżenie, na drodze propagandy, Stanów Zjednoczonych, że są tego przyczyną. Putin się pomylił, bo mamy olbrzymie zbiory nie tylko w Ukrainie, ale też we wszystkich państwach będących dużymi producentami pszenicy. I dotyczy to nie tylko pszenicy, ale każdego rodzaju żywności, której dostawy do krajów rozwijających się Putin chciał zdusić – od kukurydzy po olej słonecznikowy. To coś, czego nie mogliśmy przewidzieć. Efekt jest taki, że nawet gdyby świat nie dostał żadnej dostawy żywności z Ukrainy – a tak nie jest, dzięki porozumieniu zawartemu pod auspicjami Turcji – na świecie mamy obecnie większą podaż pszenicy, niż mieliśmy rok temu o tej samej porze. To kolejny przykład działania rynku. Ceny zbóż podwoiły się po najeździe Rosji na Ukrainę. Teraz jednak spadły do poziomu niższego niż przed wybuchem wojny.

Czy nie jest zatem tak, że Putin zrobił nam wszystkim wielką przysługę, stwarzając wielką zachętę do zielonej transformacji energetycznej?

S.T.: Znowu kłania się ekonomia! Tak, bo rachunek kosztów i zysków stał się dużo bardziej wyrównany. Warunki kryzysowe w historii często skutkowały wielkimi falami innowacji, bo koncentracja uwagi społeczeństw spotykała się z wysoką zachętą ekonomiczną do inwestycji w innowacje, które bez warunków kryzysowych nie miałyby wsparcia społecznego i dostępu do finansowania.

M.W.: Porównując strategię energetyczną Rosji i Europy można dostrzec, że wojna wybuchła właściwie w ostatnim momencie, gdy Putin mógł myśleć o oddziaływaniu na Europę za pośrednictwem surowców energetycznych, głównie gazu. W strategii Rosji

00-04
03-04

• proc. gazu Putin sprzedaje Europie. Teraz Europa kupuje gaz w USA i Norwegii. A Rosja nie ma jak przekierować go do Azji

45

• dol. kosztuje Rosję wydobycie barytki ropy. Zysk jest niemal zerowy, bo sprzedaje ją za 50 dol.

600

• mld dol. wynosiły rezerwy Rosji. 300 mld zamroził Zachód, 85 mld Putin już wydał na wojnę

700

• tys. bezrobotnych było już w kwietniu w Moskwie

do 2035 r. Putin i jego aparatczycy zakładali wzrost produkcji ropy i gazu, głównie skroplonego. Rosja zupełnie zapomniała o odnawialnych źródłach energii, a Europa co najmniej od 2009 r. dość jasno zapowiadała transformację energetyczną.

Teraz Rosja zniszczyła swoją reputację jako pewnego dostawcy gazu, bo Związek Radziecki eksportował gaz nawet w najbardziej napiętych okresach zimnej wojny. Opierając się na tym, decydenci w krajach europejskich do ostatniej chwili wierzyli, że Rosja będzie eksportować gaz. Wraz z tym, co się dzieje, zniszczone mogło zostać przekonanie, że gaz stanowić będzie paliwo okresu przejściowego transformacji energetycznej.

S.T.: Sektor energii odnawialnej stoi przed wieloma poważnymi wyzwaniami. Przykładami są akumulatory o większej pojemności, zdolność magazynowania energii, kwestia produkcji wodoru. Ci, którzy mierzą się z tymi wyzwaniami, mogą teraz spodziewać się napływu talentu, uwagi i kapitału. Można więc dojść do wniosku, że z czasem zaowocuje to innowacjami.

J.S.: A jeszcze Putin przegrywa tę wojnę i do tego traci ludność, bo wiemy, że około miliona osób uciekło już z Rosji. Z Taszkientu, który stał się zagłębiem przemysłowym, uciekły tysiące wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Nikt nie przeprowadza się do Rosji ani z Uzbekistanu, ani z Paryża czy Doliny Krzemowej.

Miał 600 mld dolarów w rezerwach, to jego jedyne środki na czarną godzinę. Polowę z tego zamrożono na kontach na Zachodzie, więc zostało mu 300 mld dolarów. Nikt nie podaje innej liczby. 85 mld z tego wydał na swoją machinę wojenną, a tymczasem mer Moskwy już w kwietniu mówił, że ma w mieście 700 tys. bezrobotnych.

Ile czasu Putin będzie mógł to ciągnąć? Tego nie wiemy. Kalkulacje wskazują na 18 miesięcy do dwóch lat, ale trudno to sobie wyobrazić, bo nie wiemy, w którym momencie przekroczony zostanie próg cierpienia ludności, która przestanie się na to zgadzać. Nikt nie mówi przecież, że końcem będzie bankructwo państwa, bo dopiero wtedy ludność się od niego odwróci. Putin traci wpływy już teraz, trudno znaleźć argumenty popierające tezę, że ma dużo czasu.

Kiedy nałożono blokadę na RPA w 1988 r., używaliśmy telefonów i faksów, nie mieliśmy natychmiastowego dostępu do informacji. A w RPA w ciągu zaledwie 18 miesięcy władzę przejął Frederik de Klerk, a rok później wypuszczony z więzienia Nelson Mandela był prezydentem. To było powoli? Ja bym powiedział, że to było bardzo szybko – bo wyobraźmy sobie, że za 18 miesięcy Aleksiej Nawalny będzie prezydentem. A to jest miara z czasów upadku apartheidu w RPA!

A jeśli Chiny uznają, że oplaca im się utrzymać reżim Putina przy życiu?

M.W.: Chiny, widząc przykład Niemiec i innych krajów europejskich, wprowadziły zasadę, zgodnie z którą nie mogą być zależne od jednego dostawcy danego towaru w stopniu większym niż 25 proc. Po drugie, chińskie koncerny nie tylko przestały inwestować w Rosję, ale wręcz wycofały się z części projektów z firmami oligarchów, bo obawiały się objęcia sankcjami ze strony Zachodu, który jest największym partnerem handlowym Chin. Rosja wreszcie nie jest dla Chin niezbędna. Chiny również dążą do dekarbonizacji gospodarki, ale mają swoje pola gazu, które mogą zacząć eksploatować, a ponadto importują ropę i gaz m.in. z Turkmenistanu. Dyktatorzy z Azji Środkowej są dużo bardziej wiarogodni i mniej skłonni do wszczynania wojen niż Rosja.

J.S.: Błędne byłoby założenie, że skoro Xi Jinping stara się jakoś ustawić wobec Putina, to tym samym uważa to, co Putin robi, za korzystne, lub uprzywilejowuje Rosję jako partnera. Koncern petrochemiczny Sinopec, który z pewnością jest w piątce największych firm na świecie, odciął się od Rosji. Bank of China odciął wszelkie pożycz-

ki do Rosji, podobnie ICBC (Industrial and Commercial Bank of China), a to bank większy niż właściwie wszystkie, które umielibyśmy wymienić. Wreszcie kilka tygodni temu Rosja aresztowała trzech z pięciu kluczowych rosyjskich naukowców, stawiając im zarzuty zdrady i szpiegowania na rzecz Chin. To nie jest coś, co spotyka się w relacjach bliskich sojuszników. Zdecydowanie nie jest tam napięcie. Koniec końców, gdyby Putin wyleciał, Chinom byłoby dużo łatwiej załatwiać tam swoje interesy.

A jeśli Putin wyciszy wojnę, a zachodnie firmy wrócą do Rosji, i utrzyma się na Kremlu, to co wtedy?

J.S.: Zachodnie firmy nie mogą wrócić do Rosji. Rosja nie wywiązała się ze zobowiązań wobec dłużników i tym samym stała się przestrzenią, w którą nie wolno inwestować. Każdy członek zarządu, który spróbowałby tam zainwestować, zostałby wyrzuty z pracy i pozwany. Jeden z trzech najważniejszych inwestorów na świecie powiedział nam ostatnio, że inwestować można tylko tam, gdzie rządzi prawo, a nie prawem są rządzący. Putin poszedł za daleko, łamiąc prawo międzynarodowe. Ci, którzy mają tam aktywa, są uwięzieni, nie mogą i nie mają komu ich sprzedać, nikt nie wyłoży przecież kapitału, by mieć więcej czegoś takiego.

S.T.: Przed kilkoma miesiącami opublikowaliśmy raport na temat argumentów za opuszczaniem Rosji przez firmy. Podczas gdy większość osób koncentrowała się na wartości aktywów utraconych w Rosji, to w rzeczywistości strata ta była z dużą nadwyżką rekompensowana przez wzrost wartości akcji firm, które zdecydowały się opuścić rosyjski rynek. Okazało się, że zachodni inwestorzy bardzo obawiają się strat wizerunkowych i bojkotów. Można więc założyć, że zachodnie firmy nie wrócą do Rosji z przyczyn biznesowych, nawet jeśli argumenty etyczne zostawi się na boku.

M.W.: Dodatkowym argumentem jest to, że rosyjskie prawo umożliwia obecnie władzy nacjonalizację dowolnej firmy lub zobowiązanie firm do prowadzenia dostaw dla wojska. ●



Jeffrey Sonnenfeld – profesor Lester Crown w Yale School of Management, twórca i prezes Yale Chief Executive Leadership Institute (CELI). Doradzał m.in. prezydentom Joemu Bidenowi, Donaldowi Trumpowi i Billowi Clintonowi.



Steven Tian – dyrektor ds. badań w Yale Chief Executive Leadership Institute. Regularnie publikuje m.in. w „Fortune” i „Foreign Policy”.



Michał Wyrębkowski – badacz w Yale Chief Executive Leadership Institute, student University of Pennsylvania



**Z TYM WYDANIEM
DOSTAJĄ
PAŃSTWO
DOSTĘP DO:**

**1. Serwisu
Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę**

**2. Fragmentu książki
„Ofiary w sutannach”
Moniki Calkiewicz
i Małgorzaty Błaszczuk**

*Sprawy kryminalne
po 1989 roku, w których
ofiarami byli księża. Typowe
tylko z pozoru. Morderstwa
z zemsty, powiązane
z działalnością przestępczą,
niektóre z wątkiem seksualnym
w tle. Krzywdą ofiary miesza
się w nich z winą – autorytet
duchownego zostaje zderzony
z bezlitosnymi faktami.*

**Twój wyjątkowy
kod dostępu**

do fragmentu książki „Ofiary w sutannach”
Moniki Calkiewicz i Małgorzaty Błaszczuk
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

OSMCMB2

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdź na stronę
Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy
dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj
na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu,
chętnie pomożemy.

Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY3417693L

• Władimir Putin w petersburskim Teatrze Maryjskim z jego dyrektorem Walerijem Giergijewem. Ten rozchwytywany dyrygent, były szef London Symphony Orchestra, dzięki zachodnim kontaktom nabył nieruchomości we Włoszech warte 150 mln dolarów. Jeśli chodzi o poglądy, mógłby dorabiać jako rzecznik prasowy Kremla

FOT. ALEXEI NIKOLSKY/
RIA NOVOSTI/AP



Zachodnie instytucje kultury od dawna były korumpowane przez oligarchów Putina. Niektóre z nich nie chcą rezygnować z tych lukratywnych kontaktów

Anna S. Dębowska

Tuż po ataku Rosji na Ukrainę świat zachodni starał się solidaryzować z Ukraińcami i odcinać się – przynajmniej częściowo – od Rosji. I tak np. Festiwal Filmowy w Cannes zdecydował, że „dopóki trwa wojna”, nie przyjmie oficjalnej delegacji rosyjskiej. Jednocześnie pokazał u siebie film „Żona Czajkowskiego” w reżyserii dysydenta Kirilla Sieriebriennikowa, który od dawna miał na pierśniku z władzą.

W przypadku muzyki poważnej sprawa miała gwałtowniejszy przebieg. Niemal natychmiast zerwano kontrakty z najbardziej rozpoznawalnymi artystami mniej lub bardziej donośnie wyrażającymi poparcie dla Władimira Putina. W ten sposób swoje lukratywne angaże stracił Walerij Giergijew, od 30 lat obsesyjnie wręcz rozchwytywany dyrygent, dyrektor sowicie opłacanego przez Kreml Teatru Maryjskiego w Petersburgu (z filią we Władywostoku), były szef London Symphony Orchestra. Ma nosa do interesów – dzięki swoim zachodnim kontaktom nabył nieruchomości we Włoszech warte 150 mln dolarów. Jeśli chodzi o poglądy, Giergijew mógłby dorabiać jako rzecznik prasowy Kremla. Powszechnie wiadomo o jego serdecznej przyjaźni z Putinem, ale nikomu na Zachodzie to nie przeszkadzało. Po wybuchu wojny niemal natychmiast został wyrzucony z Filharmonii Monachijskiej, gdzie zajmował stanowisko głównego dyrygenta. Zignorował ultimatum burmistrza miasta Dietera Reitera, który żądał od niego odcięcia się od polityki Władimira

Putina. Wszechmocny Giergijew z utartym nosem z dnia na dzień – jako artysta – zapadł się pod ziemię.

Podobny los spotkał paru innych artystów, o których sympatiach wiadomo od dawna, lecz mimo to traktowano ich jak święte krowy. Słynna primadonna Anna Netrebko już w marcu została odcięta od możliwości występowania w nowojorskiej Metropolitan Opera House, na której wcześniej brylowała non stop. Szef MET Peter Gelb zapowiedział, że nie chce jej tam widzieć, „dopóki Putin będzie rządził na Kremlu”. Nie bez znaczenia może być fakt, że żoną Gelba jest dyrygentka Keri-Lynn Wilson, Ukrainka z pochodzenia. To mogłoby wyjaśniać jego nieustępliwość wobec Rosjanki – gdyby nie zastanawiający fakt, że nazwiska Wilson i Netrebko nadal figurują w obsadzie szykowanej na listopad tego roku produkcji „Toski” Pucciniego w Teatro Colón w Buenos Aires (informacja wciąż znajduje się na stronie tego teatru).

Kara dla Walerija Giergijewa i Anny Netrebko to była „pokazówka”, zresztą potrzebna i słusza. Problem leży jednak głębiej. Rosyjski biznes zastawił chytrą pułapkę na instytucje kultury w Europie i Stanach Zjednoczonych. Oligarchowie hojnie obsypywali je pieniędzmi. Finansowali nawet projekty nowojorskiej Museum of Modern Art (MoMA) i londyńskiego Tate Modern. Tej prestiżowej galerii sztuki współczesnej jeden z postkomunistycznych oligarchów, multimiliarder Leonard Blavatnik, zafundował rozbudowę przestrzeni

wystawowej – pięć lat temu oddano do użytku elegancki Blavatnik Building.

Niezależna prasa, m.in. „The Guardian”, „Nowaja Gazieta”, „New York Magazine”, pisała, że większość rosyjskich donacji na zachodnią kulturę, również na wyższe uczelnie, była formą prania brudnych pieniędzy przez powiązane ze światem przestępczym podstawione firmy. W ten proceder byli wpłatali wszyscy, również czołowe banki w Wielkiej Brytanii i Szwajcarii. Nie inaczej musiało być z muzyką poważną.

Jeszcze w marcu 2020 r. minister kultury Malty wezwał wszystkie podległe mu podmioty, aby zawiesiły wszelkiego rodzaju współpracę z fundacją o nazwie European Foundation for Support of Culture, na której czele stoi Konstantin Iszchanow, człowiek powiązany z rosyjskim przemysłem naftowo-gazowym. Fundacja ta miała w krótkim czasie zebrać 12 milionów euro z nieznanego źródła, była też podejrzewana o współpracę z rosyjskimi służbami specjalnymi. Fundacja wspierała Malta Philharmonic Orchestra, sponsoruje kilkadziesiąt festiwali muzycznych w Europie, m.in. Berliner Festwoche.

W kilka dni po ataku Rosji na Ukrainę sala koncertowa Brucknerhaus Linz zerwała współpracę z Siergiejem Rolduginem. To wybitny wiolonczelista, którego kariera rozkwitła jeszcze za sowieckich czasów. W Linzu załatwił sobie autorski cykl koncertów muzyki rosyjskiej, płacąc za to obficie Brucknerhausowi. Instytucja ta z dumą wprowadziła tę pozycję do swojego repertuaru. Sęk w tym, że Roldugin to bardzo mroczna postać. Kolejny bliski przyjaciel

Putina, jeszcze z czasów młodości, ojciec chrzestny jednej z córek prezydenta Rosji. Miliarder. W 2016 r. jego nazwisko pojawiło się w dziennikarskich tekstach śledczych opisujących aferę podatkową Panama Papers. Ujawniono w niej aktywa elit politycznych, prominentnych urzędników i ich współpracowników, którzy unikali podatków, wyprowadzając je do Panamy. Roldugin miał w ten sposób „zaoszczędzić” 2 miliardy dolarów. „Nowaja Gazieta” i zachodnie media opisały, w jaki sposób IMO, zarejestrowana w Panamie firma wiolonczelisty, pomagała innym rosyjskim przedsiębiorstwom powiązanym z Putinem prać brudne pieniądze i rozprowadzać je pomiędzy podstawione w tym celu biznesy słupek. Trudno powiedzieć, czy władze Brucknerhaus nie wiedziały o Panama Papers i podatkowych perturbacjach kumpla Putina. Pewno jest, że dopóki nie było wojny, nie widziały nic złego we współpracy z szemrarnym biznesmenem, a przy okazji znakomitym muzykiem.

Zupełnie inaczej wygląda casus dyrygenta Teodora Currentzisa, który i w tym roku wystąpił na Festiwalu w Salzburgu. To istniejąca od stu lat jedna z najważniejszych imprez muzycznych na świecie. Finansowe powiązania Salzburger Festspiele z rosyjskimi sponsorami pozwalają inaczej spojrzeć na godny lepszej sprawy upór, z jakim szef artystyczny Markus Hinterhäuser bronił rosyjsko-greckiego dyrygenta, gdy opinia publiczna domagała się usunięcia go z programu. Domagała się tego, ponieważ projekty Currentzisa od lat

finansowane są przez kremlowskie przybudówki. Sponsarami jego orkiestry i chóru o nazwie MusicAeterna z siedzibą w Permie są państwowy bank VTB (Wniesztorgbank) i Gazprom. Wspiera go także fundacja VAC oligarchy Leonida Michielsona. Bank VTB – kierowany przez byłego ministra finansów Rosji Antona Siljuanowa – po wybuchu wojny trafił na listę firm objętych międzynarodowymi sankcjami, Currentzis znalazł się więc na linii ostrzału mediów. W Niemczech, gdzie pracuje na stanowisku głównego dyrygenta radiowej orkiestry SWR w Stuttgarcie, żądano od niego potępienia wojny. Currentzis zdobył się tylko na mętne tłumaczenia w rodzaju „sztuka musi łączyć ludzi, nie eskalujemy konfliktu” i pozostał lojalny wobec swego głównego chlebodawcy – Władimira Putina. Posady w Stuttgarcie nie stracił, wybronił się też w Salzburgu.

Od lat stale tam występuje. Nie-wykluczone, że to właśnie on poznał przedstawicieli Gazpromu z szefami Salzburger Festspiele. W październiku 2019 r. Gazprom stał się oficjalnym sponsorem festiwalu, zastępując firmę Nestlé. Umowę sponsorską w imieniu Austriaków podpisała Helga Rabl-Stadler, prezeska zarządu fundacji Salzburger Festspiele, zarazem polityczka Austriackiej Partii Ludowej (ÖVP). To partia, z której wywodzi się były kanclerz Austrii Sebastian Kurz, sympatyzujący z Rosją populistą.

Dlaczego Festiwal w Salzburgu tak bardzo chciał wpaść w rosyjskie sieci? W odpowiedzi można zapytać, dlaczego nie, skoro kraje Unii Europejskiej – Niemcy, Francja, Holandia – też chętnie wiązały się biznesowo z rosyjskim reżimem. W przypadku byłej prezeski festiwalu Helgi Rabl-Stadler mogło też chodzić o sympatie prorosyjskie. Austriacka elita polityczna w ogóle lubi Moskwę i jej pieniądze. W 2019 r. ujawniono rozmowy polityków rządzącej wówczas Partii Wolności (FPÖ) z rzekomą bizneswoman związaną z rosyjskimi oligarchami. Z kolei była austriacka minister spraw zagranicznych Karin Kneissl jeszcze do niedawna zasiadała w radzie nadzorczej Rosnieftu. Ryba psuje się od głowy.

Niezależny niemiecki dziennikarz muzyczny Axel Brüggemann sugeruje, że szefowie wielu instytucji kultury mogli się czuć bezkarnie, gdy duże pieniądze same do nich szły. Pod lupą mediów są zwykle politycy, biznesmeni czy organizatorzy masowych imprez sportowych – w przypadku klasyki dziennikarze skupiają się na ocenie spraw artystycznych. „Klasyka zdaje się ucieleśniać piękno i dobro i być niezależna od polityki. Zakłada się, że ludzie, którzy się nią zajmują, nigdy nie naruszają zasad etyki. Putin wykorzystał tę niewinność i spowodował kryminalizację jej struktur. Wykorzystał to środowisko do szerzenia własnej propagandy i do korupcji” – pisze Brüggemann na swoim blogu „Crescendo”.

Ujawnił m.in., że Matthias Naiske, szef wiedeńskiego Konzerthausu, jest jednocześnie zatrudniony jest jako menedżer w fundacji Teodora Currentzisa MusicAeterna. Tam usilnie pracuje nad wybielaniem wizerunku skorumpowanego dyrygenta. Brüggemann z oburzeniem opublikował odpowiedź szefowej działu kultury wiedeńskiego ratusza, że nie interesują jej inne zatrudnienia dyrektora podlegającej jej placówki, tj. Konzerthausu.

Gdy Gazprom został sponsorem Festiwalu w Salzburgu, dziennikarzy oburzało coś innego – „The New York Times” pisał, jak niefortunnie jest brać pieniądze od potentata energetycznego odpowiedzialnego za skażenie środowiska

naturalnego. Nikt wówczas nie podnosił, że Rosja od pięciu lat prowadzi wojnę hybrydową przeciw Ukrainie i dokonała aneksji Krymu. Ani tego, że w Rosji okrzepło państwo autorytarne, Putin to dyktator, który tłamsi wolność słowa i swobody obywatelskie. Popierający go artyści, sympatyzujący z wizją imperialnej Rosji, byli serdecznie zapraszani do europejskich sal koncertowych – pianiści Denis Maculewicz czy Nikołaj Ługanski występowali również w Polsce. Jeśli wielu decydentów w instytucjach muzycznych na Zachodzie starało się bronić tych artystów, jak choćby ostatnio Austriak Christoph Lieben-Seutter, dyrektor naczelny (Intendant) Elbphilharmonie w Hamburgu, to w wielu przypadkach dlatego, że w ślad za nimi podążyły grube miliony.

W połowie marca intensywnie lansowany we Francji rosyjski pianista Boris Bierzowski wystąpił w państwowej rosyjskiej telewizji w talk-show „Wriemia pokażet”, gdzie dał popis szowinizmu. Gdy jeden z gości, wysoko postawiony wojskowy, tłumaczył, dlaczego armia rosyjska nie może zdobyć Kijowa z marszu, pianista powiedział: „A nie można tam po prostu wyłączyć prądu? Zaraz odechce im się walczyć”. I dodał: „Musimy wygrać tę wojnę i na tym zwycięstwie zbudować coś dobrego. A prawda w końcu dotrze do ludzi. Minie rok i prawda zwycięży”. Niemiecki wirtuoz Lars Vogt zareagował na Twitterze: „To koniec naszej przyjaźni”, podobnie inni muzycy z krytykowanego przez Rosjanina Zachodu. Bierzowskiego bronił René Martin, twórca festiwalu La Folle Journé w Nantes, deklarując, że zawsze będzie tam zapraszany. Może to kwestia osobistych przyjaźni, a może – jak zwykle – chodzi o pieniądze. Jednym ze sponsorów La Folle Journé jest francuska spółka Engie. Sęk w tym, że jest to spółdzielniawiec gazociągu Nord Stream 2, który w zamysle Putina miał uzależnić Europę od rosyjskich dostaw gazu ziemnego.

W maju pisaliśmy, że Nord Stream 2 sponzorował także projekt o nazwie Baltic Sea Philharmonic, młodzieżową orkiestrę, która często towarzyszyła rozmaitym spotkaniom polityków i biznesmenów z Niemiec i Rosji. W maju orkiestra wystąpiła w gdańskim Europejskim Centrum Solidarności, grając – o ironio – charytatywny koncert dla Ukrainy. Orkiestra poinformowała wtedy „Wyborczą”, że rozwiązała już umowę sponsorską z utworzonym przez Gazprom koncernem.

**Rosyjski biznes zastawił
chytą pułapkę
na instytucje kultury
w Europie i Stanach
Zjednoczonych.
Oligarchowie
finansowali nawet
projekty nowojorskiej
Museum of Modern Art
(MoMA) i londyńskiego
Tate Modern**

W przypadku festiwalu w Salzburgu rosyjskie sieci zostały zarzucone szeroko. Wprawdzie Gazprom nie finansuje już Salzburger Festspiele, ale do niedawna działali tam jeszcze inni, m.in. Solway Investment Group, firma zajmująca się

przemysłem wydobywczym. Angielska nazwa, siedziba w szwajcarskim mieście Zug, ale właściciel jak najbardziej rosyjski – postsowiecki oligarcha Aleksander Bronstein. Podobnie jak w przypadku Gazpromu umowę sponsorską z Solwayem podpisała Helga Rabl-Stadler, związana z Austriacką Partią Ludową. Międzynarodowa prasa, w tym „The New York Times”, skrytykowała tę decyzję, ale skupiła się na tym, że Solway jest firmą działającą nieetycznie, oskarżaną o rabunkowe wydobywanie niklu w Gwatemali i wyzysk pracowników. Z rozwiązaniem umowy czekano do ostatniej chwili – nastąpiło to dopiero 5 lipca tego roku, trzy tygodnie przed rozpoczęciem tegorocznego festiwalu. Inicjatorką była nowa prezeska festiwalu Kristina Hammer. „W Salzburgu koniec z brudnymi pieniędzmi” – skomentował dziennik „Süddeutsche Zeitung”.

Nie jest to wcale takie oczywiste, ponieważ nie odcięto wszystkich powiązań z oligarchami. Kontrwersje wzbudził otwierający festiwal 18 lipca spektakl zrealizowany przez głośnego reżysera Romea Castelluccio – dyptyk operowy „Zamek Sinobrodego” z muzyką Béli Bartóka i „De Temporum Fine Comoedia” z muzyką Carla Orffa. Nie tylko dlatego, że dyrygował Currentzis. Włoch Castellucci chętnie czerpie z rosyjskiej kasy – reżyserowany przez niego dyptyk wsparł finansowo postsowiecki oligarcha Leonid Michielson, multimiliarder ściśle powiązany z ekipą Putina. Źródła jego majątku są oczywiście mętne tak jak wszystkich bogaczy autoryzowanych przez dyktatora. Jest właścicielem firmy VAC z siedzibą w Moskwie i Wenecji, która również sponzorowała salzburski festiwal, a także weneckiej galerii GES-2. To właśnie ona w całości sfinansowała salzburski spektakl Castelluccio.

Ze sponsorami festiwalom i teatrom będzie trudno się rozstać, może łatwiej z prokremlowskimi artystami. Ale to zależy gdzie. Niedawno zaszła zmiana w obsadzie spektaklu „Borys Godunow” Modesta Musorgskiego, której listopadową premierę w Operze Tokijskiej przygotowuje reżyser Mariusz Trelński. W jej obsadzie znaleźli się śpiewacy z sowicie finansowanego przez Putina Teatru Maryjskiego w Petersburgu, którego dyrektorem od kilku dekad pozostaje dyrygent Walerij Giergijew. Tytułową partię miał śpiewać bas-baryton Jewgienij Nikitin, którego wiele lat temu Festiwal Wagnerowski w Bayreuth usunął z programu za swastykę wytatuowaną na piersi.

Inaczej to wygląda w Brukseli. Tam Peter de Caluwe, dyrektor opery La Monnaie/De Munt, nie skasował planowanego na lata 2022 i 2023 sezonu rosyjskiego na tej scenie. Odbędzie się więc premiera „Nosa” Dymitra Szostakowicza i „Damy pikowej” Piotra Czajkowskiego, z częściowo rosyjską obsadą. De Caluwe pozostał obojętny na argumenty, że nie wolno promować rosyjskiej kultury w momencie, gdy wojsko Putina bije bombami kasetyowymi w cywilów obcego kraju i uprawia ludobójstwo. Tłumaczył, że rosyjska kultura jest uniwersalna, sztuka powinna „budować mosty”.

Być może nie ma przy tym wszystkim znaczenia fakt, że wśród partnerów biznesowych subsydiujących brukselską operę jest wspomniana francuska spółka Engie, inwestor Nord Streamu 2. Być może takich sponsorów Bruksela ma więcej. Jak pisze dziennikarz Axel Brüggemann, „ba-jeczki o „budowaniu mostów” i „czynieniu dobra” to przykrywką dla kryminalnej działalności”. ●

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



Czarna Księga Edukacji

• Wkuwanie, ideologizacja i autocenzura. 10 grzechów polskiej szkoły

• Uczniowie z Ukrainy. Czy ministerstwo przygotowało szkoły na nową rzeczywistość?

• Łamigłóвка z planem lekcji. Jak szkoły próbują sobie poradzić z brakiem nauczycieli

**DODATEK
SPECJALNY**

FOT. OLEKSANDR RATUSHNIAK/AP



SZKODA.

ŻE NAS NIE ZAPYTALI

Nasza polska wrażliwość mogłaby pomóc odpowiednio rozłożyć akcenty w raporcie o ukraińskiej taktyce

Z ANNA BŁASZCZAK-BANASIAK*,
SZEFOWĄ POLSKIEGO ODDZIAŁU
AMNESTY INTERNATIONAL, ROZMAWIA
PAWEŁ SMOLEŃSKI

Amnesty International ogłosiła 4 sierpnia komunikat, co na wojnie podobno robią Ukraińcy. Zrobił się z tego międzynarodowy skandal – odejście wielu donatorów i pracowników, w tym szefowej AI w Ukrainie Oksany Pokalczuk i Pera Wastberga, współzałożyciela organizacji, który był w niej przez 60 lat. Prezydent Wołodymyr Zelenski uznał, że zrównuje ofiarę z agresorem, nie ma w was za grosz empatii i zrozumienia, na czym polega ta wojna.

– Dokumentujemy naruszenia praw człowieka podczas konfliktów zbrojnych na całym świecie. Dokładnie te same standardy stosujemy przy ocenie wojny w Ukrainie. Nie mamy żadnych wątpliwości, kto ponosi odpowiedzialność za tę wojnę. Wielokrotnie podkreślaliśmy, że rosyjska inwazja narusza Kartę Narodów Zjednoczonych i stanowi zbrodnię agresji. Nasi badacze spędzili tygodnie w Ukrainie, dokumentując rosyjskie zbrodnie wojenne.

Mamy jednak obowiązek informować o naruszeniach praw człowieka bez względu na to, kto się ich dopuścił.

W przypadku tej wojny – tak samo jak w przypadku wszystkich konfliktów zbrojnych na całym świecie – Amnesty koncentruje się na ochronie ludności cywilnej. Taki był cel wydanego komunikatu.

Czy w takiej formie, która zezłościła i obraziła wielu, a przede wszystkim Ukraińców? To dziwny sposób ochrony ich praw.

– Czasami mieć rację to za mało. W trakcie prac nad komunikatem popełniono poważne błędy w obszarze konsultacji i komunikacji, a także niedostatecznie przedstawiono kontekst i niewystarczająco zaakcentowano rosyjską odpowiedzialność za wojnę w Ukrainie. W konsekwencji spowodowaliśmy, że wiele osób, w tym przede wszystkim Ukraińcy, odniosło wrażenie, że umniejszamy i relatywizujemy rosyjską odpowiedzialność za tę wojnę. To nie było naszym celem.

Od momentu rozpoczęcia inwazji Rosji 24 lutego Amnesty dokumentuje eskalację naruszeń prawa humanitarnego i praw człowieka przez siły rosyjskie. Wydała kilkanaście stron raportów i komunikatów o rosyjskich zbrodniach wojennych i z tego powodu zamknięto nasze biuro w Moskwie. Teraz doszło kilka stron komunikatu o niepra-

widowościach po stronie ukraińskiej. Niektórzy nasi odbiorcy odnieśli więc wrażenie, że stawiamy znak równości między Rosją i Ukrainą.

To wynika z waszego komunikatu.

– Nie zgadzam się. W komunikacie dwukrotnie podkreślaliśmy, że opisane nieprawidłowości nie umniejszają rosyjskiej odpowiedzialności za zbrodnie wojenne. Ale zgadzam się z tymi krytykami, którzy twierdzą, że nie zadaliśmy wystarczająco o to, by ten tekst został odczytany zgodnie z naszymi intencjami.

Jakie są te ukraińskie naruszenia?

– Rosyjska odpowiedzialność za wywołanie wojny jest bezsporna. Jednak z punktu widzenia prawa międzynarodowego, kiedy wojna już się rozpocznie, wszystkie strony muszą przestrzegać określonych reguł, w tym unikać wykorzystywania obiektów cywilnych przez siły zbrojne. Atakującym nie wolno strzelać w obiekty cywilne, gdy nie są wykorzystywane do celów wojskowych. Rosja permanentnie łamie tę zasadę, co Amnesty wielokrotnie udokumentowała. Ale to nie zwalnia strony ukraińskiej z obowiązku przestrzegania prawa międzynarodowego. Wojsko może zatem korzystać z obiektów cywilnych tylko wtedy, gdy nie ma żadnych dostępnych alternatyw. W komunikacie opisaliśmy sytuacje, kiedy ta zasada nie była przestrzegana.

Wbrew zarzutom nie odnosimy tych wniosków do całej ukraińskiej strategii obrony. Jednak tytuł komunikatu mógł wprowadzić odbiorców w błąd.

Jest wyjątkowo nietrafiony i prowokujący: „Ukraińska taktyka wojskowa stanowi zagrożenie dla ludności cywilnej”.

– Tytuł jest nietrafiony, ale w treści komunikatu jesteśmy precyzyjni. Piszemy o 19 miejscowościach, które zbadaliśmy i w których udokumentowaliśmy naruszenia. AI dba o to, by nie generalizować pojedynczych przypadków.

Stwierdziliśmy np. wykorzystanie pięciu szpitali do celów wojskowych, co jest bezwarunkowo zabronione przez prawo międzynarodowe.

Co się działo w tych szpitalach?

– Były miejscem zakwaterowania żołnierzy – jedli tam, spali, mieli swoje magazyny. Ale mogły służyć także jako punkty odpierania rosyjskich ataków lub prowadzenia ostrzału. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego to nie powinno mieć miejsca.

Pisaliśmy o miejscowościach oddalonych od linii frontu, a nie np. o Mariupolu, gdzie walki toczyły się na ulicach o każdy dom. To oczywiste, że w takich sytuacjach nie ma wyboru. Ale opisane przez nas przypadki to nie frontowy Mariupol.

Prawo międzynarodowe dopuszcza, by w wyjątkowych sytuacjach armia korzystała z obiektów cywilnych. Ale wtedy ma obowiązek zadbać o ewakuację cywilów. Nawoływanie do ewakuacji nie jest wystarczające, bo niektórzy nie są w stanie wyjechać samodzielnie, a inni po prostu nie chcą, bagatelizując zagrożenie, nie mają możliwości zorganizowania ucieczki albo wołać umrzeć we własnym domu. Mimo to siły ukraińskie powinny były zadbać o ewakuację ludności cywilnej, jeśli zdecydowały się wykorzystywać obiekty cywilne do celów wojskowych.

Rozumiem, że wedle waszych badaczy Ukraińcy wchodzili do jakiegoś prowincjonalnego szpitala, nie zadbali o ewakuację chorych i dopiero gdy w lecznicy

znalazło się wojsko, Rosjanie zaczęli ostrzelać, bo wcześniej było bezpiecznie. Gdzie tak się stało?

– Nie. Siły ukraińskie nie zadbały o ewakuację cywilów, którzy wciąż zamieszkiwali w okolicznych budynkach i byli narażeni na ostrzał z nieprecyzyjnej broni. A szpitale i placówki edukacyjne są zazwyczaj zlokalizowane w gęsto zaludnionym terenie. Badania dotyczyły 19 miejscowości w obwodach donieckim, mikołajowskim i charkowskim.

Gdyby więc Ukraińcy nie zajęli szpitali, nic by się nie stało. Wedle takiego myślenia to Ukraińcy prowokowali Rosjan.

– Nie stawiamy takich zarzutów. Już samo zajęcie szpitala przez wojsko jest złamaniem prawa międzynarodowego. I rzeczywiście – zdarzało się i tak, że Rosjanie atakowali obiekt cywilny w odwecie za wcześniejsze działania Ukraińców. Takie relacje przedstawili nam zamieszkał w okolicach cywile.

Ale nie mamy wątpliwości, że w ogromnej większości przypadków Rosjanie intencjonalnie atakowali obiekty cywilne, nawet jeśli nie były wykorzystywane do celów wojskowych. Pisaliśmy o tym wielokrotnie we wcześniejszych komunikatach. To bez wątpienia zbrodnia wojenna.

Ale – prawda, że nie wprost – postawiliście zarzut, iż armia ukraińska używa żywych tarcz, którymi są ukraińscy cywile.

– Nie zgadzam się.

Tak to zabrzmiało w komunikacie.

– Użycie żywych tarcz zakłada intencjonalność działania, czyli siły ukraińskie musiałyby celowo zajmować obiekty cywilne, żeby zasłaniać się cywilami. Nie postawiliśmy takiego zarzutu i nie ma żadnych dowodów na takie działanie wojsk ukraińskich.

Minister edukacji Przemysław Czarnek i jego poplecznicy też powiadają, że w podręczniku do HiT nie chodzi o dzieci z in vitro, bo nigdzie nie pada sformułowanie „in vitro”. Lecz każdy przytomny człowiek wie, o co tam chodzi.

– Wolalabym unikać takich porównań.

Przepraszam, nie to miałem na myśli.

– Prawo międzynarodowe zakazuje wykorzystywania obiektów cywilnych do celów wojskowych, jeśli istnieje realna alternatywa, i bezwzględnie zakazuje wykorzystywania w tym celu szpitali. Chodzi o lokalizację tych placówek na terenie osiedli mieszkaniowych i narażanie cywilów zamieszkujących okoliczne budynki na ostrzał w wy-

niku ataku na pozycje zajmowane przez siły zbrojne. Udokumentowaliśmy obecność ukraińskich sił zbrojnych w szpitalach, mimo że istniała realna alternatywa dla innego rozmieszczenia żołnierzy. I o tym napisaliśmy w komunikacie.

W komunikacie wymieniasz się większą liczbą budynków szkolnych niż szpitali. Od 24 lutego szkoły w pobliżu frontu są kompletnie puste.

– To prawda. Jednak szkoły mieszczą się na terenie osiedli mieszkalnych, na gęsto zaludnionych terenach. Wojsko stacjonujące w szkole stanowi więc niebezpieczeństwo dla cywilów. Wokół tych szkół ciągle mieszkali cywile, których nie ewakuowano. Udokumentowaliśmy 22 takie przypadki. Przy ostrzale niektórych z nich ucierpieli cywile.

Jak armia ma bronić wioski lub miasteczka, gdy jej tam nie ma?

– Mówimy o miejscowościach oddalonych od linii frontu.

Czy mam rozumieć, że miejscowości, gdzie Ukraińcy naruszyli prawo międzynarodowe, nie były obiektem rosyjskich ataków?

– Nie. Rosjanie atakowali niektóre z tych miejscowości. Ale to nie była walka bezpośrednia.

W tej wojnie nie chodzi o walki na ulicach, potyczki o każdy dom, choć również. Można być kilkadziesiąt kilometrów od frontu i doświadczać ataków. Wystrzelone z Morza Czarnego rosyjskie rakiety uderzały w oddalony o setki kilometrów Lwów, a nawet Charków. Moskwa boi się, że Ukraińcy w końcu dostaną pociski dalekiego zasięgu.

– To prawda, ale w miejscowościach, które badaliśmy, istniała realna alternatywa dla wojsk ukraińskich, które nie musiały zajmować obiektów cywilnych oddalonych kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu.

Przecież odległość nie ma znaczenia. W tej wojnie 3 czy 33 km to niemal to samo.

– Tego samego argumentu możemy użyć w przypadku tych 19 miejscowości, które badaliśmy. Odległość nie jest tu kluczowa. Dlatego zgodnie z prawem międzynarodowym należy unikać zajmowania obiektów cywilnych zlokalizowanych przy osiedlach mieszkalnych, w których ciągle znajdują się ludzie.

Wszystkie te nieporozumienia staramy się wyjaśnić w odpowiedzi na zarzuty, że wspieramy rosyjską propagandę.

Wszyscy w Polsce empatyzujemy z Ukraińcami. Uchodźcy mieszkają w naszych domach. Pomagaliśmy ewakuować nasze koleżanki z biura w Kijowie i wiemy, co przeżywały. Jednak w swoich opiniach musimy pozostać bezstronni

Jak dostali tak smaczne ciastko, to je żrą. Tym razem nie muszą nawet za bardzo kłamać.

– AI wielokrotnie demaskowała rosyjską propagandę, nagłaśniając kolejne przypadki zbrodni wojennych na terytorium Ukrainy. Z tego powodu Rosja zamknęła nasze biuro w Moskwie i zmusiła nas do ewakuowania rosyjskich pracowników. Ewakuowaliśmy także tych pracowników biura w Kijowie, którzy mogli i chcieli opuścić Ukrainę. Podczas konfliktów zbrojnych na całym świecie różne strony wykorzystują ustalenia organizacji międzynarodowych w sposób wybiórczy lub całkowicie fałszywy do własnych celów.

Jednak w komunikacie z 4 sierpnia nie powiedzieliśmy o tej wojnie niczego, co nie zostało wcześniej powiedziane. O tych samych naruszeniach informowali już wysoki komisarz ONZ i Human Rights Watch. Żałuję, że nie udało się nam lepiej wyjaśnić naszych intencji.

Myśli pani, że ludzie wycofujący wsparcie dla AI robią to dlatego, że nie rozpoznali waszych intencji?

– Bardzo żałujemy każdej osoby, która z tego powodu odwróciła się od Amnesty. To rodzaj rezygnacji wiążącej się z utratą wiarygodności i zaufania, a to boli najbardziej. W Polsce straciliśmy około 100 osób, czyli mniej niż jeden procent wszystkich darczyńców, ale ten procent dużo waży. Mamy nadzieję, że uda się nam przekonać pozostałych, że nasza praca na terytorium Ukrainy pomoże osądzić winnych tej agresji i popelnionych tam zbrodni wojennych oraz lepiej chronić cywilów.

Zrezygnowała też szefowa Amnesty w Ukrainie.

– Mam ogromny podziw i szacunek dla pracy Oksany Pokalczuk, którą miałam okazję obserwować przez ostatnich kilka miesięcy. Kiedy opuściła Kijów, przez wiele dni próbowała przedostać się do Polski. Wymieniliśmy wtedy dziesiątki wiadomości. Widziałam, co przeżywa. Po wydanym komunikacie otrzymała liczne groźby śmierci i oskarżenia o zdradę. Jej decyzja o odejściu z orga-

nizacji to także kwestia bezpieczeństwa osobistego. Rozumiem i szanuję jej stanowisko.

Za naszą wschodnią granicą trwa wojna totalna, w zamierzeniu Moskwy Ukraińcy i Ukraina mają zniknąć. Nikt nie zarzuca AI złej woli, ale utknęliście w czasach przedwojennych, nie macie stosownych narzędzi, języka, by opisać ten konflikt. Błędzicie, bo nie do końca go rozumiecie.

– Nie podzielam tego poglądu. Na terytorium Ukrainy pracują nasi eksperci, których doświadczenie w badaniu zbrodni wojennych jest unikatowe. Być może ta wojna wymusi zmiany w myśleniu o konfliktach zbrojnych. Jednak jestem przekonana, że już teraz nasza praca może przyczynić się do lepszej ochrony cywilów, a to zawsze jest naszym priorytetem.

Smak miodu w wielkiej beczie psuje łyżeczka dziegciu.

– Wszyscy w Polsce empatyzujemy z Ukraińcami. Uchodźcy z Ukrainy mieszkają w naszych domach. Razem z zespołem AI Polska pomagaliśmy ewakuować nasze koleżanki z biura w Kijowie i wiemy, co przeżywały. Jednak w swoich opiniach musimy pozostać bezstronni.

W tej wojnie nie można być bezstronnym.

– Tu się różnimy. Organizacje międzynarodowe zajmujące się ochroną praw człowieka muszą pozostać bezstronne w trakcie konfliktu zbrojnego. Reprezentujemy w nich wyłącznie prawa człowieka.

Blagam... Stawiać broniącym się ludziom zarzut, że weszli do pustego budynku, który kiedyś był szkołą, to niepoważne i niemądre. To ten, kto do niej strzela, powinien trafić przed sąd, a nie ci, którzy w szkole szukali miejsca, by się przespać. Bandytą jest każdy, kto bombarduje cywilne osiedla.

– To prawda. Ale zanim sprawcy bombardowań trafią przed sąd, zginą cywile zamieszkujący sąsiadujące z tą szkołą bloki. Amnesty dokumentuje rosyjskie zbrodnie wojenne także po to, żeby umożliwić rozlicze-

nie tych sprawców. Ale w sytuacji niezgodnego z prawem wykorzystywania obiektów cywilnych mamy obowiązek zwrócić na to uwagę.

Czy autorka komunikatu, pani Donatella Rovera, ma doświadczenie wojskowe, by to ocenić?

– W grupie ekspertów Amnesty, którzy pracują na terytorium Ukrainy, znajdują się byli wojskowi. Każdy członek zespołu ma wieloletnie doświadczenie w dokumentowaniu zbrodni wojennych podczas konfliktów na całym świecie.

Czym się zajmowali ci byli wojskowi?

– Przykładowo analizą dowodów pozwalających ocenić, jakiego rodzaju broń została użyta w przypadku konkretnego ataku.

Czy byli wojskowi przyglądali się złe przeprowadzonej ewakuacji cywilów z wiosek i miasteczek? Oraz pustym budynkom zajmowanym przez armię?

– W zespole, który badał opisane przez nas przypadki, pracowali także byli wojskowi.

Gdy w warszawskim biurze AI przeczytano ten nieszczęsny komunikat, jakie były wasze uczucia, pierwsze reakcje?

– Żalowaliśmy, że nie włączono nas w pracę nad nim. Nasza polska wrażliwość mogłaby pomóc odpowiednio rozłożyć akcenty. Jednak wierzymy, że jako globalny ruch jesteśmy silniejsi, gdy mówimy jednym głosem. Dlatego zwróciliśmy się do Sekretariatu Międzynarodowego AI o zainicjowanie dogłębnego przeglądu procedur przygotowywania i publikacji podobnych komunikatów. Zależy nam, żeby głos krajowych sekcji był lepiej słyszalny. Tylko tak możemy skuteczniej chronić prawa człowieka. ●



***Anna Błaszczak-Banasiak**

• dyrektorka Amnesty International Polska. Jest prawniczką, adwokatką, aktywistką, specjalistką w ochronie praw człowieka. Pracowała w Parlamencie Europejskim, a wcześniej przez 14 lat w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich

**DZIENNIK ANDRZEJA ZARĘBSKIEGO
INTERNOWANEGO 13 GRUDNIA 1981.
W NIEWOLI SPĘDZIŁ 354 DNI.
ZAPISKI TE BYŁY WYNOŚZONE POZA WIĘZIENNE
MURY W POSTACI GRYPŚÓW.**

Czasy były podwójnie szybkie. Pogotowia strajkowe, nieustanne prowokacje władzy, puste półki w sklepach. Czulo się, że w najbliższym kierownictwie PZPR coś dojrzeje. I dojrzało. I teraz, po czterdziestu jeden latach, wracam do tamtego czasu za sprawą książki Andrzeja. Bez szoku i zaskoczenia – pisał wiersze, świetne teksty piosenek, nigdy nie był literackim ciurą, no ale tu – dzieło.

z wprowadzenia Pawła Huelle

JUŻ W SPRZEDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

PARTNER
 TOK FM
Pierwsze Radio Informacyjne

**Wydawnictwo
Agora**

POŻEGNANIE

Kościół dawno już stracił zdolność czytelnego pisanie oraz jasnego widzenia liter i symboli

Jarosław Mikołajewski

Tak, to prawda: kiedyś, na przełomie lat 70. i 80., zastanawiałem się, czy nie powinienem zostać kapłanem. Świadcami tamtej refleksji byli dzisiejszy biskup Michał Janocha, opiekun ministrantów przy parafii św. Aleksandra w Warszawie ks. Leon Firlej, a nawet śp. bp Władysław Miziołek. I kilkoro przyjaciół. Dziś, po więcej niż czterdziestu latach, mówię z ulgą: co za szczęście, że zamiast iść do seminarium, rozpocząłem wtedy dojrzałe życie człowieka, który popełnia błąd za błędem i wygłupia się, ale wyłącznie we własnym imieniu.

Kiedy redakcja poprosiła mnie o kolejny tekst o papieżu Franciszku, coś zawyło we mnie, że już nie chcę. I że w ogóle nie chcę już o Kościele, bez względu na to, czy miałbym pisać krytycznie, czy też – jak nazbyt często – poszukiwać w nim nadziei na nową inspirację dla siebie i innych.

Nie. Nie chcę. Ale czuję, że ten moment jest chwilą przelewającej się kropli, końca świata, a przy końcu świata chciałbym się jednak zatrzymać.

Po pierwsze – odmawiam własnej redakcji kolejnych wywiadów z watykanistami. Oczekiwanie, które doskonale rozumiem wobec pogłosek czy przecieków o rychłej abdykacji papieża czy o wypowiedziach i milczeniu wokół zbrodniczych działań Rosji i zamachu na Duginów. Uwierzyć mi: nikt nic nie wie. Duch Święty lata, kędy chce, a czasami ma katar i zostaje w domu albo skraca lot, żeby szybko zaszyć się w świętej pościeli. Spróbuję jednak nie wyłączać własnego rozumu, zgodnie z zasadą Leonarda Sciascii czy Piera Paola Pasoliniego, wedle której intelektualista czy artysta nie potrzebuje dowodów poza tymi, które dostarczają mu własna lektura świata i rozum.

Po pierwsze więc – istotnie, jeśli systemy znaków wciąż służą przekazywaniu nieoczywistych wiadomości, naprawdę szykuje się nowe konklawe. Czy może być przypadkowa zbieżność takich zdarzeń jak konsystorz, wskazanie nowych kardynałów elektorów, ukłon w stronę obu papieży, którzy abdykowali: Benedykta XVI w Watykanie i Celestyna V w L'Aquila?

Z jednej strony – nie może. Zwłaszcza kiedy nałożymy na to chorobę papieża i powszechną krytykę (uwaga: nie ze strony komentatorów, lecz ofiar przestępców). Lecz równie dobrze może być inaczej: Kościół dawno już stracił zdolność czytelnego pisanie i jasnego widzenia liter i symboli.

Na szczęście tę wciąż zachowali poeci. Kiedy Celestyn V abdykował, niejaki Dante Alighieri, rozpisując „Boską komedię”, wsadził go



FOT. RICCARDO DE LUCA/AP

do przedpiekła, gdzie tkwią ci, którzy nie chce Piekło ani Raj. Wolno sądzić, że jako kogoś, kto – mimo przestrzegania modelu osobistej świętości – zrezygnował z odpowiedzialności. Bo rezygnując, oddał władzę Bonifacemu VIII, którego autor „Boskiej” umieszcza już nie przed Piekłem, lecz w Piekło. I nadaje mu prorocze rysy wilczy, która parzy się, z kim popadnie.

Jeśli Konstandinos Kawafis poświęcił fragmentowi Daniego słynne „ten, co z tchórzostwa dokonał wielkiej odmowy” cudowny wiersz, gdzie zestawione są „wielkie tak” i „wielkie nie”, to dzisiejsze dylematy papieży nie należą ani do pierwszego, ani do

drugiego wymiaru. Najlepiej do ich rozumienia pobudza film Nanniego Morettiego „Habemus Papam”, ze wspaniałymi Michele Piccolim i Jerzym Stuhrem, gdzie papież abdykuje z powodu intymnego, ludzkiego załamania, depresji.

Tak, właśnie tak to widzę, skoro żaden watykanista ani rzecznik nie ma woli, umysłu i odwagi, żeby mi to wytłumaczyć:

– Benedykt abdykował, bo zorientował się, że nie zapanuje nad pedofilią i innym złem w Kościele, a także dlatego, że deklarowana odpowiedzialność za tzw. Lud Boży odciągała go od kontemplacji Boga w jego racjonalnym i sentymentalnym pięknie.

Franciszek – jeżeli zamierza ustąpić – to z przemęczenia i po-

czucia, że tak naprawdę nic nie jest w stanie zmienić, a na płaszczyźnie neoinspiracji Ewangelią przegrywa z szamańskim rządem dusz przewodników Kościołów ewangelickich i uczuciową niecierpliwością szybkiego nasycenia ze strony ich wyznawców.

Czy takie rozpoznanie jest sprawiedliwe? Nie wiem, lecz dopóki Kościół sam nie zacznie się tłumaczyć z dziwnych posunięć, nie zamierzam się tym przejmować. A raczej – nawet jeśli zacznie się tłumaczyć, to mnie, który kiedyś marzyłem o kapłaństwie i robiłem pogrzeby jaskółkom i motylom, już to w ogóle nie obchodzi. Straciście jedną duszę, Ludzie Biedni i Pogmatwani. I być może nie tylko tę jedną, która jest we mnie.

Wybitny poeta Krzysztof Karysek, przyjaciel, przez długie lata tłumaczył mi, niedowiarkowi, że każde splątanie ma swoje proste wytłumaczenie. Na przykład: kiedy ktoś cię nie lubi, to ci może zażdrości; kiedy ktoś cię obmawia, to prawdopodobnie nie przyjąłeś kiedyś jego wierszy do druku. Otóż wciąż nie chciałbym tak właśnie widzieć świata, ale znaczną jego część daje się tak wytłumaczyć. I przypuszczam: jeśli papież odchodzi (Celestyn, Benedykt, jeszcze nie Franciszek), to z osobistego dyskomfortu wywołanego daremnością, zmęczeniem, chorobą. Powtórzę: co za szczęście, że nie jestem kapłanem. Co za szczęście, że rezygnując albo czerpiąc ze świata, nie gorszę i nie rozczarowuję tych, którzy za mną widzą – uwaga! – oblubienicę Chrystusa. Świętą wspólnotę.

Wróćmy do Franciszka... Tak więc wracając do tego papieża, bardzo proszę, żeby mój polityczny ulubieniec, którego cenię także za człowieczeństwo, nie powtarzał już, że święty z Asyżu wstydi się za namiestnika Chrystusa o imieniu Franciszek. Nie, nie... Nie jest to zwykły papież, którego można skwitować retoryczną złośliwością. Powtórzę, co mówiłem już wielokrotnie: on jest inny, a zatem jest wielki. Przypomnijmy sobie solenność Benedykta, jego skłonność do chodzenia w rozrzedzonym powietrzu. Ten papież, Franciszek, miał odwagę wybrać sobie imię ponad wszystkie imiona służby. Kiedy 3 października 2013 r. utonęło i spaliło się 368 ludzi, posłał swojego jałmużnika z kartami telefonicznymi, żeby ci, którzy przeżyli, mogli zadzwonić do domu. Lecąc na Lampedusę z pierwszą wizytą papieską, upokorzył tromtadracką cywilizację chrześcijańskiego przedmurza, przeciwstawiając jej cywilizację latarni morskich. Zamieszkał poza pałacem. Powiedział, że ludzkie życie bywa jak pobyt w szpitalu polowym, gdzie trzeba leczyć ludzi i pytać, czego potrzebują, a nie szpikować pouczeniem i mową, która nie jest nawet trawą. Przywrócił do kościelnego obiegu pojęcie losu, za który nikt nie ponosi winy, tylko zmuszony jest dźwigać jego ciężar... To nazbyt dużo, żeby załatwiać tego papieża ponurym żartem.

Co do błędów Franciszka i głupstw, które opowiada – są one wynikiem porażki, jaką dobra wola i serce często ponoszą w starciu ze złym doradztwem. I kościelnym nawykiem nienazywania rzeczywistości na rzecz domyslnych symboliki niekonkretnych mowy. Nigdy więcej wojny! – krzyczą papieże. Tyle tylko że mówiono mi to na wet w PRL-u. Nie handlować bronią, nie zabijać człowieka... Wie-

działem to już w dzieciństwie, sam z siebie. Nie potrzeba mi do tego autorytetu – powtarzam – zastępcy Jezusa. Chodzi o to, że kiedy komuś ktoś chce zabić dziecko i odebrać dom, nie potrzebuje on prostych pouczeń. Potrzebuje, może, rozwikłać w sobie problem, o co zapytaliśmy z Adamem Michnikiem kardynała Zuppiego: jak ustrzec się nienawiści. Nie, czy bronić domu i rodziny. A jeśli bronić, to środkami, którymi zostaliśmy zagrożeni i zaatakowani. Kościół, pozostając tu na poziomie symbolicznym, okazuje się głosem nieprzydatnym, a nawet rażącym. Szkodliwym.

Kiedy moje córki chodziły we Włoszech do szkoły, kolega jednej z nich został zastrzelony na ulicy. Miał kilkanaście lat, był niewinny. 'Ndrangheta czy camorra nie mogła dorwać jego ojca, więc dorwała jego. Mówiło się wtedy, i mówiło się słusznie, że efektem działań przestępczych są śmierci niewinnych ludzi, w tym dzieci. Przypadek młodej Dugin nie był takim przypadkiem, lecz wyobrażam sobie, że któryś z doradców poinformował Franciszka, że zamor-

wzajemnego krycia pedofilskich i agenturalnych siatek? I odpowiadam: możliwe jest także to. I żaden watykanista niczego mi nie wykluczy.

Ten tekst, który piszę wbrew sobie, jest moim pożegnaniem z tematyką kościelną. Nie chcę już żegnać Benedykta XVI po jego śmierci, nie chcę podsumować pontyfikatu Franciszka. Nie chcę też pisać o Janie Pawle II, którego witałem w 1978 r. z sercem oszalałym z radości i nadziei, bo okazuje się, że wiem o nim tak niewiele. A co do jego pisarstwa, to widzę w jego autorze nie poetę, tylko księdza, niegotowego na nieprzewidywalną przygodę współczucia, miłosierdzia dla ludzi i wyobraźni. Nie interesuje mnie nawet (zwłaszcza że wiem – tym swoim zmysłem kogoś, kto rozumie bez dokumentów), kto do niego strzelał ani dlaczego umarł Jan Paweł I. Ani to, czy Kościół zachował się przyzwoicie wobec Zagłady.

Jeśli będzie konklawe, ktoś je wygra. Ktoś będzie nosił niepojęty tytuł zastępcy Chrystusa. Kto? Mówił mi kiedyś kardynał Gianfranco Ravasi, że w Kościele po okresie magisterium,

Franciszek – jeżeli zamierza ustąpić – to z przemęczenia i poczucia, że nic nie jest w stanie zmienić

dowano dziecko kremlowskiego ideologa, i papież zareagował po swojemu... Czy pamiętamy, że Benedykt XVI zdjął ekskomunikę z lefebrysty Richarda Williamsona, dostojnika, który zanegował Zagładę? Czy pamiętamy Benedykta XV, który podczas I wojny światowej powtarzał bez przerwy ogólnikowy protest przeciw „zbytecznej rzezi”? I że czerpał idee od niejakiego Rupolpha Gerlacha, swojego majordomusa, który został później skazany za szpiegostwo?

Zadam więc pytanie: czy nie jest możliwe, że za nieobecnością papieża w Kijowie stoi Putinowski agent – jeden z tych, których Rosja chętnie wysyłała na dwór papieski, upatrując w Watykanie skuteczne narzędzie w walce z „zachodnim imperializmem”? Poznałem trochę zaplecze watykańskiej dyplomacji i to stamtąd usłyszałem po 24 lutego, że „do wojny trzeba dwojga” i że papież nie może nie krytykować handlu bronią bez względu na to, w jakich się dokonuje warunkach... Pytam więc dalej: czy możliwe, że Franciszek chce albo musi skapitulować przed chorobą, zmęczeniem, poczuciem osłabienia intelektualnych możliwości, przed nieprzebranym złem

czyli nauczania, przychodzi czas ministerium, czyli służby. Tak właśnie było wahadło w ostatnim czasie, kiedy to po magistrze Benedykcie przyszedł minister Franciszek. Czy nowym magistrem, na którego pora, będzie właśnie Ravasi, teolog nad teologami? Czy kardynał Matteo Zuppi, teolog służby, który połączyłby w ten sposób oba wychylenia wahadła, nikt tego nie zgadnie.

Jeśli dojdzie do abdykacji, nie chcę wiedzieć, czy Franciszek odszedł z własnej woli. Będę o nim myślał jako o dobrym starcu, który wybrał sobie imię świętego z Asyżu, który napisał encyklikę o pięknie i kruchości stworzeń, który poszedł własną drogą kogoś, kto docenił ludzki, zawsze ciężki los. A jeśli go spotkam, usiądę przy nim na ziemi i pocałuję go nie w pierścion, lecz w rękę. Bo tak mi się podoba. I on mi podoba się taki, jaki jest. Choć już nie wie, co mówi, a nie wiedząc, co mówi, mówi rzeczy krzywdzące jak każdy, kto nie wie, co mówi.

Aż wróci Jezus, który z papieży wciąż mi się podoba najbardziej. A w nim to, że robi, co może, wbrew niemożności zrobienia czegokolwiek.

Amen. ●

Odklejony pierwszy po Bogu

Watykańscy dyplomaci rozumieją, kto jest agresorem, a kto ofiarą.

Z MASSIMO FAGGIOLIM, WATYKANISTĄ, HISTORYKIEM KOŚCIOŁA, WYKŁADOWCĄ NA VILLANOVA UNIVERSITY W FILADELFI, ROZMAWIA WE FLORENCJI BARTOSZ HLEBOWICZ

Napisał pan: „Papieska dyplomacja jest jednym z miejsc, w których Kościół still does its thinking – wciąż wykonuje robotę intelektualną. Na czym ona polega w przypadku wojny w Ukrainie?”

– Trzeba rozróżnić dwie rzeczy: służbę dyplomatyczną Stolicy Apostolskiej i przemysłenia Franciszka. Służba dyplomatyczna stara się, jak zawsze, wykonywać swoją pracę, ale nie jest niezależna od papieża. Franciszek bardzo ograniczył jej rolę, nie tylko w kwestii Ukrainy, lecz także np. zbliżających się wyborów we Włoszech.

No właśnie. Gdy przeczytałem kilka dni temu tytuł: „Kościół nie staje po żadnej ze stron”, pomyślałem od razu, że chodzi o Ukrainę, tymczasem artykuł dotyczył wyborów we Włoszech.

– Postawa Watykanu w obu kwestiach jest podobna. Jeśli chodzi o włoskie wybory, papież wyraźnie nie chce, aby hierarchowie opowiadali się za którąkolwiek z partii. Dyplomacja watykańska bywała bardzo skuteczna, ale teraz jest uwarunkowana przez papieża. Mówiąc wprost, ucisza innych, a gdy mówi o Ukrainie, improwizuje, popelnia gafy i jest nieprecyzyjny. Taki jest: woli zabierać głos sam, rozmawiać bezpośrednio z dziennikarzami, niż radzić się ekspertów i komunikować się poprzez watykańskie służby.

Nie ma doradców, którzy uchrońliby go od tych „gaf”, które czasem zakrawają na cynizm?

– Nie ufa ekspertom, zarówno w sprawie wojny, jak i w kwestiach teologicznych. Trudno zresztą powiedzieć, czy i kto mu doradza. Rolę Sekretariatu Stanu bardzo ograniczył, zwłaszcza w ostatnich miesiącach. A pogląd jego szefa kard. Pietra Parolina na wojnę w Ukrainie jest bardzo odmienny od papieskiego. Parolin kilka razy mówił o prawie Ukraińców do obrony.

Oficjalna doktryna Kościoła też mówi o prawie do uzasadnionej obrony, podtrzymał ją Sobór Watykański II. Czy Franciszek nie zdaje sobie z tego sprawy?

– Jego zdaniem ważniejsze od doktryny jest to, żeby nie wspierać Zachodu, który – jak sądzi – chce uczynić Ukrainę polem bitwy z Rosją. Franciszek nie postrzega USA jako centrum świata, jego myślenie cechuje XX-wieczny antyamerikanizm. Uważa USA za czynnik niestabilności – i miałby nawet rację, jeśli chodzi o przeszłość, tyle że dziś sytuacja jest inna, a on postanowił nie krytykować otwarcie za to samo, czyli imperializm, dzisiejszej Rosji ani Chin.

W niedzielę papież udał się do L'Aquili, miejsca urodzin

Celestyna V. Powiedział o tym XIII-wiecznym papieżu: „Był odważnym świadkiem Ewangelii, ponieważ nie pozwolił, aby uwięziła go i kontrolowała żadna logika władzy. Podziwiamy w nim Kościół wolny od logiki tego świata”. Wiele osób ma wątpliwości, czy sam Franciszek jest „wolny od logiki tego świata”. Trudno zrozumieć, dlaczego o Darrii Dugin, propagandystce, która wzywała do wojny w Ukrainie, mówi jako o jej „niewinnej ofierze”, albo gdy twierdzi, że wszyscy są winni tej wojny. Ani tego, że nie powołuje do konsystorza Światosława Szewczuka, abp. Kijowa.

– Papież mówi, że Kościół powinien być wolny od polityki, ale jest jasne, że każdego człowieka, także papieża, ona korci. W ogóle jego pojmowanie wojny zdradza ograniczenia, m.in. z teologicznego i ekumenicznego punktu widzenia. Nie potrafił znaleźć odpowiedniego języka, by o niej mówić, i nie interesuje go – czy też jej nie rozumie – prawdziwa przyczyna wojny, czyli rosyjski kolonializm.

Nastąpiło zupełne odwrócenie: Jan Paweł II nie rozumiał Ameryki Łacińskiej i potępiał Związek Radziecki, a teraz wywodzący się z Ameryki Łacińskiej papież nie rozumie Europy i chętniej krytykuje świat zachodni niż Rosję. Jesteśmy świadkami epokowej zmiany w Watykanie: Franciszek poświęca znacznie mniej uwagi Ukrainie i w ogóle tej części świata niż Paweł VI czy Jan Paweł II. Dziś chaos panuje na całym świecie, a Ukraina – z punktu widzenia Franciszka – jest tylko jednym z miejsc konfliktu.

Pokój, który głosi Franciszek, jest bardzo kosztowny i bolesny dla Ukraińców, którzy zamiast ogólnego potępienia wojny woleliby usłyszeć, że papież staje po stronie zaatakowanych.

– Nie dziwi mnie, że papież nie nazywa rzeczy po imieniu i nie błogosławi ukraińskiego oporu z bronią w rękę. Jest szefem dyplomacji i pragnie coś konkretnego osiągnąć. Ale dziwi, że w ogóle pomija punkt widzenia Ukrainy i Zachodu i mówi, że wszyscy jesteśmy winni.

Chodzi przecież nie o błogosławienie walki jako takiej, lecz przyznanie, że zaatakowany ma prawo się bronić wszelkimi dostępnymi środkami.

– Niektórzy hierarchowie – mam na myśli kard. Parolina i abp. Paula Gallaghera, sekretarza ds. stosunków z państwami [który przestrzegał przed propozycjami, aby ceną za pokój były ustępstwa terytorialne Ukrainy] – znaleźli właściwe słowa i zachowali zbalansowaną perspektywę. Papież tego nie potrafił. Chcąc być bezstronnym, dał sygnał „moralnej stronnicości” i stracił szacunek wielu katolików i niekatolików, którzy do lutego byli jego zwolennikami. Nie tylko w Ukrainie, również w innych krajach, np. w Niemczech czy Polsce.

A jak zareagowano w USA na słowa o „winie wszystkich” i czule słowa dla kremlowskiej propagandystki, a jednocześnie córki Duginy, słynnego wielkoruskiego ideologa?

– W Stanach ludzie oceniają papieża tylko pod kątem spraw, które dotyczą bezpośrednio Amerykanów, kwestii takich jak stosunek wobec społeczności LGBT i kwestii sprawiedliwości społecznej. Jego postawa wobec Ukrainy nie wpływa zupełnie na postawy tutejszych katolików.

Co innego amerykański wywiad – on zwraca uwagę na słowa i działania papieża w sprawie Ukrainy i jest bardzo krytyczny, podobnie jak w sprawie stosunku Watykanu do Chin.

Wydaje się wciąż niepojęte, że osoba wykształcona i zajmująca tak ważne stanowisko nie rozumie, kto zaczął wojnę, i opowiada dyrdymały o „szczekaniu NATO”.

– Franciszek faktycznie uważa, że NATO odegrało tu rolę. Zresztą wywodzi się z tej samej kultury politycznej co Włochy, gdzie silny antyamerykanizm istnieje od dawna. W Polsce to zjawisko jest o wiele słabsze. Papież jest ze świata, w którym kolonializm USA jest oczywistością. Sam ma wizję Ukrainy i tej części świata sprzed 50 lat, z czasów zimnej wojny. Nie zauważył, że sytuacja zupełnie się zmieniła, że mamy do czynienia nie ze starciem dwóch potęg światowych, lecz agresją hegemonu na słabszego sąsiada. On pozostał w XX wieku, nie dostrzegając wielu imperiaalistycznych działań Rosji w wieku XXI: w Gruzji, Mołdawii, na Bałkanach, ani tego, że dziś Kościół prawosławny staje jednoznacznie po stronie państwa agresora.

A zatem niezależnie od tego, jakich zbrodni dopuści się Putin, winni zawsze będą Amerykanie i NATO?

– Papież czuje, że może swobodnie krytykować Zachód, bo przecież nic mu nie grozi. Nie może sobie pozwalać na podobną otwartość, jeśli chodzi o Rosję czy Chinę. Zachód to wciąż wspólna rodzina, łatwiej krytykować swoich niż tego, kto nie mieszka w twoim domu. Jeśli chodzi o Rosję i Chinę, myśli o losie katolików w tych krajach – im faktycznie grożą szkany ze strony władz. Mimo wszystko to nie usprawiedliwia jego postawy.

Niektórzy spekulują, że chce zachować możliwość dialogu. Od dawna jest jednak jasne, że w wojnie w Ukrainie Watykan nie ma szansy odegrać roli mediatora.

– Papież próbuje zachować szansę na dialog z myślą o perspektywie 20 czy 50 lat, a nie najbliższych tygodni. Jasne, że chciałby móc przyspieszyć zakończenie wojny, ale prawdziwy cel to nie zerwać całkowicie relacji z Rosją, bo ich naprawianie zajęłoby kilkadziesiąt lat. Lecz nie sądzę, aby jakkolwiek zmiana mogła nastąpić, dopóki Rosją kierują Putin i Cyryl.

Rosyjska agencja TASS opublikowała informację, że papież wiośną odwiedzi Moskwę, a z niej uda się do Donbasu. Czy naprawdę posunąłby się aż do tego?

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się to mało prawdopodobne, dopóki trwają walki. No i oczywiście świat – poza Rosją – przyjąłby to bardzo źle. ●

NASZA EUROPA

Strach przed nową żelazną kurtyną

EXODUS
ROSYJSKICH ŻYDÓW

Izrael przeżywa obecnie największą falę rosyjskiej imigracji od czasu upadku Związku Radzieckiego. To, że to głównie wykształceni Żydzi opuszczają kraj, zaczyna mocno niepokoić Kreml.

Christine Kensché

WELT

przeszłości często myślała o emigracji, ale dotąd zawsze odrzucała ten pomysł. W końcu Moskwa była jej domem, a dwoje z trójki jej dzieci nadal uczęszczało do szkoły. Ale kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, dla Katii Gershenzon było jasne: „Musimy stąd wyjechać”.

W pierwszych dniach po inwazji 24 lutego krążyło wiele plotek – wspomina 46-letnia tłumaczka języka angielskiego i francuskiego. – Że będzie powszechna mobilizacja, że zamkną granice. Jej syn miał właśnie skończyć 18 lat i – mimo że nie ogłoszono powszechnej mobilizacji – groził mu pobór do wojska, na wojnę, przeciwko której demonstrowali.

„Wpadłam w panikę, że go zabiorą i już nigdy go nie zobaczę” – mówi Gershenzon. Wsadziła więc syna do najbliższego samolotu za granicę. Reszta rodziny wyjechała sześć tygodni później. Do Izraela, jedyne kraju Zachodu, do którego w tym czasie były jeszcze bezpośrednie loty. I który przyjął żydowską rodzinę bez większego biurokratycznego wysiłku.

Izrael przeżywa obecnie największą falę rosyjskiej imigracji od czasu upadku Związku Radzieckiego.

Władze kraju oficjalnie podają, że od początku wojny przyjęto ponad 21 tys. żydowskich imigrantów z Rosji. To ponad dwa razy więcej niż w całym ubiegłym roku. A to są dalece niepełne statystyki.

Władze izraelskie szacują, że dodatkowo kilkadziesiąt tysięcy Rosjan wjechało do kraju na wizach turystycznych, aby przecześć tu wojnę lub ubiegać się o pozwolenie na pobyt już na miejscu. Ponadto trzeba doliczyć około 30 tys. osób, które już przed wojną otrzymały paszporty izraelskie, a teraz przyspieszyły przenosiny – nawet jeśli wcześniej drugi paszport miał być jedynie ułatwieniem w podróżach.

Dodatkowo co najmniej 35 tys. osób, które nadal przebywają w Rosji, już złożyło wnioski o aliję, żydowską imigrację do Izraela. Zgodnie z miejscowym prawem każdy, kto ma przynajmniej jednego żydowskiego dziadka, ma prawo do izraelskiego obywatelstwa. Wy mógł ten spełnia około 600 tys. Rosjan. „Rosyjscy Żydzi uciekają wielką falą” – potwierdza Pinchas Goldschmidt, który przez trzy dekady był naczelnym rabinem Moskwy, a sam niedawno wyjechał do Izraela, ponieważ w kraju naciskano na niego, by publicznie wsparł rosyjską inwazję na Ukrainę.

Goldschmidt wymienia powody: sytuacja ekonomiczna pogarszająca się w wyni-



• Mały imigrant na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie, pasażer jednego z lotów zorganizowanych przez Agencję Żydowską
FOT. RONEN ZVULUN / REUTERS / FORUM

ku sankcji, rosnący antysemityzm i obawa, że Rosja w pełni przekształci się w izolowaną międzynarodowo, brutalną dyktaturę.

„Ludzie boją się, że żelazna kurtyna znów opadnie, odcinając ich od świata” – mówi rabin.

Najwyraźniej ten strach nie jest bezpodstawny: w ostatnich miesiącach w Rosji aresztowano wielu pracowników naukowych, w tym znaczną liczbę Żydów – relacjonuje Goldschmidt. Moskwa chce też rozwiązać moskiewską filię Agencji Żydowskiej, organizację prywatną, ale ściśle związaną z izraelskim rządem, która pomaga Żydom na całym świecie emigrować do Izraela.

Rosyjskie ministerstwo sprawiedliwości złożyło już wniosek o wydanie zakazu działalności, a w ubiegły piątek w moskiewskim sądzie odbyła się rozprawa w tej sprawie. Nic jeszcze nie zostało postanowione, ale obserwatorzy są pesymistami. Za tym postępowaniem stoją bowiem wyraźnie polityczne przesłanki.

Moskwa uznała Agencję Żydowską za „agenta zagranicy”, co jest procedurą stosowaną przez Rosję w celu pozbycia się niewygodnych przeciwników reżimu, a ostatnio coraz częściej zakazuje działalności organizacji międzynarodowych, w tym m.in. Deutsche Welle. Formalnie mówi się, że Agencja naruszyła przepisy o ochronie danych osobowych, zbierając informacje o obywatelach Rosji i przekazując je do Izraela.

W Izraelu podejrzewa się jednak inny motyw zakazu: drenaż umysłów, czyli emigrację dobrze wykształconych ludzi. Najwyraźniej nowa fala emigracji zaalarmowała rosyjskie władze. Agencja Żydowska jest oskarżana o szkodenie rosyjskiej gospodarce i nauce, ponieważ pomaga wykwalifikowanym kadrom przenosić się do Izraela. Historia się powtarza: już w czasach Związku Radzieckiego emigracja żydowska była mocno ograniczana, także z powodu obaw o drenaż wykwalifikowanych kadr.

Faktycznie w większości przypadków wyjeżdżający to osoby o ponadprzeciętnym wykształceniu, jak Katia Gershenzon, która sama pochodzi z rodziny akademickiej i której syn, obecnie 18-letni, szykował się do studiów za granicą. Jako jedyna odważyła się zdradzić nam swoje prawdziwe nazwisko. Kilku innych nowych emigrantów, z którymi rozmawialiśmy, obawia się, że ich wypowiedzi mogą zaszkodzić przyjaciołom i członkom rodziny, którzy nadal przebywają w Rosji. Ich nazwiska zostały zatem zmienione.

IZRAELSKA BRANŻA
HIGH-TECH NAPĘDZANA
EMIGRACJĄ Z ROŚJI

„Drenaż mózgów jest ogromny” – mówi Konstantin Smirnow, który studiował w Londynie i pracował w Moskwie jako nauczyciel angielskiego i asystent różnych fundacji. „Każdą znaną mi osobą, która pracowała w IT, już wyjechała z Rosji” – dodaje 24-latek.

To, że wyjeżdżają głównie wykształceni Rosjanie, ma oczywiście związek z tym, że mają oni odpowiednie możliwości finansowe i mówią po angielsku, co w Rosji nie jest powszechne – mówi Smirnow. On sam długo się wahał. Czuł się odpowiedzialny, chciał zrobić coś przeciwko wojnie. Mimo dużego zagrożenia aresztowaniem chodził na demonstracje. „Ale wtedy zdałem sobie sprawę, że nikt nie słucha głosów protestu. Bardzo wielu Rosjan po prostu opowiada się za tą wojną”.

Izrael, jak mówi, niekoniecznie był jego wymarzonym miejscem do życia, ale to jednak kraj, w którym jest duże wsparcie dla imigrantów o żydowskich korzeniach. Agencja Żydowska płaci na przykład za bilety lotnicze do Izraela, które są obecnie bardzo drogie. Na miejscu przybywom zapewnia

się pierwsze tymczasowe zakwaterowanie, wsparcie finansowe, kursy językowe.

Nie tylko z powodów politycznych Rosjanie opuszczają swój kraj. Także dlatego, że wiele zagranicznych firm zamknęło swoje interesy w Rosji. „Nie miałam wyboru, musiałam odejść, jeśli chciałam zachować pracę” – mówi Julia Swietłowa. Pracuje w dziale komunikacji międzynarodowej firmy z branży high-tech, a ponieważ miała już izraelski paszport, udało jej się zacząć w biurze tej korporacji w Tel Awiwie.

Okolo miliona Żydów, którzy wyemigrowali do Izraela po upadku Związku Radzieckiego w latach 90., przyczyniło się do boomu w sektorze high-tech. I właśnie ten sektor korzysta obecnie z nowej fali imigracji. Np. Konstantin Smirnow chce próbować kariery w dziedzinie edukacji cyfrowej.

JEROZOLIMA POTRZEBUJE
MOSKWY W SYRII

Jest jednak jeszcze jeden powód, dla którego Rosja chce właśnie teraz sparaliżować działalność Agencji Żydowskiej. Wniosek do sądu został złożony tuż po tym, gdy Jair Lapid został premierem Izraela.

W przeciwieństwie do swoich poprzedników Lapid znacznie bardziej krytycznie odniósł się do rosyjskiej wojny przeciwko Ukrainie. Działania w sprawie Agencji w Moskwie mają być odczytane w Jerozolimie jako strzał ostrzegawczy.

Dopóki postępowanie trwa, Moskwa ma dodatkowe narzędzie nacisku na Izrael. Rząd w Jerozolimie i tak chodzi po cienkiej linii, gdyż ze względów bezpieczeństwa jest uzależniony od dobrej woli Moskwy.

Rosja kontroluje przestrzeń powietrzną nad sąsiednią Syrią, gdzie Izrael regularnie przeprowadza ataki na pozycje irańskie zagrożające jego granicom. Dlatego Jerozolima udziela Ukrainie jedynie pomocy humanitarnej i w przeciwieństwie do swoich zachodnich sojuszników nie dostarcza jej broni.

Gdyby Moskwa rzeczywiście zamknęła Agencję Żydowską w Rosji, byłoby to „poważne wydarzenie, które będzie miało konsekwencje” dla stosunków rosyjsko-izraelskich – ostrzegł Lapid. Wysłał do Moskwy delegację wysokich rangą dyplomatów, którzy mieli podjąć się mediacji – ale nie przyniosło to rezultatów.

W Izraelu nie ma zbyt wielkiej nadziei, że uda się zatrzymać zakaz działania Agencji. Natan Szaranski, który w Związku Radzieckim spędził dziewięć lat w więzieniu jako dysydent, a później kierował Agencją Żydowską w Jerozolimie, wezwał na Facebooku wszystkich Żydów w Rosji do jak najszybszego przyjazdu do Izraela. „Nie powinni odkładać swoich planów na później” – przestrzegł. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

NASZA EUROPA

Helene Cooper i Eric Schmitt

Miliardy dolarów pomocy wojskowej, które Stany Zjednoczone wysłały Ukrainie, obejmują jedno z najbardziej zaawansowanych i śmiercionośnych systemów uzbrojenia na świecie. Jednak kolejne sukcesy, które Ukraińcy odnoszą podczas wojny z Rosjanami, wynikają głównie z pomysłowości, z jaką wykorzystują broń i inny sprzęt, którego zwykle jest za mało.

Od zatopienia w kwietniu „Moskwy”, rosyjskiego okrętu flagowego na Morzu Czarnym, po atak na rosyjską bazę lotniczą na Krymie w sierpniu – ukraińska armia używa zachodniej broni w sposób, którego niewielu się spodziewało, twierdzą eksperci i urzędnicy Departamentu Obrony.

Montując wyrzutnie pocisków na zwykłych ciężarówkach, siły ukraińskie szybciej przemieszczają je w zasięg rażenia. Umieszczając systemy rakietowe na łodziach motorowych, zwiększyły swoje możliwości prowadzenia wojny morskiej. Ku zdumieniu ekspertów Ukraina nadal niszczy rosyjskie cele za pomocą wolno poruszających się tureckich dronów Bayraktar oraz niedrogich, plastikowych samolotów zmodyfikowanych tak, by zrzuciły granaty i inną amunicję.

– Eksperci już używają metafory MacGyvera – mówi Frederick Hodges, były główny dowódca armii amerykańskiej w Europie, nawiązując do serialu telewizyjnego z lat 80., w którym tytułowy bohater używa prostych, improwizowanych wynalazków, aby wy dostać się z trudnych sytuacji.

Po sześciu miesiącach wojny liczba ofiar po obu stronach jest wysoka: chociaż urzędnicy amerykańscy szacują, że nawet 80 tys. rosyjskich żołnierzy zostało zabitych lub rannych, gorzej wyposażona armia ukraińska twierdzi, że traci od kilkudziesięciu do nawet 200 żołnierzy dziennie. Mimo to techniczna inwencja Ukraińców wyraźnie kontrastuje z powolnym, jednostajnym i doktrynalnym charakterem działań rosyjskich.

Na przykład podczas ataku na „Moskwę” Ukraińcy opracowali własny pocisk typu ziemia-woda o nazwie Neptun, który oparli na starym radzieckim modelu, ale ze znacznie ulepszonym zasięgiem i zaawansowaną elektroniką. Według jednego z wysokich rangą urzędników amerykańskich Ukraińcy zamontowali pociski Neptun na jednej lub kilku ciężarówkach i przetransportowali je na brzeg, gdy okręt znajdował się ok. 120 kilometrów od Odessy. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania: po raz pierwszy nowa ukraińska broń została użyta w prawdziwej wojnie i od razu zatopiła rosyjski okręt flagowy na Morzu Czarnym.

„W przypadku »Moskwy« ukraińscy MacGyverowie wykazali się wielką pomysłowością, umieszczając bardzo skuteczny system pocisków ziemia-woda na ciężarówkach, czyniąc go w ten sposób bardziej mobilnym” – uważa Hodges, który jest obecnie doradcą w Human Rights First.

Ukraińscy żołnierze tak dobrze radzą sobie z operowaniem dronami Bayraktar, że prezes ich tureckiego producenta, firmy Haluk Bayraktar, w niedawnym wywiadzie dla ukraińskiego programu informacyjnego pochwalił ich zdolność do „wyciśnięcia maksimum z tych systemów”. Amerykańscy wojskowi nadal zastanawiają się, dlaczego wielopoziomowe systemy obrony powietrznej Rosji nie były bardziej skuteczne w zatrzymywaniu dronów, które nie mają systemów samoobrony, są łatwo wykrywalne przez radar i poruszają się z prędkością zaledwie ok. 130 kilometrów na godzinę.

„The New York Times”:

Ukraińska armia MacGyverów

Pentagon jest zaskoczony inwencją ukraińskiej armii, która wykorzystuje amerykańską broń w sposób wysoce niestandardowy, konfigurując ją na bieżąco



Zdaniem analityków wojskowych techniczna inwencja Ukraińców wyraźnie kontrastuje z powolnym, jednostajnym i doktrynalnym charakterem działań rosyjskich

Wysoki rangą urzędnik Pentagonu twierdzi, że siły ukraińskie podczepiają dostarczone przez Amerykanów pociski antyradarowe HARM do zaprojektowanych przez Sowietów odrzutowców MiG-29 – co nie udało się dotąd żadnym siłom powietrznym. Pociski HARM, zaprojektowane do wyszukiwania i niszczenia rosyjskich radarów obrony powietrznej, z założenia nie są w ogóle kompatybilne z żadnymi myśliwcami radzieckiej produkcji.

Ukraińcy jednak zdołali przestawić czujniki celownicze, aby umożliwić pilotom wystrzeliwanie amerykańskiego pocisku z ich pochodzących z czasów sowieckich samolotów. „Właściwie udało im się to z powodzeniem całkowicie zintegrować” – powiedział dziennikarzom wysoki rangą amerykański urzędnik podczas briefingu w Pentagonie. Mówił pod warunkiem zachowania anonimowości, zgodnie z obowiązującymi w administracji prezydenta Bidena zasadami do-

tyczącymi ograniczonego informowania o sytuacji na froncie w Ukrainie.

Eksperci twierdzą, że te pociski mogą namierzyć rosyjskie systemy obrony powietrznej oddalone nawet o 150 kilometrów.

Ten spryt jest teraz widoczny na Krymie. W ostatnich tygodniach Ukraina w serii ataków obrała za cel półwysep nad Morzem Czarnym, który Rosja bezprawnie zaanektowała w 2014 r.

W ataku na rosyjską bazę lotniczą siły ukraińskie zniszczyły co najmniej osiem odrzutowców. Kilka dni później ukraińskie myśliwce działające za linią wroga uderzyły w kilka miejsc na okupowanym terytorium, które Rosja uważała za całkowicie bezpieczne (i gdzie wypoczywa latem wielu Rosjan), w tym w składy amunicji i linie zaopatrzeniowe.

Następnie przyszło uderzenie na wojskowe lotnisko pod Sewastopolem, największym miastem na Krymie i siedzibą rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Rosja twierdzi, że huk wybuchów to był odgłos udanego ostrzału przeciwlotniczego.

– Ukraińcy maksymalnie wykorzystują możliwości technologicznej adaptacji zachodniego sprzętu – mówi Dara Massicot, analityczka z Rand Corp.

Ta umiejętność jest wpisana w historię Ukrainy, która była sercem przemysłu obronnego byłego Związku Radzieckiego. Przez dziesięciolecia Ukraina była miejscem, gdzie opracowywano turbiny dla okrętów wojennych, silniki dla czołgów, a nawet samolotów, takich jak Antonow An-124, jedna z największych maszyn

transportowych na świecie, wykorzystywaną obecnie przez Rosję do przewozu broni do Ukrainy.

Amerykańscy dowódcy wojskowi, którzy pracowali z ukraińskimi żołnierzami, mówią, że Ukraińcy są zawsze gotowi do improwizacji.

Hodges podkreśla, że „zauważył na poziomie taktycznym, jak innowacyjni byli Ukraińcy”, już kiedy pracował z nimi w 2013 i 2014 r. Dodał, że dostosowanie dostarczanych przez Amerykanów pocisków HARM do współpracy z migami pokazało potencjał i poziom technologicznego know-how w ukraińskiej armii.

– Nie można po prostu podwiesić jakiegokolwiek rakiety pod jakimkolwiek samolotem – w grę wchodzi tu cała masa awionicznych niuansów i innych aspektów latania na najnowocześniejszych samolotach – mówi. – A oni to zrobili.

Ataki na Krymie podkreślają coraz bardziej agresywną taktykę wojskową Ukrainy, ponieważ rząd w Kijowie postawił na siły specjalne i lokalnych partyzantów, aby uderzać głęboko za linią frontu, zakłócić rosyjskie linie zaopatrzenia i zniwelować w ten sposób przewagę Rosji w broni i sprzęcie.

Urzędnicy Pentagonu twierdzą, że Stany Zjednoczone dostarczają szczegółowych danych wywiadowczych, aby pomóc wojskom ukraińskim w atakowaniu rosyjskich celów. Ale Ukraina przeprowadziła pierwsze z niedawnych uderzeń na Krymie – seria wybuchów na wojskowym lotnisku Saki 9 sierpnia – bez powiadamiania z wyprzedzeniem Amerykanów i innych zachodnich sojuszników, twierdzą nasze źródła.

Jeden z amerykańskich urzędników, poinformowany później o atakach, powiedział, że ukraińscy komandosi i partyzanci użyli w tych atakach improwizowanego zestawu taktycznego broni i materiałów wybuchowych.

– To wszystko jest w zasadzie domowej roboty – mówi urzędnik, zastrzegając sobie anonimowość ze względów operacyjnych.

– A my nie otrzymaliśmy żadnego wcześniejszego powiadomienia.

To pierwsze uderzenie na lotnisko zniszczyło większość sił powietrznych i zapasów amunicji 43. Pułku Lotnictwa Morskiego Floty Czarnomorskiej. Miało również wyrzucić psychologiczną presję na rosyjskie siły na Krymie, powiedział wspomniany wcześniej amerykański urzędnik, nazywając to „efektem Doolittle’a”, nawiązując do amerykańskiego ataku na Japonię w czasie II wojny światowej.

Nalot bombowy dowodzony przez ppłk. Jamesa Doolittle’a miał miejsce w kwietniu 1942 r. i spowodował jedynie niewielkie zniszczenia celów wojskowych i przemysłowych. Ale dodał otuchy Amerykanom po serii porażek na Pacyfiku, poczynawszy od ataku na Pearl Harbor 7 grudnia 1941 r. Zadał też kłam tezie, że Japonia jest nie do pokonania z powietrza, jak twierdził rząd w Tokio.

W poście na Telegramie po uderzeniu na Saki Andrij Caplienکو, ukraiński dziennikarz wojskowy, napisał, że uszkodzenia sugerują, iż w ataku użyto montowanej na ciężarówce ciężkiej wyrzutni rakietowej Grim lub Sapsan. System ten został opracowany przez Jużmasz, państwowego ukraińskiego producenta sprzętu lotniczego. Kreml wykluczył jednak możliwość, że ukraiński system rakiet balistycznych miał z tym cokolwiek wspólnego.

– Działania na Półwyspie Krymskim oznaczają nową fazę w tej wojnie. Ukraińcy przechodzą do szarpanej ofensywy mającej na celu wypchnięcie Rosji z obszaru, co do którego byli pewni, że jest bezpieczny – mówi Mick Mulroy, były urzędnik Pentagonu i oficer CIA. ●

tłum. Tomasz Krzyżanowski

Tytuł od redakcji. Artykuł ukazał się pierwotnie w „The New York Times”.

© 2021 The New York Times Company

UTAJNIIONA OLIMPIADA

FOT. AP

Dopiero w tym roku władze Bawarii zadeklarowały odtajnienie kolejnych akt w sprawie zamachu terrorystycznego w Monachium.

Daniel Lis

Dla władz Republiki Federalnej Niemiec igrzyska 1972 roku miały być świętem przyjaźni i pokoju. Służby mundurowe miały nie rzucać się w oczy, do ochrony wioski olimpijskiej zamiast policjantów skierowano strażników w błękitnych mundurach uzbrojonych w walkie-talkie. Ale przed igrzyskami na zlecenie policji psycholog Georg Sieber przygotował listę 26 sytuacji, na które zachodni Niemcy służyby powinny się przygotować. Jeden ze scenariuszy mówił o grupie uzbrojonych Palestyńczyków, którzy przeskakują ogrodzenie wioski olimpijskiej, włamują się do kwater Izraelczyków, zabijają jednego lub dwóch, żądają wypuszczenia więźniów w Izraelu i samolotu, by uciec do jednej z arabskich stolic. Jeśli ich żądanie nie zostanie spełnione – przewidywał Sieber – zamienią igrzyska w polityczną demonstrację albo będą gotowi umrzeć.

Sieberta poproszono o przygotowanie mniej przerażających scenariuszy, ale 5 września o czwartej nad ranem ten zaczął się sprawdzać punkt po punkcie.

„TO NIE MOŻE SIĘ WYDARZYĆ”

Rząd w Izraelu szybko oznajmił, że nie zamierza negocjować z terrorystami, a Niemcy urzędniczo próbowali przez kilkanaście godzin. Wśród negocjatorów znaleźli się szef monachijskiej policji, członkowie komitetu organizacyjnego igrzysk, rządów Bawarii i federalnego. Nie udało im się namówić zamachowców do kapitulacji, przekupić czy przekonać, by zamiast Izraelczyków wzięli w niewolę ich samych. Przesuwali czas spełnienia ultimatum, po którym terroryści mieli zabić następnych zakładników. Minister spraw wewnętrznych RFN Hans-Dietrich Genscher tłumaczył przywódcy Palestyńczyków: – To nie może się wydarzyć w Niemczech. Wiesz, co stało się z Żydami w Trzeciej Rzeszy.

Akcję odbicia zakładników przez policjantów przebranych za sportowców odwołano. Okazało się, że relację z przygotowań do szturmu oglądali też terroryści – telewizor stał w każdym pokoju w wiosce.

– Cały dzień siedzieliśmy przed telewizorem – opowiadała mi Szoszana Springer. Czekala na wiadomości w domu pod Tel Awiwem z córką i synem. Dziennikarze przekazali jej, że wśród dwóch zabitych nad ranem nie było jej męża Jaakowa Springera.

Jaakow urodził się w czerwcu 1921 roku w Kaliszu i nazywał się Jakub Szpringer. Jako nastolatek był dobrze zapowiadającym się bokserem, po wojnie został nauczycielem wychowania fizycznego w domu dla sierot żydowskich w Pieszcach na Dolnym Śląsku. W latach pięćdziesiątych był ważnym działaczem Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. W Melbourne jesienią 1956 roku jako pierwszy Polak otrzymał nominację olimpijską dla sędziego podnoszenia ciężarów. W Polsce w tym czasie trwała już antysemicka nagonka. W marcu następnego roku z żoną i dziećmi wyjechał do Izraela, podobnie jak około 50 tys. polskich Żydów.



Gdy zaczął się atak w Monachium, 51-latek zablokował łóżkiem drzwi do pokoju, dzięki czemu jego współlokator, trener sztangistów Tuvia Sokolsky, zdołał uciec przez drzwi balkonowe.

„JEŚLI ŻYJE, MUSI ZADZWONIĆ”

Późnym wieczorem terroryści i zakładnicy zostali przewiezieni helikopterami na pobliskie lotnisko wojskowe Fürstenfeldbruck, skąd – jak ich przekonywano – mieli ruszyć boeingiem do Kairu. Niemcy szykowali tam akcję ratunkową. Jednak niedoświadczeni policjanci przebrani za pracowników Lufthansy jednomyślnie uznali, że to misja samobójcza i opuścili stanowiska, nim pierwszy helikopter wyładował. Ściągnięci na lotnisko snajperzy nie znali wzajemnie swojego dokładnego położenia, nie mieli kontaktu radiowego, hełmów ani kamizelek kuloodpornych, nie poinformowano ich, że zamachowców jest ośmiu, a nie pięciu. Lotnisko nie było dobrze oświetlone. Jeden ze strzelców i pilot helikoptera zostali postrzeleni przez swoich kolegów.

Około 23.30 Reuters doniósł o uwolnieniu wszystkich zakładników. Wiadomość potwierdził w amerykańskiej telewizji rzecznik rządu RFN Conrad Ahlers. Do mieszkania Springerów w Bat Jam przyszli sąsiedzi z szampanem. Szoszana Springer prosiła, by butelki nie otwierać. Mówiła im: – Jeśli mąż żyje, musi do mnie zadzwonić.

Po trzeciej w nocy czasu monachijskiego okazało się, że to kolejna pomyłka. Zginęło pięciu terrorystów, niemiecki policjant i wszyscy zakładnicy.

Szoszana wspominała: – Człowiek jedzie na igrzyska i wraca w trumnie. Nie mogłam się otrząsnąć, nie mogłam funkcjonować.

TUSZOWANIE

Podczas uroczystości żałobnej na stadionie olimpijskim 6 września, prezydent MKOl Avery Brundage wygłosił przemówienie, z którego cały świat zapamiętał jedno zdanie: „Igrzyska muszą trwać”, a wbrew protestom urzędników do apartamentu, gdzie przetrzymywani byli zakładnicy, weszła Ankie Spitzer – żona Andre, trenera szermierzy. Obiecała sobie, że nie spocznie, póki się nie dowie, co tam zaszło.

Jednak już 7 września, na specjalnym posiedzeniu rządu RFN, zapadła decyzja, by w sprawie zamachu w oficjalnych przekazach unikać samokrytyki i wzajemnych oskarżeń między władzami Bawarii i federalnymi. By pomniejszyć skalę własnych błędów, Niemcy urzędnicy mieli na wyrost podkreślać profesjonalne przygotowanie Palestyńczyków.

Z raportu monachijskiej policji wynikało, że zrobiono wszystko, co było możliwe, by pomóc uwięzionym, i „nie popełniono żadnych błędów”. To raczej Izrael skazał zakładników na śmierć, odmawiając negocjacji z terrorystami. Nie ujawniono informacji, że ostrzeżenia przed możliwym zamachem pojawiały się już w sierpniu. Ani politycy, ani policja nie przeprosiły za klęskę operacji na lotnisku. Nie wiadomo, kto ponosił za nią odpowiedzialność, nie powołano niezależnej komisji. Część akt utajniono do 2047 roku. Rodzinom, które zabiegały o wgląd do policyjnych raportów, zachodni Niemcy władze wciąż odpowiadały, że żadna dokumentacja nie istnieje.

– Pochodzę z Holandii i znam niemiecką mentalność – mówiła później Ankie Spitzer w filmie „Munich '72 and Beyond”. – Wszystko jest dokumentowane.

Trzech schwytanych zamachowców wypuszczono kilka tygodni po zamachu w zamian za uwolnienie pasażerów porwanego samolotu Lufthansy. Do dziś powtarzają się oskarżenia, że operacja była ustawiona przez niemieckie władze, które pozbyły się w ten sposób kłopotu.

TWARŻĄ DO PODŁOGI

W 1992 roku o swojej walce o dostęp do akt Ankie Spitzer opowiedziała w niemieckiej telewizji. Po programie zgłosił się do niej anonimowy urzędnik z plikiem osiemnastu stron dokumentów – dowodem na istnienie archiwum, którego władze zjednoczonych Niemiec nie mogły zignorować. W sierpniu tego roku prawnik rodzin dostał wgląd do tysięcy stron dokumentacji i około dziesięciu zdjęć sądowych. W jego obecności fotografie oglądały też Ankie Spitzer i Ilana Romano, wdowa po sztangiście Yossefie. Obiecały sobie, że nigdy publicznie nie będą o nich rozmawiać. Powiedziały część prawdy. Wiadomo było, że zakładnicy większość dnia spędzili w pokoju na piętrze przywiązani do łóżek i krzesła. Przy wejściu w kałuży krwi twarzą do podłogi leżało ciało zastrzelonego nad ranem Yossefa Romano, obok wały się ubrania, pościel, śmieci, resztki jedzenia i odchody, bo zakładnicy nie mogli korzystać z toalety.

Jednak co kilka lat nieznane wcześniej dokumenty rzucają nowe światło na te wydarzenia. W grudniu 2015 roku „The New York Times” poinformował, że powstaje nowy film dokumentalny. Redakcja dziennika dostała zdjęcia do wglądu, ale ze względu na ich drastyczność zdecydowała się ich nie publikować. Gazeta podała, że Romano nie umarł od razu, lecz wykrwawiał się na oczach kolegów, że został wykastrowany – nie wiadomo, czy za życia – oraz że pozostali zakładnicy byli bici, niektórzy mieli

połamane kości. Kilka dni później te doniesienia podał w wątpliwość tygodnik „Spiegel”. Niemieccy dziennikarze powoływali się na wypowiedzi lekarza przeprowadzającego autopsję oraz ministra Genschera, dotarli też do kopii sekcji zwłok. Wynikało z nich, że ciało sztangisty raniło siedem kul, również uszkodzając genitalia, ale nie doszło do celowej kastracji. Rany pozostałych zakładników – wedle słów koronera – również można tłumaczyć tym, co zaszło tego dnia. Ankie Spitzer i Ilana Romano nie uwierzyły w rzetelność sekcji i raportów. Przez ponad czterdzieści lat niemieckie władze wielokrotnie nadużyły ich zaufania. Domagały się dostępu do wszystkich dokumentów. Dopiero w tym roku władze Bawarii zadeklarowały odtajnienie kolejnych akt.

Równie długo o upamiętnienie bliskich rodziny walczyły w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim. W Montrealu w 1976 roku odmówiono im, by nie narażać się na krytykę państw arabskich. Podczas igrzysk w Atenach w 2004 roku argumentowano, że jest za wcześnie. W Londynie w 2012 roku – że to zbyt smutne wydarzenie, by przypominać o nim podczas uroczystości otwarcia. Pierwszą oficjalną uroczystość przeprowadzono w 2016 roku na igrzyskach w Rio de Janeiro. Podczas uroczystości otwarcia pamięć ofiar uczczono dopiero w Tokio w zeszłym roku, łącznie z ofiarami pandemii COVID-19.

Od 2017 roku o zamachu przypomina nowoczesny pomnik przy wiosce olimpijskiej. Są tu krótkie biogramy Izraelczyków i niemieckiego policjanta, po dwa, trzy zdjęcia i ilustracja jednego przedmiotu, który został po każdym z nich. Po Jakubie Szpringerze/Jaakowie Springerze jest izraelski paszport i zdjęcie z obozu sportowego w Pieszcach.

Szoszana Springer zapewniała mnie, że nie byłoby żadnego upamiętnienia, gdyby nie upór rodzin. ●

Daniel Lis, **„Stulecie przeszkód. Polacy na igrzyskach”**. Wydawnictwo Agora. Książka dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie ebooka na Publio.pl.



Nagroda im. Witolda Gombrowicza

TRUDNE MIŁOŚCI

Pięć opowieści stawiających pytania fundamentalne. Jedna wygra

Michał Nogaś

Ochoroba, śmierć, eutanazja, uzależnienie, rozpad rodziny, pamięć i jej brak, Zagłada i trudne relacje polsko-żydowskie, przesiedlenia, nieobecność w świadomości zbiorowej, nieprzepracowane traumy, które zatrują życie kolejnych pokoleń. Po te nietatwe, niewygodne, ważne tematy sięgnęli autorki i autorzy książek, które trafiły do finału tegorocznej edycji Nagrody im. Witolda Gombrowicza. Poruszają, zmuszając jednocześnie czytelnika do zadania sobie pytań fundamentalnych.

Nagroda przyznawana jest od 2016 roku w Radomiu. Dlaczego właśnie w tym mieście? Bo to w leżącej nieopodal Wsoli znajduje się Muzeum Witolda Gombrowicza (oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie), a jego siedzibą jest pochodzący z XIX wieku pałacyk, który od 1924 roku należał do rodziny pisarza (budynek wniosła w posagu bratowa Witolda, Aleksandra).

Wyróżnienie za debiut (rozumiany jako pierwsza albo druga książka autora napisana prozą artystyczną w języku polskim) ustanowiła Rada Miejska w Radomiu, decydując jednocześnie o wysokości wyróżnienia – 40 tysięcy złotych. Od ubiegłego roku przyznawana jest także nagroda dodatkowa, jury decyduje, która z nominowanych osób uda się na miesięczną rezydencję literacką do Vence na południu Francji, miasteczka, w którym Gombrowicz spędził ostatnie lata.

Choć wciąż stosunkowo młoda, nagroda dostrzegła autorki i autorów, którzy wkrótce zdobyli uznanie szerokiego grona czytelników, a także inne wyróżnienia literackie, by wspomnieć Marcina Wiche (za „Rzecz, których nie wyrzucilem” otrzymał Nagrodę Literacką „Nike” w 2018 roku), Olgę Hund czy Annę Cieplak (obie otrzymały także Nagrodę Conrada), a z listy finalistów choćby Dorotę Kotas (Nagroda Literacka „Gdynia”), Natalię Fiedorczuk-Cieślak (Paszport „Polityki”) i Aleksandrę Lipczak (Nagroda Conrada).

Tegoroczna finałowa piątka Nagrody im. Gombrowicza zdaje się trafnie odzwierciedlać tematy silnie obecne w ostatnich latach w prozie debiutantek i debiutantów. Na pierwszy plan wysuwają się dwa: wciąż nieprzepracowane – w mniejszych lub większych wspólnotach – traumy oraz skomplikowane rodzinne relacje, ich zanik lub nagle przerwanie w wyniku choroby, uzależnień, śmierci kogoś bliskiego.



Mateusz Pakuła



„Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”
Wydawnictwo Nisza

PROŚBA NIEMOŻLIWA DO SPEŁNIENIA

Ten ostatni temat pojawia się w prozatorskim debiucie dramatopisarza Mateusza Pakuły. „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję” to przejmujący, intymny dziennik syna, który zapisuje ostatnie tygodnie życia najbliższego człowieka, jego zmaganie się z chorobą, ale także polskim systemem ochrony zdrowia.

Autor, przełamując liczne społeczne tabu i pisząc wprost o nadmiernej roli oraz miejscu Kościoła katolickiego w codziennym życiu Polaków, opowiada o rodzinnych rozmowach, niezwykle intymnej relacji z odchodzącym ojcem, o odwróceniu ról – gdy to on staje się opiekunem tego, kto dał mu życie. Aż w końcu staje przed najważniejszym dylematem – jak zareagować na prośbę o pomoc w skróceniu mąk, jak doprowadzić do zakazanej w polskim prawie eutanazji? Czy może jakkolwiek skrócić cierpienie?

Książka Pakuły, bezkompromisowa i odważna, to opowieść o miłości i niemocy, osobista historia, która była, jest lub będzie doświadczeniem większości z nas.



Barbara Woźniak



„Niejedno”
Wydawnictwo Drzazgi

OJCIEC BEZ JĘZYKA

Cchoroba ojca, jego powolne odchodzenie, a także – co bardzo istotne – proces utraty pamięci to tematy, po które w powieści „Niejedno” się-

ga Barbara Woźniak, naukowiec i gerontolożka społeczna.

Pisarka opowiada historię Szymona Kowalskiego, akademickiego wykładowcy specjalizującego się w kwestiach etyki lekarskiej i zmuszonego przez rodzinną sytuację do przeprowadzki – w Tarnowie musi podjąć się opieki nad chorującym na alzheimera rodzicem, który „nie rozpozna się już nigdy” w lustrze.

Woźniak prowadzi w swej powieści interesującą grę z odbiorcą, sporo tu odwołań do książek, po które bohater, pracujący nad zajęciami poświęconymi historii i „osiągnięciom” medycyny czasów III Rzeszy, sięga po powrocie do rodzinnego domu. Są tu odniesienia do Foucaulta, Sontag, Le-ma, Coetzee, Krall oraz „Higienistów. Z dziejów eugeniki” Macieja Zaremby Bielawskiego, a w tle śpiewają Cohen i Świetlicki. Najważniejsza jest jednak opowieść o relacji między synem a ojcem, który wciąż jest, ale od dawna nie ma z nim kontaktu – utracił świadomość i język.



Aleksandra Zbroja



„Mireczek. Patoopowieść o moim ojcu”
Wydawnictwo Agora

BÓL I TĘSKNOTA

W„Mireczku” reporterka i pisarka Aleksandra Zbroja opowiada o swoim dzieciństwie i dojrzewaniu w cieniu pijących rodziców, wiecz-nie nieobecnego, przypominającego o sobie jedynie chwilami (i w najgorszym stylu) ojcu, który – zapewne dręczony wyrzutami sumienia – starał się nawiązać jakąkolwiek relację z córką, w rzeczywistości jednak stawał się osobą coraz bardziej przemocową.

W eseistycznym tekście autorka stara się – mimo wszystko – zrozumieć Mireczka, wdrzeć do świata jego znajomych i odnaleźć ścieżki, którymi chadzał, gdy zniknął. Pokazuje też system patologicznych zależności, przed którymi nie byli się w stanie uchronić członkowie jej własnej rodziny. Dla picia, obecności wódki w domu – przy każdej możliwej okazji – i regularnego upijania się zawsze znalazło się usprawiedliwienie, alkohol „załatwiał” wszystkie trudne sprawy, odsuwał troski na dalszy plan, pozwalał zapisać traumy i choć na chwilę zapomnieć o ponurej rzeczywistości.

Książka Zbroi to – podobnie jak w przypadku Pakuły – niezwykle odważna i udana próba rozliczenia się z tym, co w relacjach z bliskimi uwiera i boli najbardziej, rzecz o tęsknocie i braku szansy na odwrócenie zdarzeń, które przypominały podróż przez jeden z kręgów piekielnych. I których nie da się zapomnieć.



Rafał Hetman



„Izbica, Izbica”
Wydawnictwo Czarne

MOC (NIE)PAMIĘCI

Milczeniu kilku pokoleń mieszkańców leżącego w powiecie krasnostawskim miasta swój debiut poświęcił Rafał Hetman. W reportażu „Izbica, Izbica”, który trafił w tym roku również do finału Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego, opisuje losy jednego z wielu niegdyś ludząco do siebie podobnych miejsc zamieszkiwanych przez Polaków oraz Żydów, sąsiadów. Przedstawia też – raz jeszcze, bo przecież znamy dobrze z historii ciąg wypadków i zdarzeń – proces zmian, jakie zaszły wewnątrz tej społeczności od momentu, gdy rozpoczęła się Zagłada.

Hetmanowi udało się w nominowanej książce ukazać niesamowitą moc sprawczą pamięci, przede wszystkim zaś jej, w dużej mierze zamierzonego, braku. Jak to możliwe, pyta ktoś, że w miasteczku, którego część mieszkańców spotkał los najstraszniejszy z możliwych, tak wielu udaje, że nie przypomina sobie, co zaszło, że nie byli świadkami historii i że ich bliscy, gdy nadarzyła się okazja, nie wykorzystali tej tragedii do własnych celów?

W „Izbicy, Izbicy” autor drąży, docieka, stawia niewygodne pytania. Przywraca z imienia i nazwiska, jeśli to możliwe, pamięć o tych, którzy odeszli w czasach najbardziej potwornego zła. Przedstawia tych, którzy przetrwali i postanowili wrócić do siebie – wbrew wszystkim i wszystkiemu. Konfrontuje współczesność z przeszłością, próbując dotrzeć do istoty zła i opisać ją, siłę, która drzemie w każdym człowieku, czekając na sprzyjające okoliczności, by ponownie przejąć kontrolę nad światem.



Robert Nowakowski



„Ojczyzna jabłek”
Wydawnictwo Literackie

WYKORZENIENI

Zkolei w „Ojczyźnie jabłek” Roberta Nowakowskiego – właściwym, co sam podkreśla, debiucie literackim tego autora (ma na swoim koncie gatunkową powieść „Człowiek z sową”) – to Żyd, Mozes, jest tym, który jako jedyny z mieszkańców dawnego (przedwojennego) świata pozostaje na miejscu. Ukryty w ziemiance przez rodzinę Julka, jednego z głównych bohaterów powieści, pewnego dnia orientuje się, że zniknęli wszyscy mieszkańcy okolicy i zapanował nowy porządek. Postanawia więc wyruszyć na poszukiwania, nie zdając sobie sprawy, że – jak wszyscy wokół – jest nie tylko ofiarą wojennej zawieruchy, ale i kończących ją, znamiennych w skutkach decyzji politycznych.

Nowakowski kreśli w swej powieści historię Bojków, zbyt rzadko obecnych na kartach polskiej literatury, przybliża ich losy, przypominając między innymi przebieg akcji „Wisła”, rekonstruuje wydarzenia towarzyszące narzuconym przez komunistyczne władze przesiedleniom. Świat przedstawiony w „Ojczyźnie jabłek” mówi wieloma językami, jest w nim miejsce dla Bojków, Łemków, Żydów, Ukraińców, Polaków. To zapis zagarnięcia ojczyzny tych, którzy od wieków żyli nad Soliną i na terenie Bieszczadów, oraz nie zawsze udanej próby uznania nowego, narzuconego miejsca za własne i bezpieczne. Bo czy można wyzbyć się poczucia bycia wykorzenionym?

Autor, oddając głos ofiarom wojny i akcji przesiedleńczych, zadbał, by w „Ojczyźnie jabłek” były obecne również historie. Bohaterki Nowakowskiego toczą walkę z okolicznościami i czasem, by nie zapomnieć o domu, z którego ich wypędzono i który być może wciąż na nie czeka. ●

Nagroda im. Gombrowicza po raz siódmy wręczona zostanie w Radomiu w sobotę, 17 września. Przez kapitułę w składzie: Jerzy Jarzębski (przewodniczący), Ewa Graczyk, Anna Kałuża, Zofia Król, Zbigniew Kruszyński, Józef Olejniczak oraz Justyna Sobolewska.

PAWEŁ SMOLEŃSKI: 11 marca 1985 r. Michaił Gorbaczow został wybrany na sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Dość szybko okazał się zaskoczeniem, zarówno dla zwolenników, jak i dla ludzi, którzy go szczerze nienawidzili. A tych przybywało. ADAM MICHNIK: Dzisiaj trudno mówić o Michaił Siergiejewiczu, zwłaszcza w kontekście tego, co dzieje się teraz w Rosji. On otwierał lagry i więzienia z pewnością nie z miłości do zeków i dysydentów, ale uważał, że tak po prostu nie powinno się dziać. Można powiedzieć, że robił to niekonsekwentnie, zbyt późno, za wolno, lecz dla Rosjan była to prawdziwa odmiana. W jego czasach – podobnie jak za Jelcyna – działy się w Rosji rzeczy paskudne, ale nie trafiało się do lagrów za politykę i sprzeciw wobec władzy.

Michaił Siergiejewicz zawsze będzie dla mnie człowiekiem, który otworzył lagry i więzienia i sam nie zamknął już nikogo.

Kiedy Gorbaczow został władcą Kremla, miał ledwie 54 lata – niewiele jak na standardy sowieckie. Wciągnął go w najwyższe sfery władzy Jurij Andropow, szef KGB. Po co kagiebiście był taki człowiek?

– Był potrzebny, bo tak działa mechanizm wielu dyktatur, w których udział biorą najczęściej ludzie głupi i ograniczeni, ale czasami trafiają się dobrze zorientowani i inteligentni. Ci drudzy po prostu wiedzą, że kretyni u władzy to prosta, choć niekoniecznie błyskawiczna droga na polityczny cmentarz.

To powód, dla którego Andropow sięgnął po Gorbaczowa, który miał prawdziwe wyższe wykształcenie, był młody i mniej skostniały, ale bezsprzecznie wierny realnemu socjalizmowi.

Okolo roku po objęciu władzy Gorbaczow zaczął mówić o uskorieniu, czyli przyspieszeniu, i głośności, czyli jawności. Oba hasła stanowiły istotę pierestrojki, a więc przebudowy imperium. Kiedy się zorientowałeś, że on tak na poważnie?

– Dziś wiem, że zanim Gorbaczow został gensekiem, odbył podróż do Kanady. Ambasadorem był tam Aleksandr Nikołajewicz Jakowlew – prawdziwy intelektualista, wcześniej na wysokich stanowiskach w aparacie propagandy. Utracił je w początku lat 70. za artykuł „Przeciw antyhistoryzmowi”, który został uznany za krytykę antysemickiego i nacjonalistycznego odłamu KPZR.

Panowie umówili się w Ottawie na długi spacer poza ambasadą, żeby uniknąć podśluchów. Doszli do wniosku, że w ZSRR tak dalej się nie da. Dlatego po wyborze na genseka Gorbaczow ściągnął Jakowlewa do Moskwy i zrobił z niego członka politbiura oraz głównego ideologa pierestrojki. Nieco później zaprosił na Kreml Eduarda Szewardnadzego, którego posadził na fotelu ministra spraw zagranicznych. Ściągnął do komitetu centralnego masę młodych naukowców, prawników, ekonomistów i otworzył im drogę do błyskawicznych karier.

Oczywiście wówczas nie wiedziałem, kim był Gorbaczow. Gdy usłyszałem o „przyspieszeniu” w ZSRR, nie brałem tego na serio. Bo niby dlaczego? Przyszedł nowy sekretarz, powiedział nowe słowo i wszystko.

Moje przekonywanie się do niego to był proces. Siedziałem w więzieniu w Barczewie i prenumerowałem wszystkie dostępne w PRL-u tygodniki. Wśród nich „Argumenty”, organ Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, którego nikt nie czytał poza redaktorami, cenzurą, kilkoma specjalistami od partyjnych gier oraz mną. Znalazłem tam relację ze zjazdu sowieckich literatów, na którym na wniosek Jewgienija Jewtuszenki uchwalono rezolucję, by wydać wszystkie dzieła Borysa Pasternaka, łącznie z „Doktorem Żywego”. O Jewtuszence co nieco wiedziałem, również to, że rozumie, jak wiatr wieje, i raczej nie wychyla się, gdy można

oberwać. Był wielkim cwaniakiem. Jeżeli on zgłasza taką uchwałę i na dodatek ona przechodzi, to coś się musi dziać.

A kiedy wyszedłem, zacząłem podpytywać znajomych specjalistów od Rosji. Nikt, oprócz Andrzeja Drawicza i Leona Bójki, nie brał Gorbaczowa serio. Skoro tak, trzeba sprawdzić u źródeł. Czytałem więc sowiecką prasę i oczy miałem jak spodki. W tygodniku „Ogoniok” pojawiały się informacje o powstawaniu nowych, nieformalnych grup ilustrowanych fotografiami. To były zdjęcia moich kolegów z KOR-u i „Solidarności”, w sensie podobnych twarzy, podobnie ostrzyżonych bród, identycznych swetrów. To nie byli aparaczczyki, ale normalni ludzie. A kiedy zobaczyłem film Tengiza Abuladze „Pokuta”, pomyślałem: ooo, poszło bardzo daleko.

Gorbaczow wziął się do czegoś niewykonanego. Brak wyobraźni, naiwność, nadmierna pewność siebie, a może chęć przypodobania się? Kto nie lubi być przywódcą światowego formatu podejmowanym na salonach?

– On nie występował w maskaradzie, żeby oszukać Zachód. Był zdeklarowanym kontrreformatorem.

Blok komunistyczny przeżył dwie wielkie reformacje: Praską Wiosnę i „Solidarność”. Czechosłowacja pokazała, że od strony partii komunistycznej nie da się systemu zreformować, bo zawsze wtrąci się Pakt Warszawski. „Solidarność” zdelegitymizowała dyktaturę proletariatu przez proletariatus. Kontrreformacja Gorbaczowa polegała nie tyle na odrzuceniu reformacji, ile na takim wobec niej sprzeciwie, który asymiluje jej pod-

stawowe krytyczne zarzuty, przejmując kilka idei i słów.

Samego Gorbaczowa poznałem dużo później. Robiłem z nim wywiad, uczestniczyłem w konferencjach jego fundacji, zapraszał mnie do Moskwy. Robił wrażenie bardzo sympatycznego, był porządnym człowiekiem, co nie zmienia postaci rzeczy, że był aparaczką liberalnym, a nie krwiożerczym, ale jednak.

Chciał, żeby socjalizm był dobry, i robił rzeczy dobre, jak wycofanie się z doktryny Breżniewa. Atakowano go, że oddał Niemcy, Polskę. Odpowiadał, że Niemcy oddał Niemcom, a Polskę Polakom i nie ma sobie nic do zarzucenia. Lecz rozumował jak aparaczk.

Jego rządy to sinusoida. Mniej więcej w tym samym czasie uwolnił z zesłania

Michaił Gorbaczow 1931-2022

POWINNIŚMY MU DZIĘKOWAĆ

Michaił Siergiejewicz zawsze będzie dla mnie człowiekiem, który otworzył lagry i więzienia i sam nie zamknął już nikogo.

Z ADAMEM MICHNIKIEM ROZMAWIA PAWEŁ SMOLEŃSKI



Andrieja Sacharowa, a w azerskim Sumgaicie doszło do masakry Ormian.
– Zwolnienie Sacharowa to wielkie wydarzenie. Michaił Gorbaczow go podziwiał.

Za co? Bo nie za dysydencką odwagę?
– Szanował Sacharowa, chociaż Andriej Dmitrijewicz występował w Dumie przeciwko niemu. Gorbaczowowi bardzo się to nie podobało. Ale w końcu Sacharow był trzykrotnie uhonorowany tytułem Bohatera Związku Sowieckiego, trzykrotnym laureatem Nagrody Leninowskiej, akademikiem, ojcem bomby wodorowej. Breżniew mógł mieć to gdzieś, ale nie Michaił Siergiejewicz. A jeśli chodzi o Sumgait, to nie on organizował lub zachęcał do pogromu.

Ale mu nie zapobiegł, a przecież wiedział, że między Azerami i Ormianami dzieje się źle. I wypuścił wiadomości o pogromie na zewnątrz. Co to za gensek, który nie panuje nad swoim krajem?
– Na tym polega paradoks dyktatur: jeśli czynasz popuszczać cugle, przychodzi moment, gdy tracisz kontrolę. Nawet najbliższe otoczenie Gorbaczowa było przekonane, że połamał się właśnie na Kaukazie. Po Sumgaicie i pod ogromnym naciskiem liberalnej inteligencji moskiewskiej zaczął ustępować przed ormiańskimi żądaniami.

Podobnie było z wyjściem z Afganistanu. To był ruch absolutnie dobry i politycznie genialny, ale wbrew całemu kompleksowi wojskowo-przemysłowemu. Gorbaczow wiedział, że Afganistan pogrąża ZSRR, czego zwolennicy doktryny Breżniewa nie byli w stanie pojąć. Wyszedł z Afganistanu, bo to było złe dla komunizmu. Z tego samego powodu zaakceptował Jesień Ludów w Europie Wschodniej.

Po prostu wierzył, że komunizm można ulepszyć. Paradoksalnie stalinowcy mieli rację, kiedy ostrzegali przed jego pomysłami, bo czuli, że wszystko się rozleci. Rację też mieli ci, którzy zarzucali mu naiwność.

• **11 stycznia 1990 r., trzy miesiące przed wprowadzeniem czołgów do Wilna, Gorbaczow spotyka się z Litwinami pod wileńskim pomnikiem Lenina**

FOT. VICTOR YURCHENKO/AP

Lecz gdyby nie był naiwny, nadal byśmy żyli w epoce Breżniewa.
Gorbaczow do końca nie miał świadomości, że zmienił cały świat, w dodatku na lepsze. Byłem, jestem i będę mu za to bardzo wdzięczny i przy każdej okazji go bronię.

Przed kim?

– W Rosji jest bardzo nielubiany. W Kijowie, w Wilnie, w Kownie, w Tallinnie, w Rydze, na Kaukazie podobnie, ale z innych względów. W Rosji dlatego, że zniszczył imperium. W republikach bałtyckich i na Kaukazie za to, że wjechały tam czołgi.

Akurat widziałem, jak w republikach bałtyckich OMON strzelał do bezbronnnych ludzi. Snajperzy mordujący pod wieżą telewizyjną w Wilnie...

– To było straszne. Ale jak porównamy tamto strzelanie do bezbronnnych z tym, jak towarzysz Stalin rozprawił się z Czeczenią lub z Tatarami Krymskimi, z Litwą, z Łotwą, z Estonią, to o czym my mówimy?

Bez jego zgody OMON nie strzelałby.

– Oczywiście, że by strzelał. Jego nikt o taką zgodę nie pytał.

Gorbaczow kombinował tak: musimy zapanować nad antysocjalistycznymi, nacjonalistycznymi nastrojami na Litwie. Było to rozumiane jak nakaz wysłania wojska.

Ten system był już całkowicie rozkodowany. Byłem w Moskwie w 1989 r. na konferencji w Moskiewskim Państwowym Instytucie Spraw Międzynarodowych. Usłyszałem język jak z politbiura Breżniewa, kompletnie nie do przyjęcia. Po południu zawieziono mnie do Dumy na spotkanie Międzyregionalnej Grupy Deputowanych. Tam przeciwnie: jak na zebraniu „Solidarności” – bałagan, licytowanie się w radykalizmie. Wszystko w Rosji drgało, pulsowało, Gorbaczow nie mógł nie kontrolować.

Był dobry w grach aparaturowych. Lecz gdy sprawy wylały się na ulice, stał się bezradny.

Kiedy po przegranej puczu Janajewa i twardogłowych przywieziono go z Krymu do Moskwy, nie wyszedł do ludzi, bo nie umiał rozmawiać z tłumem. Jelcyn umiał grać na ludzkich emocjach i w ten sposób go zdetronizował.

Jelcyn, z natury autokratyczny, przynajmniej starał się być demokratą i wkładał w to wielki wysiłek. Gorbaczow pozostał partyjniakiem. Wkrótce po jego powrocie z aresztu domowego w krymskiej rezydencji odbył się ostatni zjazd KPZR. Michaił Siergiejewicz wezwał do samorozwiązania kompartii, ale do końca wierzył, że coś się z tego wykluje, jakaś organizacja do naprawiania socjalizmu, a on stanie na jej czele. Tymczasem Jelcyn po prostu zdelegalizował KPZR podczas posiedzenia rosyjskiej Dumy.

Mam wrażenie, że do czasu rozwiązania ZSRR w umowach białowieskich między Rosją, Ukrainą i Białorusią Gorbaczow cały czas wierzył, że jednak mu się powiedzie. ZSRR to dla niego była Rosja. Nie dopuszczał do wiadomości, że Ukraina – a tym bardziej republiki bałtyckie czy Kazachstan – jednak Rosją nie jest i wcale nie zamierza być.

Nie rozumiał ruchów narodowych.

– Jak każdy Wielkorus, choć nie był nacjonalistą i szowinistą. Nie przechodziło mu przez myśl, że Ukraina chce być niezależna. Przecież w historii była Wielkorosja i Małorosja, początek imperium narodził się w Kijowie, więc o co chodzi.

Opowiadano mi o festiwalu filmowym w Rydze w 1988 r. Pojechała tam grupa rosyjskich filmowców: inteligentów, twórców światowego formatu, liberalów, szczyrych demokratów. Jakie było ich oburzenie, gdy się okazało, że językami oficjalnymi festiwalu są łotewski i angielski. Przecież wcale nie wyjechali za granicę, są u siebie!

Takie myślenie pokutuje w Rosji do dziś. Wielkorusami – umiarkowanymi, ale jed-

nak – są Nawalny czy Chodorkowski. Miną generację, aż to przepracują. Tak jak w polskim myśleniu było zakorzenione, że Wilno, Grodno i Lwów to Polska. Gdyby nie wojna i Stalin, tak byłoby do dzisiaj.

Gorbaczow mierzył się z wyzwaniem, jakich nie podjął się żaden sowiecki przywódca. A przy okazji wikłał się w detale. W rozpitej Rosji wymyślił prohibicję.
– Namówił go do tego stalinowiec Jegor Ligaczow, jego zastępca. Gorbaczow na tym przegrał. Za prohibicyjne zapędy lud go znieńawdził.

On sam był pijący?

– Nieszczęólnie, może wino, koniaczek i dosyć. Generał Jaruzelski też nie pił, dlatego podczas spotkań z generalicją w tajemnicy przed nim stawiano na stole butelki po oranzadzie wypełnione wódką.

Świat szanował Raisę, żonę Gorbaczowa, wykształconą, dobrze ubraną, urodziwą.
– Jego też. W końcu dostał w 1990 r. pokojowego Nobla, absolutnie nie na wyrost ani na zachętę, żeby się dobrze spisywał. Lecz w Rosji Raisa była raczej kulą u nogi.

Rosjanie klękali i bali się carcyzy Katarzyny, w dodatku Niemki. Jakoś respektowano Nadieżdę Krupską, ale były to inne czasy. W tamtejszej mizoginistycznej kulturze kobieta powinna być jednak niewidoczna.

Rosja, ZSRR nie miały nigdy tradycji pierwszej damy. Kto znał kobiety Stalina, Breżniewa, Andropowa? Nikt ich nie widział. Raisa zaś zajmowała się pracą charytatywną, stworzyła Sowiecki Fundusz Kultu-ralny, no i opowiadano, że ma wielki wpływ na męża. Szeptano ze złością, że Rosją rządzi trójka: Misza, Raisa i pierestrojka.

Bardzo go za to nie lubiano, bo w Rosji żona jest od tego, by gotowała, sprzątała, przyniosła herbatę, siedziała na kanapie i wtedy można ją szczypać w tyłek.

Raisa udzielająca się publicznie była mentalną rewolucją. Wymyślono nawet prowokację puszczoną w lud: Raisa wysła do Paryża samoloty po zakup ciuchów i kosmetyków, a wy biedujecie. To raczej było nieprawdą, ale plotkę kupił nawet samizdat.

Jak rozmawiał z polskim dysydentem?

– Miałem u niego świetne papiery. Po pierwsze dlatego, że bardzo mnie lubił kursujący między Paryżem i Moskwą Andriej Graczow, autor książki o Gorbaczowie, którą mogłem wydać po polsku, szef jego fundacji. No i stał za mną Jaruzelski, jedyny z dawnych przywódców komunistycznych, o którym Gorbaczow wypowiadał się z wielką estymą. Innych nawet nie przyjmował.

No i bardzo pozytywnie mówił o Janie Pawle II. Z wzajemnością; kiedyś Wojtyła powiedział Jaruzelskiemu: „Bóg nam zesłał tego Gorbaczowa”.

Z Jelcynem Gorbaczow darł koty, ale z Putinem już niekoniecznie.

– Jelcyn rozwalil ostatecznie ZSRR, a Putin powiedział, że była to największa omyłka XX w. Gorbaczow zawsze uważał podobnie.

Po wtóre – Gorbaczow miał 5 proc. poparcia, a Putin – 80. Gorbaczow był politykiem, a polityk musi się liczyć z realiami.

Dlaczego Putin traktował Gorbaczowa z podobną delikatnością?

– Putin traktuje delikatnie tych, którzy nie wchodzą mu w drogę. Grigorij Jawlinski, ekonomista i wieloletni lider partii Jabłoko, jest w otwartej opozycji do Putina i żyje. Oczywiście krytykuje putinizm, ale nie robi tego jak Nawalny lub Chodorkowski, czyli absolutnie wprost, nie ujawnia korupcji i bandytyzmu reżimu, nie robi filmów o jakichś krymskich pałacach.

W 2014 r. Gorbaczow poparł aneksję Krymu. Powiedział, że na miejscu Putina

zachowałby się tak samo, bo Krym był zawsze rosyjski. To nie mogła być nostalgia za imperium, ale szczególna skaza rosyjskiego myślenia na temat półwyspu.

– Trzeba to lokować w kontekście całej jego biografii. Przypomina Kolumba, który popłynął do Indii, a trafił do Ameryki. Chciał z ZSRR uczynić rzeczywiste, nowoczesne mocarstwo. Z tego punktu widzenia bliski był mu pogląd Putina, że rozpad imperium był katastrofą.

Nigdy nie spotkałem Rosjanina, który powiedziałby, że Sewastopol jest ukraińskim miastem. Jakoś to zrozumiałe, bo np. w końcu lat 40. nie spotkałoby się Polaka, który by oznajmiał, że Wilno to miasto litewskie, a Lwów – ukraińskie.

W przypadku zajętego przez Rosjan kawałka Donbasu takich twierdzeń nie wygłaszał. Wolał milczeć?

– Był zdania, że Krym a Donbas to różne sprawy. W sprawie Krymu kręcił nawet Chodorkowski, czym bardzo mnie zaskoczył. Krym po prostu zламаł wielu ludzi. Rozmawiałem z Richardem von Weizsäckerem, gdy był prezydentem Niemiec. Zapytałem go, kiedy uznał w głębi siebie granicę na Odrze i Nysie. Odrzekł, że w 1957 r. – To długo pan nad tym myślał. A Weizsäcker: – Bo tak bardzo mi było szkoda Szczecina. Po ludzku to zrozumiałe.

W 2014 r. Gorbaczow wiedział, że nie ma wpływu na politykę. Ale też nie chciał znaleźć się w sytuacji człowieka, który uważa co innego niż ogromna część jego narodu.

Lecz nie wsparł ostatniej agresji Rosji na Ukrainę. Uważał, że to tragedia niszcząca dorobek jego życia. Powiedział, że gdy był sekretarzem generalnym, w Europie było kilka tysięcy żołnierzy amerykańskich. Teraz będzie kilkaset tysięcy, co rujnuje jego politykę odprężenia i czyni Europę niebezpieczną. W tym sensie zgadzał się z Putinem, że NATO zbyt blisko podeszło pod granice Rosji, a zmiany na Ukrainie po majdanie godności są tego przykładem. Nie skrytykował Rosji za agresję. Ale wojnę uznał za historyczną pomyłkę, bo zburzyła ład międzynarodowy.

– W ocenie Gorbaczowa nie jestem obiektywny. Mam poczucie, że otworzył mi drogę do wolności. Tomas Venclova przyjechał jeszcze za sowieckich czasów z amerykańską wycieczką do Leningradu. Spotkał się z rosyjską przyjaciółką i zapytał, czym jest głośność i pierestrojka. Odpowiedziała, że to jak zniesienie pańszczyzny.

Dlatego Gorbaczow przypomina mi Aleksandra II. Dla Polaków to potwór, kojarzy się ze stłumieniem powstania styczniowego. Ale Rosjanom dał polityczną odwilż, kodeks karny, zniósł pańszczyznę, zreformował wojsko, szkolnictwo.

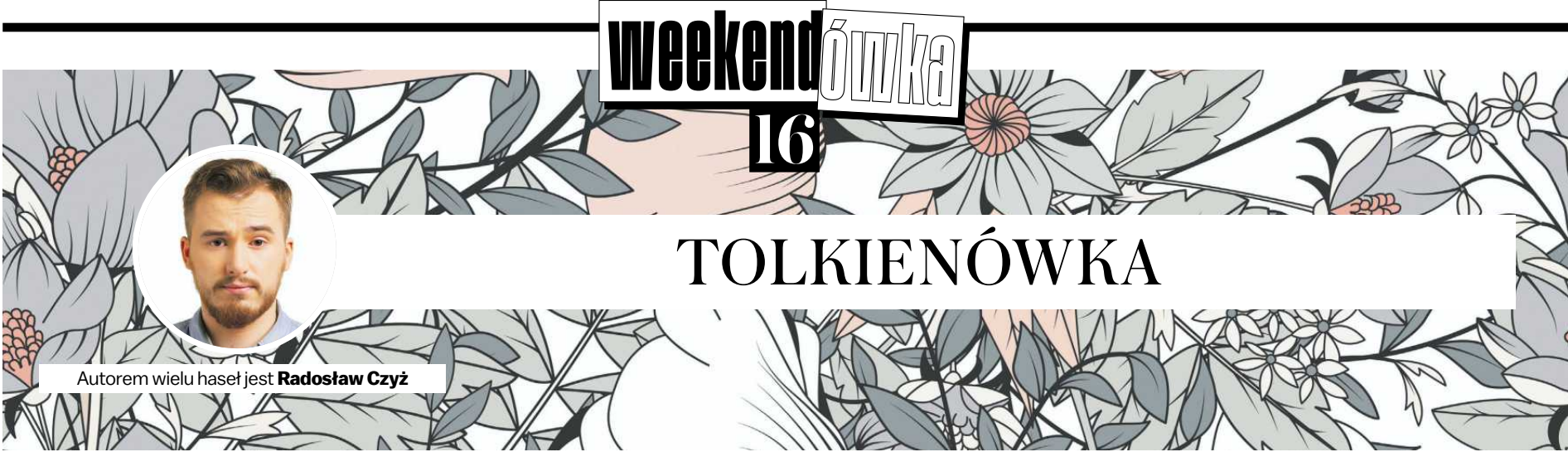
Zmarł zapewne w poczuciu porażki?

– Chciał obronić istnienie ZSRR, ale mógł to zrobić wyłącznie przy użyciu stalinowskich metod, do czego się nie posunął. Wysłuchałem właśnie opinii, że akurat Chińczykom udało się modernizacja komunizmu, a Gorbaczowowi nie. Guzik prawda. W Chinach nie było żadnej pierestrojki, za to był Tiananmen. Dzisiaj to kraj absolutnie totalitarny, takiej modernizacji nikomu nie życzę.

Na dodatek kilkanaście razy z nim rozmawiałem, miałem do niego osobistą sympatię. Nie był bolszewikiem, nie interesowały go żadne utopie, Marksa i Lenina traktował instrumentalnie. Chodziło mu o państwo, lepsze, nowocześniejsze i bardziej ludzkie, w tym sensie pasował do czechosłowackich bohaterów Praskiej Wiosny.

Gorbaczow rozbił się o stalinowskie fundamenty w radzieckim społeczeństwie. Starał się uczłowieczyć totalitarne państwo. A nie da się uczłowieczyć czegoś, co w żadnym wypadku nie jest ludzkie. ●

Wywiad ukazał się w „Ale Historii” wiosną 2021, teraz Adam Michnik i Paweł Smoleński zaktualizowali go i uzupełnili.

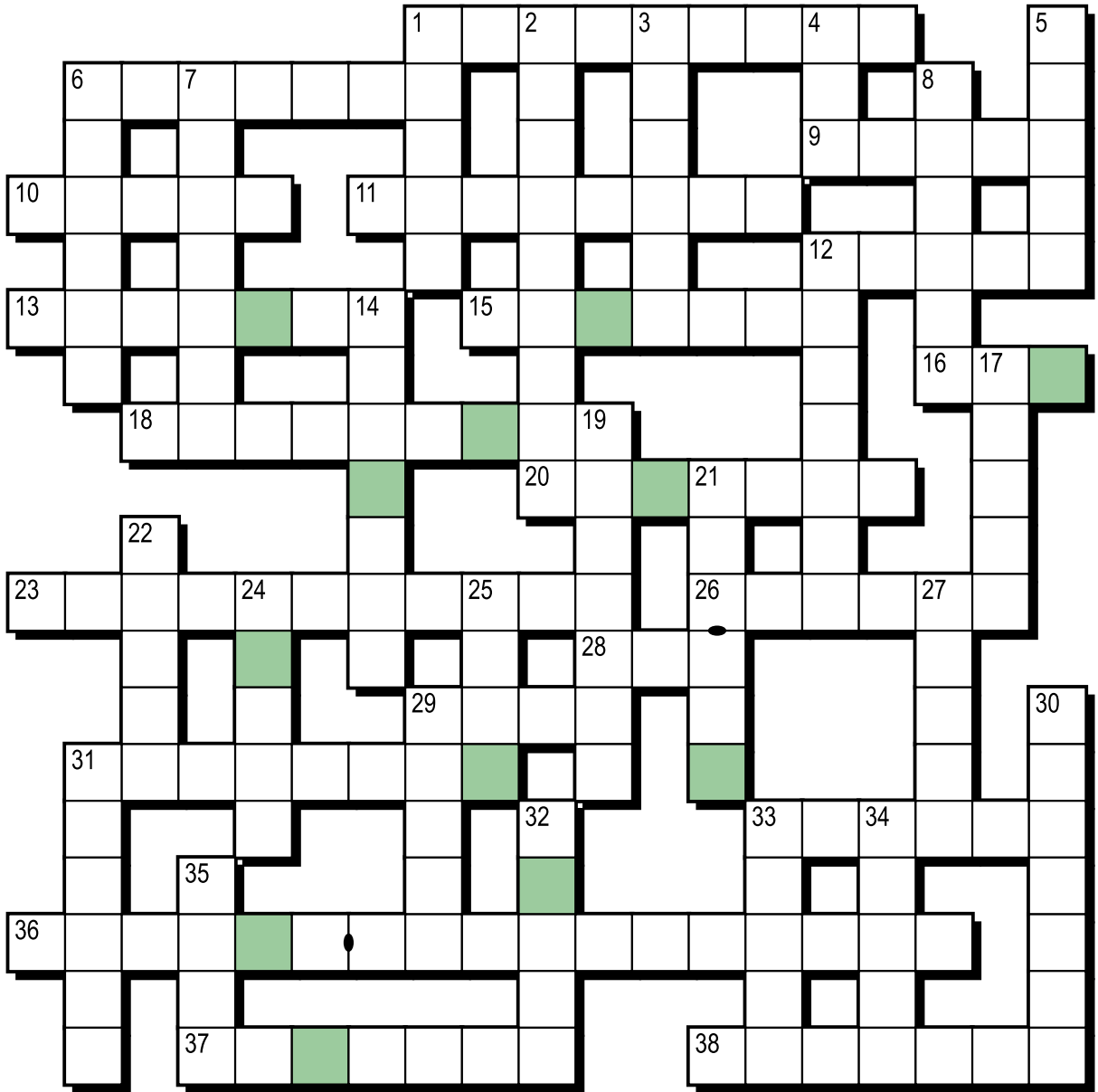


„Jeden, by wszystkimi rządzić
Jeden, by wszystkie odnaleźć
Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać
W krainie Mordor, gdzie zaległy cienie”.*
Dziś nie będzie rocznicowo, bo asumpt do powstania tej „Weekendówki” dało wydarzenie jak najbardziej aktualne. Otóż Amazon za kwotę, bagatela, miliarda dolarów porwał się na serial na podstawie prozy J.R.R. Tolkiena.
O tym, dlaczego to wzbudza kontrowersje fanów – zresztą, co nie wzbudza kontrowersji fanów? – przeczytać mogli Państwo w piątkowej „Wyborczej TV”, gdzie Radosław Czyż wyjaśnił zawilosci związane z prawami do ekranizacji dzieł genialnego Brytyjczyka, ewentualnie odsyłam też na Wyborcza.pl.
A my dziś wyruszymy niczym dziewięciu śmiałków z Rivendell w podróż przez Śródziemie, by sprawdzić, czy jesteście Państwo gotowi na spotkanie z Sauronem. I serialem też.
Od czasu Petera Jacksona i jego Trylogii Pierścienia wiadomo, że miejscem na Ziemi, które najbardziej przypomina Śródziemie, jest Nowa Zelandia. „Władca Pierścieni: Pierścienie władzy” również tam powstawały. Bo i faktycznie, lokalizacja jest idealna.
Farma rodziny Alexander na Wyspie Północnej, w pobliżu miejscowości Matamata, to wypisz wymaluj Hobbiton. Na farmie stała też dorodna sosna, która z powodzeniem zagrała Urodzinowe Drzewo, pod którym Bilbo przemawiał z okazji III. urodzin. Wprawdzie łąka, gdzie odbyło się przyjęcie, była wcześniej bagnem, ale w osuszeniu go pomogli nowozelandzcy żołnierze.
Jest i Góra Przeznaczenia – w Parku Narodowym Tongariro, w centralnej części tejże Wyspy Północnej.
Miałem szczęście odwiedzić kiedyś Hobbiton, a także maszerować w pobliżu Mount Doom – przez Tongariro wiedzie kilka szlaków turystycznych. Tylko Pierścienia nie dane było mi cisnąć, bo w sklepie pamiątkarskim wyceniono go wówczas na 149 dol. nowozelandzkich, uznałem, że nawet obalenie ciemniźcycla Saurona nie jest tyle warte.
Premiera serialu skłoniła mnie więc z jednej strony do wspomnień, a z drugiej podpowiedziała motyw przewodni „Weekendówki”. Do pomocy zaprosiłem swego redakcyjnego kolegę, miłośnika i znawcę zagadnienia, czyli właśnie Radka Czyża. Niech Wam w misji weekendówkowej przyświeca Gwiazda Elendila! ●

*Tłumaczenie Maria Skibniewska

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 16 z 27.08: **NIESAMOWITY CZAS**



TOLKIEN

Hasła Radosława Czyża oznaczono inicjałami (RC). Literę w kolorowych polach, czytane kolejną rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poznomo:

- 1) Viggo, odtwórca roli Aragorna w ekranizacji powieści
- 6) zamieszkiwali las Fangorn
- 9) niósł Pierścień do Mordoru
- 10) mężny dowódca, starszy brat 3 pionowo
- 11) ent, z którym zaprzyjaźnili się Merry i Pippin
- 12) imię Łozińskiego, jednego z tłumaczy powieści

- 13) czarodziej, który w podziemiach Morii stoczył walkę z Balrogiem
- 15) okazał się nim Saruman
- 16) ... Bombadill, uratował hobbitów przed upiorami z Kurhanów
- 18) nazwisko, które przybrał Frodo, wyruszając do Bree
- 20) chleb elfów
- 23) ... Galadrieli, artefakt z Lorien
- 26) królestwo, którego namiestnikiem był Denethor
- 28) Christopher, odtwórca filmowej roli Sarumana
- 29) Orodruina – ... Przeznaczenia
- 31) kryształowa kula – „komunikator” Sarumana

- 33) niejeden w bogatym repertuarze Merry’ego i Pippina
- 36) Nazgule
- 37) ... Pierścienia, uformowała się podczas narady u Elronda
- 38) należało ją rozwiązać, by otworzyły się drzwi Morii

Pionowo:

- 1) zdrobnienie imienia hobbita z rodu Brandybucków (RC)
- 2) inaczej Imladris. Tam swój dom miał półelf Elrond (RC)
- 3) księżniczka Rohanu
- 4) Sam bardzo chciał zobaczyć choć jednego (RC)
- 5) hobbitów – owłosione
- 6) stolica Rohanu

- 7) król Rohanu odczarowany przez Gandalfa
- 8) „... króla”, trzecia część powieści
- 12) Peter, zekranizował „Władcę Pierścieni”
- 14) kapitan Gondoru, młodszy brat Boromira
- 17) jeden z siedemnastu zdobytych łącznie przez trzy filmowe odsłony „Władcy Pierścieni”
- 19) elfi książę z Mrocznej Puszczy – mistrz strzelania z łuku (RC)
- 21) dom Bagginsów na Pagórku w Hobbitonie
- 22) stoczona na Polach Pelennoru
- 24) królestwo z koniem w godle
- 25) Złoty ..., czyli Meduseld, w mieście z pozycji 6 pionowo

- 27) był nim Gwaihir, który odnalazł Gandalfa na szczycie Orthanku
- 29) krasnolud, syn Gloina
- 30) tytuł pierwszej części powieści (w starym tłumaczeniu Marii Skibniewskiej) (RC)
- 31) hobbit Peregrin Tuk
- 32) najstarsza z krasnoludzkich siedzib w Śródziemiu
- 33) Biała ..., z tronem królów Gondoru
- 34) szpieg Sarumana na dworze króla Rohanu
- 35) Elijah, odtwórca roli Froda w ekranizacji powieści

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play